

40 lat

Polskiego Związku Badmintona w 40 opowieściach

40 lat

Polskiego Związku Badmintona
w 40 opowieściach

Wstęp
Marek Zawadka

Skład i łamanie
Joanna Wagner-Głowińska

Korekta
Zorika Mikołajczak

Koncepcja projektu
Marek Zawadka

Fotografia na okładce
Agata Bończak
(Ośrodek Kultury „Wzgórze Zamkowe")



Wydawca
Stowarzyszenie „lubiniokolice.pl"

ISBN
978-83-948920-0-5

Wydanie I
Lubin 2017

Agata Grzelińska

40 lat

Polskiego Związku Badmintona w 40 opowieściach

Lubin 2017

Spis treści

Wstęp

Czy czterdzieści lat to dużo? Dla uprawiających sport na pewno tak, dla zwykłych ludzi na pewno tak, ale czy dla organizacji to dużo? Można się zastanawiać, czy organizacja to ludzie, którzy ją tworzą, czy też samodzielny byt? Czy firma która ma 40 lat, to już jest firma z tradycjami? Warta zaufania? Posiadająca swoją historię?

Pewnie, że Związek posiada swoją historię. Jedną wstydliwie skrywaną – siedemnaście lat w cieniu skomplikowanych relacji z Zakładem Ubezpieczeń Społecznych, co przy jeszcze najmniej 7 latach da niebawem połowę czasu historycznego. Drugą pełną sukcesów, tyle że nienagłośnioną. Bo powodzenia życzę tym wszystkim, którzy chcieliby się dowiedzieć czegoś więcej o sukcesach polskiego badmintona. Jeszcze bardziej skomplikowane byłoby uzyskanie lub dostęp do archiwalnych pamiątek. Niewiele ich jest, w niewielkim zakresie występowały. Może dlatego, że środowisko badmintonowe jest takie skromne, może też dlatego, że skoncentrowane na ciężkiej pracy u podstaw. Na pewno zaś zarządzający Związkiem przez ostatnie lata mieli inne priorytety niż pamięć historyczna. Jeszcze inna historia, to dzieje organizacji. Posiadamy częściowe opracowanie poświęcone Związkowi, ale brak jest kontynuacji. Przez pewien czas posiadaliśmy branżowy periodyk „Badminton Polska", przez pewien czas Biuletyny Związku. Od dłuższego czasu tylko bieżące komunikaty na stronie. Wszystko podobnież się zmienia. Może to tylko wygoda.

Historia polskiego badmintona sięga dalej niż oficjalne porozumienie podpisane w Głubczycach (naprawdę interesujący tekst stenogramu spotkania z 29 maja 1977 roku) i w kilku wywiadach o tym mowa. W innych już o czasach późniejszych aż do teraźniejszości. Umówmy się, iż historię tworzą ludzie i o nich jest ta książka. Do wydarzeń wrócimy przy najbliższej okazji.

Niestety, czas upływa, ludzie odchodzą z tego świata, zabierając swoje historie i opowieści. Zbierając materiały do tej książki zauważyliśmy, iż wielu już nie ma i nic nam nie powiedzą, a wielu żyjących istnieje już tylko we wspomnieniach kolegów. Trudno do nich dotrzeć, od badmintona odeszli a i kontakty się urwały.

W czasie prac nad książką – zasługa Agaty Grzelińskiej – postanowiliśmy ją kontynuować. Tak. Będzie drugi tom i może będzie trzeci tom. Koncepcja niniejszej publikacji ulegała zmianie. Miała to być historia polskiego badmintona. Niestety, polegliśmy na bazie źródłowej i na prawach autorskich do zdjęć. Historia miała być przedzielona kilkoma wywiadami. Okazało się, iż wywiady te były tak

ciekawe i interesujące, że zaczęliśmy docierać do coraz szerszego kręgu ludzi. Dziś prezentujemy 36 wywiadów i cztery teksty niejako wprowadzające. Kolejne znajdują się w przygotowaniu. Teksty i wywiady.

Dobór rozmówców był kompletnie subiektywny. Lista osób, z którymi nie rozmawialiśmy, jest okrutnie długa, tak że przepraszanie zajęłoby sporo miejsca. Niemniej jednak przepraszamy, wyrażamy skruchę i prosimy o współpracę przy następnym wydaniu.

Mam nadzieję, że niebawem pojawi się więcej publikacji retrospektywnych, ale i dotykających teraźniejszości. Przemawiają za tym rozmowy, jakie przeprowadziła Agata Grzelińska z wieloma rozmówcami.

Życzę Państwu miłej lektury. I zapraszam do współtworzenia następnych publikacji. Jako historyk nie będę tutaj powtarzał słynnego cytatu: „Naród, który nie zna swojej przeszłości, umiera i nie buduje przyszłości". Wystarczy zamienić „Naród" na: dyscyplina, środowisko, klub...

dr Marek Zawadka
Prezes Polskiego Związku Badmintona

Chińskie przyspieszenie i... striptiz

Wystarczy prześledzić wyniki rywalizacji olimpijskich, by nie mieć najmniejszych wątpliwości, że najlepiej na świecie w badmintona grają Azjaci. Dla władz Polskiego Związku Badmintona od początku było więc oczywiste, że należy doprowadzić do spotkania z zawodnikami i przede wszystkim trenerami z tego kontynentu.

Po raz pierwszy drużyna z Chin przyjechała do naszego kraju na międzynarodowe mistrzostwa Polski w 1983 roku. Była to młodzieżowa reprezentacja Państwa Środka z trenerem Yan Ren Sui na czele. Jej przyjazd był efektem rozmów, które PZBad prowadził z działaczami chińskiego związku już rok wcześniej na mistrzostwach świata w Kopenhadze.

W listopadzie 1983 roku w Głubczycach odbyło się tygodniowe wspólne zgrupowanie szkoleniowe reprezentacji Chińskiej Republiki Ludowej oraz kadry narodowej Polski. Były wspólne treningi i dwa mecze. Wynik pierwszego pojedynku w Opolu okazał się dla polskich badmintonistów miażdżący. „Tak więc całe spotkanie zakończyło się bezdyskusyjnym zwycięstwem mistrzów świata 8:0, z którymi nie udało się naszym reprezentantom wygrać nawet jednego seta" – relacjonował Zbigniew Semeniuk w „Trybunie Opolskiej". W rewanżowym meczu, rozegranym kilka dni później w Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie reprezentacja Polski w składzie: Bożena Wojtkowska, Stanisław Rosko (singliści), Bożena Siemieniec i Zofia Żółtańska (deblistki), Jerzy Dołhan i Grzegorz Olchowik (debliści) ponownie przegrali 5:0. W grze mieszanej wystąpili wtedy: Bożena Wojtkowska i Jerzy Dołhan.

Wyniki meczów rozegranych kilka dni później w warszawskiej hali Mery nie odbiegały od towarzyskich spotkań – komplet 18 pucharów zdobyli Chińczycy. Tomasz Jagodziński z „Przeglądu Sportowego" napisał, że gra, jaką pokazali Chińczycy, przechodziła wszelkie wyobrażenia. I że nikt z zawodników, a mówimy o pierwszych rakietach Europy, jak Niemiec Harald Klauer czy Pakistańczyk, grający później w Austrii, Tariq Farooq, nie zdołał pokonać Chińczyków.

Azjatycka drużyna rządziła też na kortach w kolejnych międzynarodowych mistrzostwach Polski w Warszawie, ale już nie niepodzielnie. Tym razem jednak kilka medali zdobyli też Duńczycy (1 złoty, 2 srebrne i 3 brązowe) oraz po jednym brązowym krążku Polska, RFN i Austria.

Brązowy medal dla Polski zdobyła para Bożena Wojtkowska i Ewa Wilman. Świetnie grał też wtedy Jerzy Dołhan.

W 1985 roku na zaproszenie PZBad do Polski przyjechał chiński trener. Yan Shi Quing, szef Centrum Szkolenia Badmintona w Szanghaju prowadził pokazowe treningi w Głubczycach, Opolu, Koszalinie oraz Bukownie i Katowicach. W sumie przeprowadził 35 zajęć w szkołach i wspomnianych klubach. Polscy trenerzy mogli zobaczyć, na czym polega prawdziwy, szybki, dynamiczny badminton. Chiński szkoleniowiec przekazał im bardzo dużo informacji. Polska ekipa zrewanżowała się gościnnością. Zwłaszcza Wiesław Tomaszewski, prezes Okręgowego Związku Badmintona w Katowicach, jak zanotował trener Jerzy Szuliński, zgotował gościowi z dalekiej Chińskiej Republiki Ludowej iście królewskie przyjęcie, zapewniając m.in. atrakcje rozrywkowe. Gdy Yan Shi Quing wizytował AZS Katowice, akurat gościli tam też bułgarscy badmintoniści z trenerem Puzionem Kasabianem. Po treningach towarzystwo wybrało się razem do dyskoteki Centrum, gdzie Chińczyk po raz pierwszy w życiu oglądał striptiz.

Ogromne znaczenie dla rozwoju badmintona w Polsce miał wyjazd kadry narodowej do Chin w styczniu 1989 roku. Ekipa w składzie Andrzej Szalewicz – prezes PZBad, Jadwiga Ślawska – sekretarz generalny, trenerzy Ryszard Borek i Jerzy Szuliński, a także zawodnicy: Bożena Siemieniec, Ewa Wilman, Zofia Żółtańska, Jacek Hankiewicz, Brunon Rduch, Grzegorz Olchowik i Piotr Czekal odwiedziła Pekin i prowincje Guiyang, Chandgdu oraz Changsha. Zawodnicy i trenerzy mieli okazję trenować w chińskich halach, wspólnie z tamtejszymi badmintonistami i szkoleniowcami. Była wymiana doświadczeń, dużo nauki i kilka meczów. Wyniki jak zwykle monotonne i bezwzględne. Spotkanie rozegrane w Guiyang zakończyło się rezultatem 8:0. Ponieważ chodziło przede wszystkim o doświadczenie, nawet przegrane walki były cenne. Nie można jednak pominąć sukcesu Bożeny Siemieniec, która jako jedyna z polskiej drużyny wygrała w Changdu pojedynek z Chinką Yan Jian 11:2; 11:12; 11:6. Wynik całego spotkania: 7:1. Następny mecz w hali w Changsha znów nie pozostawiał złudzeń, kto od kogo się uczy: 8:0.

Pobyt w Chinach zaowocował dalszą współpracą – do Polski do pracy przyjechał chiński trener Zhou Jun Ling, który szkolił kadrę w Ośrodku Przygotowań Olimpijskich w Olsztynie.

W kolejnych latach w ośrodkach szkolenia sportowego młodzieży w Głubczycach, Częstochowie, Suwałkach i Warszawie oprócz Zhou Jun Linga pracowali też Ling Bo, Xu Renfu i Luo Guo Hiu.

Przed XXV Letnimi Igrzyskami Olimpijskimi w Barcelonie w 1992 roku kadra narodowa ponownie wyjechała na szkolenie do Chin. Zawodnicy: Bożena Haracz, Bożena Bąk, Wioletta Wilk, Beata Syta, Monika Lipińska, Jacek Hankiewicz, Jerzy Dołhan, Dariusz Zięba i Adrian Bąk, a także trener Zhou Jun Ling oraz Jadwiga Ślawska, sekretarz generalny PZBad i Jerzy Szuliński, wiceprezes ds. szkolenia spędzili w Chinach ponad dwa tygodnie.

Badmintoniści znad Wisły trenowali z Chińczykami. Rozegrali też dwa mecze. Pierwszy zakończył się wynikiem 1/8 dla Chin. Po stronie polskiej zwyciężył tylko męski debel Jerzy Dołhan i Jacek Hankiewicz. Drugie spotkanie również wygrali Chińczycy 1:6. Zwycięski punkt dla reprezentacji Polski znów zdobyli Hankiewicz i Dołhan.

W czasie gdy kadrę narodową prowadziła Klaudia Majorowa, do igrzysk olimpijskich w Pekinie badmintonistów pomagał jej przygotować chiński szkoleniowiec Young Man Kim. Przed igrzyskami w Londynie do sztabu szkoleniowego dołączył kolejny Chińczyk Chen Gang, który wcześniej w 1996 roku zdobył srebrny medal międzynarodowych mistrzostw Polski. Dwa lata wcześniej wywalczył tytuł Mistrza Świata Juniorów.

Z czasem Chińczycy zaczęli występować w Polsce nie tylko w roli szkoleniowców, ale także zawodników. Na przykład w 2010 roku klub SKB Litpol-Malow Suwałki zasiliła chińska zawodniczka Lingling Wang, natomiast w Techniku Głubczyce grał Hong Mao.

Głubczyce, czyli fabryka mistrzów

Położone na rolniczych terenach, pozbawione dużego przemysłu, a więc także wielkich pieniędzy, liczące niespełna 13 tysięcy mieszkańców Głubczyce mimo wszystko są prawdziwą potęgą. Badmintonową potęgą. Na tytuł Miasto Badmintona zasłużyły w pełni. Tutejszy LKS Technik aż 23 razy wygrał drużynowe mistrzostwa Polski. Liczbę medali indywidualnych i drużynowych we wszystkich kategoriach wiekowych władze klubu szacują na ok. 600–700. Śmiało można powiedzieć (i nie będzie to przesadą), że głubczyccy badmintoniści zdobyli grubo ponad pół tysiąca krążków.

Zaczęło się pół wieku temu tak, jak na pierwszy rzut oka wygląda miasto, czyli niepozornie – od jednego człowieka. Była połowa lat 60., gdy Bolesław Zdeb, jeden z działaczy TKKF przy Zakładach Przemysłu Dziewiarskiego Unia, będąc na letnim obozie Związku Młodzieży Socjalistycznej, zetknął się z badmintonem. Ta dyscyplina tak bardzo mu się spodobała, że postanowił propagować ją w swoim mieście. Do gry zachęcał zarówno pracowników Unii, jak i uczennice Przyzakładowej Szkoły Włókienniczej. Miał ku temu niejedną okazję, bo pracował jako referent do spraw socjalnych i zajmował się między innymi organizacją imprez rekreacyjno-sportowych.

Pierwsi adepci kometki, jak wtedy zwykło się nazywać badminton, najpierw ćwiczyli obijanie lotki i przebijanie jej przez siatkę na szkolnym boisku. Na czas zimy musieli robić przerwę w treningach. Mimo to w 1967 roku podczas Wiosny Głubczyckiej zorganizowali pierwszy zakładowy turniej w badmintona. Grę w wykonaniu Bolesława Zdeba, Haliny Pawlickiej, Teresy Sybilli i Elżbiety Wąsowicz mogła zobaczyć szersza publiczność. Kiedy więc we wrześniu 1967 roku Halina Pawlicka, wychowanka Bolesława Zdeba, została mistrzynią Centralnej Spartakiady Włókniarzy w badmintonie, większość mieszkańców Głubczyc wiedziała już, co to za sport. Sukces mieszkanki miasta spowodował, że po rakietki zaczęli sięgać kolejni.

Przełomowym momentem w historii głubczyckiego klubu jest powrót z wojska Ryszarda Borka. To jedno z najważniejszych nazwisk w historii polskiego badmintona. Któregoś dnia zajrzał na boisko przy liceum ogólnokształcącym, gdzie wtedy trenowali badmintoniści. Był wprawdzie człowiekiem wysportowanym (uprawiał piłkę nożną w głubczyckiej Polonii), ale kometki nie znał. Razem ze swoim przyjacielem, Ryszardem Mazurem uczył się odbijania w parku od podstaw. Wkrótce skupiło się wokół niego kilku innych zapaleńców.

Chętnych do gry przybywało. Ryszard Borek zainteresował się badmintonem na dobre. Nie tylko doskonalił umiejętność gry, ale także zdobywał fachową wiedzę na temat tej dyscypliny.

Z czasem grupa skupiona wokół Bolesława Zdeba i druga, wokół Ryszarda Borka, połączyły siły. Obaj stanowili niezwykle zgrany duet propagatorów badmintona. Pierwszy zajmował się sprawami organizacyjnymi, drugi został szkoleniowcem. Tacy zawodnicy, jak Bożena Wilczyńska, Maria Rochan, Stanisław Rosko, a także Ryszard Borek i Józefa Ciurys zaczęli odnosić sukcesy. W 1972 roku zawodnicy Unii wzięli udział w międzynarodowych zawodach we Wrocławiu. Dwa lata później Borek i Zdeb ukończyli kurs instruktorów w stolicy Dolnego Śląska. Wkrótce potem badminton w Głubczycach stał się sportem wyczynowym.

Worek z medalami rozwiązał się w 1974 roku, gdy drużyna TKKF Unia Głubczyce zdobyła tytuł mistrza podczas Pierwszych Drużynowych Mistrzostw Polski w Badmintonie we Wrocławiu. Rok później Józefa Ciurys, Bożena Wilczyńska, Ryszard Borek, Stanisław Rosko i Karol Hawel obronili tytuł Drużynowego Mistrza Polski. W 1976 roku także, ale wtedy skład zespołu uzupełniły Elżbieta Utecht i Bożena Wojtkowska. Obie zawodniczki zaczęły też wygrywać w konkurencjach indywidualnych. Elżbieta Utecht zdobyła pierwsze miejsce w indywidualnych mistrzostwach Polski seniorów w grze pojedynczej kobiet, a Bożena Wojtkowska jako 13-latka w tej samej kategorii zajęła miejsce trzecie.

Nastąpiły zmiany organizacyjne – Unia Głubczyce połączyła się z piłkarskim klubem ZKS Polonia. Wprawdzie fuzja oznaczała więcej pieniędzy, ale piłkarze mieli przewagę i próbowali nieco spychać badmintonistów na dalszy plan. Sekcją kierował wtedy Marian Masiuk, który nawiązał ścisłą współpracę klubu ze szkołami. Organizowano turnieje międzyszkolne, a na lekcjach wuefu – jak mówi późniejszy wielokrotny mistrz Polski i olimpijczyk z Głubczyc Przemysław Wacha – dzieci, zamiast piłki, dostawały rakietki i lotki. Było to jedno z tych działań, które z miasta na Opolszczyźnie uczyniły badmintonową potęgę.

Coraz lepsze wyniki zawodników, regularna, ciężka praca, rozwój trenerów i przede wszystkim zaszczepianie miłości do badmintona w kolejnych rozpoczynających naukę w szkole podstawowej mieszkańcach Głubczyc przyniosły imponujące efekty. W 1980 roku Polski Związek Badmintona powołał kadrę narodową. W dużym stopniu tworzyli ją badmintoniści z Głubczyc: Maria Bahryj, Ewa Rusznica. Bożena Wojtkowska, Stanisław Rosko i Kazimierz Ciurys, a w kategorii juniorów: Zofia Żółtańska, Bożena Siemieniec, Jerzy Dołhan i Grzegorz Olchowik. Ewa Rusznica i Bożena Wojtkowska reprezentowały Polskę na mistrzostwach Europy seniorów w Groningen (Holandia). Był to pierwszy start polskiej reprezentacji w zawodach tej rangi.

Klub znowu zmienił nazwę. Tym razem sekcja badmintona przeszła do LKS Technik. Z tym szyldem głubczycki badminton związał się na stałe. I na wiele lat pozostał najbardziej utytułowanym polskim klubem badmintonowym. Nie będziemy wymieniać wszystkich sukcesów drużyny i zawodników, bo powstałaby z tego osobna książka. Wspomnijmy tylko kilka najważniejszych.

W kategorii sukcesów grupowych Unia, potem Polonia, a ostatecznie LKS Technik Głubczyce nieprzerwanie wygrywał drużynowe mistrzostwa Polski seniorów od roku 1973 do 1987. Mając kolekcję 14 złotych medali z DMP, w 1988 roku zawodnicy Technika musieli ulec Polonezowi Warszawa. Zrobili to niechętnie, bo byli wyraźnie lepsi od warszawiaków, ale na skutek błędnego ustawienia kolejności gier, ich wynik został zweryfikowany na korzyść Poloneza 6:5. Była to jednak krótka przerwa i już rok później pierwsze miejsce na podium znów zajęła drużyna Technika Głubczyce. Dobra passa trwała do 1992 roku. Rok później znów na chwilę zatriumfował warszawski Polonez, ale w latach 1994–1997 po raz kolejny Głubczyce rządziły niepodzielnie. Walki były zacięte, bo zawodnicy trenera Ryszarda Borka zmieniali barwy klubowe i stawali do walki przeciwko rodzimej drużynie. Przełomowe były lata 1998, gdy Technik spadł na 3. miejsce za klubami AZS AGH Kraków i SKB Suwałki oraz 1999, gdy uplasował się na drugiej pozycji za suwalszczanami. Drużyna z Głubczyc zdobywa tytuł Mistrza Polski jeszcze dwa razy – w 2000 i 2011 roku.

Na 42 edycje drużynowych mistrzostw Polski głubczycka drużyna zdobyła złoto aż 23 razy. Nie mniej imponujące są indywidualne osiągnięcia badmintonistów z Unii, Polonii, a wreszcie Technika. Ponad 400 medali zdobyli tacy zawodnicy, jak: Elżbieta Utecht, Bożena Wilczyńska, Józefa Ciurys (Borek), Bożena Wojtkowska (Haracz), Maria Bahryj, Ewa Rusznica. Ryszard Borek, Stanisław Rosko, Karol Hawel i Kazimierz Ciurys, Bożena Siemieniec (Bąk), Zofia Żółtańska, Barbara Zimna, Marzena Rogula, Marzena Masiak, Jerzy Dołhan, Grzegorz Olchowik, Marek Bujak, Jarosław Bąk, Andrzej Kołodyński, Roman Golinowski, Katarzyna Krasowska, Beata Syta (Hankiewicz), Joanna Bednarska, Piotr Mazur, Adrian Bąk, Marcin Paluch, Dorota Borek, Angelika Węgrzyn, Anna Rosko, Agnieszka Wojtkowska, Aneta Wojtkowska, Aleksandra Walaszek, Natalia Pocztowiak, Mateusz Walaszek, Przemysław Wacha, Bartosz Kocik, Rafał Hawel, Wojciech Szkudlarczyk, Adam Cwalina, Wojciech Poszelężny.

Na badmintonowy fenomen Głubczyc składa się też fakt, że z małego, liczącego zaledwie 13 tysięcy mieszkańców miasteczka, w dodatku bez wielkich pieniędzy, pochodzi aż czterech olimpijczyków. Są to: Bożena Siemieniec-Bąk (Barcelona 1992), Bożena Wojtkowska-Haracz (Barcelona 1992) – najlepsza badmintonistka w historii polskiego badmintona, Katarzyna Krasowska (Barcelona 1992, Atlanta

1996 i Sydney 2000) i Przemysław Wacha (Ateny 2004, Pekin 2008, Londyn 2012 i Rio de Janeiro 2016).

Trudno się zatem dziwić, że Jadwiga Ślawska-Szalewicz, była wieloletnia sekretarz generalna, a potem prezes Polskiego Związku Badmintona, napisała w książce „Moje podróże z lotką", że LKS Technik Głubczyce dostarczał kadrze najlepszych zawodników, czasami nawet stanowili oni 85 procent reprezentacji. I że z czasem PZBad pomógł działaczom z Głubczyc zbudować halę do gry w badmintona, a potem otworzyć Szkołę Mistrzostwa Sportowego, gdzie najpierw pod okiem Ryszarda Borka, a obecnie Bożeny Haracz szkolą się kolejne pokolenia zawodników.

O tym, jak bardzo Głubczyce były przesiąknięte badmintonem, świadczy jedno ze wspomnień byłej zawodniczki, Marzeny Dacyk, przywołane przez Jadwigę Ślawską-Szalewicz na jej blogu. Otóż był taki czas, że nawet miejscowy proboszcz zmieniał godzinę Pierwszej Komunii, by uroczystość nie kolidowała z otwarciem Ogólnopolskiej Olimpiady Młodzieży...*

* Korzystałam z materiałów zamieszczonych na stronie internetowej www.technikglubczyce.pl

Bez medali na igrzyskach

Badminton został olimpijską dyscypliną w 1992 roku podczas letnich igrzysk w Barcelonie. Wcześniej, dwukrotnie pojawiał się na największej sportowej imprezie jako dyscyplina pokazowa – w Monachium w 1972 roku i w Seulu w 1988 roku.

Polscy badmintoniści od początku brali udział w zawodach olimpijskich. W Barcelonie w skład drużyny weszli: Bożena Bąk, Bożena Haracz, Katarzyna Krasowska, Beata Syta, Wioletta Wilk i Jacek Hankiewicz. Najlepiej wypadły deblistki Bożena Bąk i Wioletta Wilk. W grze podwójnej kobiet dotarły do 1/8 finału. Zajęły 9. miejsce.

Cztery lata później, w Atlancie Polskę reprezentowała tylko jedna zawodniczka. Katarzyna Krasowska, trzynastokrotna mistrzyni Polski, również doszła do 1/8 finału.

Wychowanka Zrywu Opole i Technika Głubczyce startowała też na igrzyskach w 2000 roku w Sydney. Odpadła w pierwszej rundzie. Tym razem w reprezentacji było jeszcze dwóch zawodników. Michał Łogosz i Robert Mateusiak także zatrzymali się na 1/8 finału, zajmując 9. miejsce.

Na tym samym etapie rozgrywek duet Łogosz/Mateusiak zakończył rywalizację w 2004 roku w Atenach. Trzeci zawodnik reprezentacji Polski Przemysław Wacha, wychowanek Technika Głubczyce, zadebiutował na igrzyskach jako singlista, zajmując 17. miejsce. Do Grecji, gdzie narodziła się idea igrzysk olimpijskich, nie pojechały deblistki. Kamila Augustyn i Nadia Kostiuczyk, wielka nadzieja polskiego badmintona pochodząca z Białorusi za krótko była obywatelką Polski. Od nadania obywatelstwa nie minęły jeszcze trzy lata. Na jej występ w polskiej reprezentacji nie wyraził zgody Narodowy Komitet Olimpijski Republiki Białorusi.

Cztery lata później do Pekinu poleciało z Polski pięciu badmintonistów. Debiutantka Kamila Augustyn odpadła w pierwszej rundzie. Przemysław Wacha doszedł do 1/8 finału. O stopień wyżej wspięły się dwa polskie duety. W grze podwójnej mężczyzn Robert Mateusiak i Michał Łogosz zajęli 5. miejsce ex aequo z Malezyjczykami. Drogę po medal zakończyli w ćwierćfinale pokonani przez Duńczyków. Podobny wynik Polacy osiągnęli także w grze mieszanej. Robert Mateusiak i Nadieżda Kostiuczyk, która nie napotykała już żadnych przeszkód formalnych i mogła swobodnie występować w polskich barwach. Mateusiak i Kostiuczyk zajęli 5. miejsce.

Największy sukces para ta odniosła jednak w Londynie w 2012 roku. Nadia Zięba (z domu Kostiuczyk, zmieniła nazwisko po ślubie z Dariuszem Ziębą) i Robert Mateusiak wprawdzie ponownie zakończyli olimpijski występ na etapie ćwierćfinału. Jednak ich starcie z Chińczykami Xu Chen i Ma Jin było rewelacyjnym widowiskiem. Polacy przegrali, ale pokazali naprawdę kawał dobrej gry.

W skład polskiej drużyny badmintona na olimpiadę w Londynie weszli też Kamila Augustyn, Adam Cwalina, Michał Łogosz i Przemysław Wacha. Kamila Augustyn wróciła do domu po dwóch przegranych meczach i zakończyła karierę w reprezentacji. Duet mężczyzn (Łogosz i Cwalina) miał duże nadzieje na dobre występy. Niestety, przeszkodziła im kontuzja Michała Łogosza. Mecz z parą z Tajlandii zakończył się walkowerem. Kontuzjowany Polak z uszkodzonym ścięgnem Achillesa wyjechał z hali na wózku inwalidzkim. O dalszej grze w Londynie nie było mowy. Natomiast Przemysław Wacha zajął 17. miejsce.

Na XXXI Letnie Igrzyska Olimpijskie do RIO w 2016 roku poleciało pięcioro polskich badmintonistów. Mikst Zięba/Mateusiak znów dotarł jedynie do ćwierćfinału. Duet mieszany zajął 5. miejsce, zdołał natomiast zrewanżować się Chińczykom za Londyn. W podwójnej grze męskiej w Brazylii Polskę reprezentowali Adam Cwalina i Przemysław Wacha – odpadli w fazie grupowej. Przegrali trzy mecze. W fazie grupowej swój debiut na igrzyskach zakończył Adrian Dziółko. Zaczął jednak występy w Brazylii od wygranego meczu z Kevinem Cordonem. Niestety, Gwatemalczyk z powodu kontuzji wycofał się potem z udziału w najważniejszym dla każdego sportowca wydarzeniu i wynik meczu anulowano. Kolejne dwa starcia z reprezentantami Chin i Sri Lanki Dziółko przegrał. Jak na polską kadrę seniorów kielczanin reprezentujący klub UKS Hubal Białystok jest jeszcze młody, ma 27 lat i duże szanse na poprawę wyników w Tokio w 2020 roku.

Rakieta za wyborową, czyli jak to ze sprzętem bywało...

Po 40 latach od powołania Polskiego Związku Badmintona sprzęt, jakim grają nasi zawodnicy, w niczym nie ustępuje używanemu przez najlepszych graczy z różnych zakątków świata. Początkowo jednak różnice w wyposażeniu badmintonistów znad Wisły i ich rywali zza granicy były kolosalne.

Andrzej Szalewicz, pierwszy prezes PZBad w swojej książce „Historia badmintona w Polsce" wspomina, że gdy w czerwcu 1965 roku do naszego kraju przyjechali badmintoniści z NRD, od lat grający lotką piórową, nie mogli zrozumieć, jak można grać plastikową, w dodatku ważącą aż 8 g. Dodajmy, że dziś lotki ważą średnio od 4,74 do 5,5 g. Niemcy pokazali Polakom grę lekką lotką, ale spróbowali też zagrać tym, czym dysponowali gospodarze. Efekt? Zacytujmy Szalewicza: „Kiedy jeden z niemieckich zawodników wyszedł na kort i zaserwował naszą ciężką lotkę, przeleciała ona nie tylko przez całe boisko, ale także nad sąsiadującym basenem kąpielowym. Co się stało z jego rakietą wyczynową? Przez grzeczność przemilczę".

Bez wątpienia narodziny polskiego badmintona zawdzięczamy entuzjazmowi pierwszych zawodników. Gdyby nie ich fascynacja tym sportem, jakość sprzętu zapewne pokonałaby w nich chęć robienia sportowej kariery. Drewniane rakiety o nazwie Indianin, produkowane w łódzkiej Wessie, a do tego ciężkie plastikowe lotki z gumową nasadką... Trudna sprawa. Ale na wszystko znajdowały się sposoby. Na przykład głubczyccy zawodnicy zastosowali pomysł Tadeusza Englandera (legendy wrocławskiego badmintona) i zdejmowali gumowe główki, a potem oklejali lotki plastrem. Później PZBad sprowadzał już lotki piórowe zza granicy, m.in. z Chin.

Zmagań ze sprzętem nie ułatwiały zawodnikom także przepisy. Nawet gdyby badmintoniści jakimś cudem zdobyli zagraniczny lepszy sprzęt, nie mogliby nim grać na zawodach. Regulamin pierwszych oficjalnych indywidualnych mistrzostw Polski w 1964 roku zezwalał na granie tylko polskimi lotkami, a te – jak już wspomniano – do lekkich nie należały.

Rakiety ze stopów różnych metali zaczęto w Polsce wytwarzać dopiero w 1970 roku. Polsport w Bielsku Białej produkował tę o nazwie Jaskółka. Kolejne polskie produkcje to aluminiowy Szpak o wadze 270 g i bardzo lekkie, produkowane w Białymstoku na przełomie lat 80. i 90. przez firmę Esenbad, rakiety: wyczynowa C-93, nazywana „prostką" z włókna węglowego czy Al.-95.

Kadra narodowa została wyposażona w sprzęt japońskiej firmy Yonex, gdy w roku 1980 po raz pierwszy startowała na mistrzostwach Europy. Rok później

podczas mistrzostw Europy w Edynburgu władze Związku nawiązały współpracę z firmą Carlton. Pomogła w tym... polska wódka. Wspomina o tym w swej książce Andrzej Szalewicz. Kiedy grały polskie zawodniczki, działacze zakładali się o wynik z przedstawicielami Carltona. Jeśli Polki wygrały, świeżo pozyskany sponsor dostarczał sprzęt lub strój sportowy, a gdy przegrały – Polacy stawiali Anglikom eksportową wódkę Wyborową. „I tak do ćwierćfinałów mieliśmy ubrane cztery osoby, i to z zapasem rakiet" – wspomina ówczesny prezes Polskiego Związku Badmintona. Z tej znanej firmy Związek sprowadził też 100 sztuk rakiet, naciągi, lotki piórowe, a także 4 wykładziny kortowe. Rakiety i lotki kupowano też od zachodnioniemieckiego Victora.

Lotki piórowe natomiast nadal pochodziły głównie z Chin, aż w połowie lat 80. ruszyła polska produkcja. W Oławie Włodzimierz Appel zaczął robić lotki piórowe TWA (później nazwa została zmieniona na Appetor). Konsultantem merytorycznym przedsiębiorcy z Dolnego Śląska był trener Ryszard Borek. Po podróży do Chin w 1987 roku, gdzie pozwolono Jadwidze Ślawskiej, pełniącej wówczas funkcję sekretarza generalnego Związku nakręcić film w fabryce, PZBad otworzył Zakład Działalności Gospodarczej Polskiego Związku Badmintona Lotka w Teresinie, gdzie powstawały lotki typu Victor Apollo. Cała technologia ich produkcji była wzorowana na chińskiej.

Na szczęście czasy się zmieniły. Dziś polscy badmintoniści korzystają z najnowszych zdobyczy technologii i grają tym, co reszta świata. Zawodnicy kadry narodowej używają różnych modeli rakiet, m.in.: Yonex Voltric 80, Yonex Nanoray 700, Kawasaki Mao 18-II czy Babolat X Feel Blast.

Motywacja, talent, praca i... wariat

Jerzy Szuliński – legendarny trener I klasy badmintona, były trener kadry narodowej, działacz Polskiego Związku Badmintona, twórca wielu sukcesów sportowych suwalczan i nie tylko.

Przez długi czas w polskim badmintonie rządziły Głubczyce. Aż nagle na pierwsze miejsca mistrzostw Polski wskoczyły Suwałki i już długo z niego nie zeszły. To jest niewątpliwie Pana zasługa.

Dwa pierwsze tytuły na pewno, bo gdy przyszedłem do Suwałk 15 września 1988 roku, zespół był w drugiej lidze. Do pierwszej ligi weszliśmy w sezonie 1990/1991. Potem zdobyliśmy kolejno 3. miejsce, potem dwa razy 1. miejsce i w 2000 roku 2. miejsce. Od tamtego czasu już nie prowadzę głównego zespołu.

Z czego w swojej karierze trenerskiej jest Pan najbardziej dumny?

Największym dokonaniem, według mnie, to jest, że wybrałem tę dyscyplinę sportu. Zaczynałem w czasach, kiedy pracowałem w Górniczo-Hutniczym Klubie Sportowym „Bolesław" Bukowno. To był 1965 rok. A ja pełniłem funkcję prezesa ogniska TKKF Gwarek Bukowno. Kiedyś polscy piloci, którzy byli w Indiach, gdzie posypywali nawozami pola, przywieźli do Polski rakietki. Tak się zaczęła u nas kometka.

Przywędrowała z Indii?

Tak, przyleciała z polskimi pilotami. Towarzystwo Krzewienia Kultury Fizycznej przyjęło tę dyscyplinę w swoje ramiona pod nazwą „kometka" jako prosty sport masowy. Grało się na powietrzu, bo nie było żadnej infrastruktury, ale niemal od razu organizowano turnieje. Tak się zaczął badminton.

A jaki początek miała Pana przygoda z tym sportem?

Jak już wspomniałem, gdy byłem prezesem TKKF w Bukownie, zaczęliśmy odbijać. Najpierw w lesie, potem zrobiliśmy boisko, następnie zorganizowaliśmy rozgrywki z Orłem Olkusz, gdzie w Ludowych Zespołach Sportowych działał Henryk Swędzioł. Z nim organizowaliśmy pierwsze mecze, a potem Powiatową Ligę Kometki. Graliśmy w różnych miejscowościach. Boiska przygotowywały LZS-y. Później pojechałem na kurs organizatorów sportu do Wilkas, gdzie jest akademicki ośrodek szkolenia. Tam miałem okazję spotkać się z ludźmi, którzy zajmowali się kometką w Polsce, jak Andrzej Szalewicz czy Julian Krzewiński. Zdobyłem tam tytuł Letniego Organizatora Rekreacji Fizycznej. Był rok to 1967. Całe dwa tygodnie grałem wtedy z Felicjanem Kościelskim. Toczyliśmy boje na asfaltowym boisku, aż kolana nam wysiadły.

Z czasem zaczęliśmy organizować ogólnopolskie turnieje kometki o złotą lampkę górniczą z Zakładów Górniczo-Hutniczych „Bolesław" Bukowno. Nasz zespół wszedł do pierwszej ligi i grał w niej aż do sezonu 89/90. W sezonie 90/91 drużyna GHKS Bukowno została wycofana z rozgrywek. Prowadziliśmy ten zespół z Ryszardem Kazibutem. Później obaj dostaliśmy tytuł Zasłużonego dla Miasta Bukowna.

1988 rok – przeprowadzka do Suwałk.

Tak. W Suwałkach trenowałem już wcześniej, od 1982 roku, bo przyjeżdżałem tutaj jako drugi trener kadry narodowej na obozy, które odbywały się zawsze w sierpniu.

Wróćmy jeszcze do tego, co Pan powiedział, że jest najbardziej dumny z wyboru dyscypliny...

Tak, z tego, że wciągnąłem w nią swoją żonę, która też jest instruktorem i bardzo mi pomagała w przejściowym czasie, kiedy wyjeżdżałem na obozy kadry, a wyjeżdżałem dość często. Wtedy ona prowadziła treningi z moimi grupami.

Czyli zawodnicy, którzy zostali w domach, nie mieli wakacji tylko dlatego, że ich trener wyjechał?

Nie. Badmintonem oprócz żony zajmował się też nasz syn, który skończył Akademię Wychowania Fizycznego w Katowicach i grał w AZS Katowice. Do dziś pracuje w Suwałkach w Szkole Podstawowej nr 10 i prowadzi dziecięce grupy. Zrobiliśmy w tym mieście bardzo dobrą robotę, ale wciąż jeszcze „nie pobiłem" Ryśka Borka. Mam taki artykuł, w którym byłem nazwany „carem badmintona" [śmiech] i powiedziałem, że moim celem jest pokonanie Głubczyc, ale o tym za chwilę. Warto jeszcze powiedzieć, jak w Bukownie od kometki przeszliśmy do wyczynowego badmintona. Wszyscy na początku podchodzili do tego sportu ze śmiechem. My jednak rozgrywaliśmy pojedynki na wolnym powietrzu na poważnie, wtedy jeszcze w ośrodku sportowo-wypoczynkowym. Tam między innymi przyjechała drużyna koszykarek z Krakowa z Marią Muszak. Ona była żoną trenera koszykarek, które miały wtedy w Bukownie obóz i myśmy sobie z nią grali w kometkę. Natomiast dyrektor naczelny kombinatu Włodzimierz Woźniczko grał w tenisa. Gdy skończył swoją grę, zszedł z kortów, podszedł do mnie i mówi: „No Jurek, daj mi tę rakietę, to ja tę panią pogonię". Pan dyrektor był bardzo ambitny, a pani Maria była w czołówce Polski.

I to ona pogoniła jego?

Miażdżąco. Dyrektor walczył z 15 minut, w końcu stanął zdyszany i mówi: „Wiesz co, wolę dwie godziny grać w tenisa. To jest cholernie męczące". Na drugi dzień zadzwonił prezes klubu GHKS Bolesław Bukowno, który był głównym księgowym i mówi, żebym złożył wszystkie papiery, bo naczelny kazał przyjąć kometkę do klubu, bo to będzie naprawdę sport. I tak z TKKF-u przeszliśmy do wyczynu.

Panuje przekonanie, że Europejczycy nigdy nie prześcigną Azjatów w badmintonie. Pan jeździł do Chin i poznawał tam różnych trenerów i ich metody pracy. Jest szansa, że my tak kiedyś będziemy grać w Europie?

Wszystko jest możliwe, przecież Mateusiak i Łogosz byli mistrzami Europy w deblu. Tylko ułamka zabrakło Mateusiakowi i Kostiuczyk (teraz Ziębie) do medalu na igrzyskach. Przegrali z Chińczykami, ale w taki sposób, że równie dobrze mogli ten mecz wygrać i zdobyć medal. Zresztą, gdy byliśmy w Chinach w 1986 roku, Bożena Siemieniec wygrała mecz z Chinką. Natomiast w 1992 roku, gdy polska reprezentacja przygotowywała się w Chinach do wyjazdu do Barcelony, Hankiewicz z Dołhanem wygrali dwa mecze z Chińczykami.

Możliwości są, zatem co zrobić, żeby takie wygrane były częstsze?

To jest naprawdę bardzo skomplikowana sprawa, z różnych powodów. Wie pani doskonale, że małe dzieci zapytane, na przykład, dlaczego grają w piłkę nożną, dlaczego chcą być piłkarzami, odpowiadają: „Bo piłkarze mają bardzo ładne dziewczyny, bardzo dużo pieniędzy i bardzo ładne samochody". Widziałem to w telewizji. Motywacja jest prosta. A z badmintona nie da się wyżyć, więc bardzo trudno pracować na dobre wyniki. W Głubczycach stworzyła się grupa, która ciągnęła polski badminton przez kilka lat. To była mała miejscowość. Wojtkowska, Siemieniec, Dołhan czy inne dzieci mogły wyjeżdżać za granicę, miały paszporty z wklejkami na pół metra. Teraz, by w badmintonie zrobić wynik, trzeba wykonać morderczą pracę. Natomiast w tej chwili sytuacja jest taka, że żaden orzełek na piersiach ani napis „Polska" nikogo nie rajcuje. Każdy może jechać do Tunezji, na Majorkę, wszędzie gdzie chce. Już nie ma takiej motywacji jak przed laty, bo z tego sportu nie ma dużych pieniędzy.

Natomiast pracować trzeba bardzo ciężko...

Trening badmintona jest treningiem naprawdę morderczym. Badmintonista w czasach, gdy pracowałem w Bukownie, a więc zanim zmieniło się naliczanie do 21 punktów, musiał mieć zapas wytrzymałości ogólnej w granicach 12 kilometrów. Po zmianie zmniejszył się on o jedną trzecią, w tej chwili wynosi 9 kilometrów, ale za to zwiększyła się szybkość, siła i dynamika całej gry. To jest w ogóle całkiem inna sytuacja. Grając na przykład trzy sety, zawodnik mógł coś kombinować. Teraz musi być dużo szybszy i w ogóle inaczej podchodzić do gry. Obecnie zdobywa się punkt po punkcie, a wtedy zdobywało się punkty w układzie, z ostatniej zagrywki. Następna sprawa – młodzież, która gra w badmintona, do skończenia szkoły średniej może sobie grać, wyjeżdżać na olimpiady młodzieży, po prostu tym się bawić. Ale potem w sporcie zostają już tylko tacy, którzy są ustawieni, że tak powiem, finansowo. Szkoła się kończy, trzeba trenować, trenować i jeszcze raz trenować, a specjalnych widoków na zarobek nie ma, dlatego teraz bardziej rozwija się badminton amatorski.

Gdzie spojrzeć, działa liga amatorska.

Właśnie. Ci, którzy kiedyś grali, potem musieli zdobywać pieniądze „na papu", a teraz, gdy już się trochę dorobili, znów chodzą, ćwiczą, grają, walczą. Do Suwałk bardzo często przyjeżdżają drużyny z Warszawy, bo Warszawa w tej chwili ma kilka ośrodków, które są bardzo dobrze zorganizowane. Nadal jest tak, że z badmintona nie da się wyżyć. To się udaje tylko jednostkom. Dyscyplina jest bardzo skomplikowana, jeżeli chodzi o psychikę. Występują wszystkie możliwe sytuacje, jakie można spotkać w czasie walki sportowej.

Pieniądze są potrzebne nie tylko na gaże dla zawodników?

Kiedyś wyczynowy badminton był dość dobrze zorganizowany, bo było więcej pieniędzy. Związek mógł więc zatrudnić zagranicznego trenera. Przez rok w Polsce pracowali chińscy trenerzy, nawet jeden z nich prowadził ze mną drużynę w Suwałkach. Zdobyliśmy wtedy brązowy medal, pierwszy, na drużynowych mistrzostwach Polski. On też coś dołożył do tego sukcesu. Było przy tym wiele zabawnych sytuacji. Na przykład taka: gdy nasi zawodnicy biegali na treningach na jego polecenia z rakietą we wszystkich kierunkach, to pierwszym, czego się nauczył, było żegnanie się [śmiech]. Patrzę, a on się żegna i krzyczy: „Czas! Czas! Czas!" [śmiech].

Któryś z tych azjatyckich trenerów popatrzył, jak trenują polscy zawodnicy i powiedział, że owszem, jest tutaj dużo utalentowanych zawodników, ale muszą więcej pracować. I że w Azji zawodnicy myślą o drużynie, a tutaj każdy chce być gwiazdą i mieć swój sukces. Zgadza się Pan z tym? Jest problem ze zbyt indywidualnym podejściem?

Tak, zgadzam się w stu procentach. Nie można jednak w ogóle porównywać mentalności ludzi Azji i Europy, bo to są dwa różne światy. Chińczycy żyją dla narodu, bo tam przy tym miliardzie trzystu czy czterystu milionach ludzi życie jednego człowieka jest inaczej traktowane. Najmniejsza prowincja, do której przylecieliśmy, liczyła 30 milionów mieszkańców. To są nieporównywalne sprawy. I druga rzecz: wszystkie ośrodki szkoleniowe są tam budowane w odosobnieniu. Stawiają kwadrat w górach i tam się odbywa praca nad formą zawodników. Praca Chińczyków też jest inna. Podam pani przykład: jestem na pierwszym obozie w Głubczycach w 1983 roku, gdzie przyjechała ekipa z Chin. Moim zadaniem jest zapisywanie wszystkiego, co oni robią i obserwowanie ich treningów. W pewnym momencie trener zwraca zawodniczce uwagę na treningu, że się za mało stara. Niech sobie pani wyobrazi, że ta Chinka stanęła przy ścianie, ugięła nogi i przez 15 minut uderzała rakietą. 15 minut tak stała, żeby zapamiętała. I teraz najciekawsze, trener nie kazał jej tego robić, ona sama zadała sobie dodatkowe ciężkie ćwiczenie. Inna mentalność. Wie pani, jeszcze Europejczyk to jest Europejczyk, a Polak to jest Polak, jeszcze inna sprawa [śmiech].

Podziwiam Pana nie tylko za sukcesy sportowe, ale też za niesamowitą żyłkę kronikarską. Pan wszystko dokumentował, zbierał wycinki z gazet, protokoły, notatki...

Jeśli się podchodzi do sprawy profesjonalnie, to tak trzeba było robić. Mam na przykład pierwszy wywiad przeprowadzony ze mną przez dziennikarza między innymi o tym, dlaczego przyszedłem do Suwałk. Mówiłem mu, że moim marzeniem jest „pobić" Ryśka Borka. Wciąż jeszcze nam się to nie udało, bo Głubczyce miały 26 tytułów Mistrza Polski, a my mamy 16. Na razie 16.

Poznał Pan badminton z różnych stron świata i wychował wielu fantastycznych zawodników. Czy coś zaskoczyło Pana w pracy trenerskiej? Coś było dla Pana wielką niespodzianką?

W badmintonie jest tak, że nieraz przychodzi człowiek na pierwszy test i ja ze swoim doświadczeniem widzę, że może będzie z niego zawodnik albo przeciwnie – że zupełnie nie rokuje na przyszłość. Bywa, że ktoś taki jednak ma coś w sobie, na przykład jakoś inaczej porusza palcami. W takiej sytuacji wszystko zależy od psychiki. Znałem kilku zawodników, którzy na początku nie przejawiali żadnej szansy zrobienia wyniku. A z czasem dostali się do kadry narodowej i bardzo dobrze grają. Wszystko jest możliwe, ale ludzie muszą mieć zacięcie, dużo chęci i odpowiednią opiekę rodziców, którzy będą ich wspierali.

A z drugiej strony musi być trener, który zauważy potencjał ukryty tak głęboko.

Nie można prostu w takim sporcie jak badminton kogoś skreślić zupełnie. Ja tego nigdy nie robiłem. Kto przychodził, próbował dotąd, dopóki sam nie odszedł. Nikogo nigdy nie wyganiałem, chyba że go złapałem na paleniu papierosów. Wtedy wylatywał od razu.

Palenie jest największym przewinieniem?

Każdemu, kto przychodził, od razu mówiłem, że jeżeli zacznie palić papierosy, to oddaje wszystko i ma się wynosić. Niezależnie od tego, czy będzie zdobywał medale czy nie. Dla palaczy miejsca w klubie nie ma.

I wielu Pan wyrzucił?

Jednego. Piękny chłopak, dobrze grał, ale mnie oszukał. Nie wiem, czy teraz pali czy nie. Wtedy powiedzieli mi, że on pali. Zapytałem go, zaprzeczył. Potem jadę autobusem przez Suwałki, patrzę, a on idzie i pali. Przyjechał na trening, a ja mówię mu: „Dawaj wszystko, co masz z klubu i wypieprzaj". No i tak się skończyło.

Ale pewnie lekcję, że nie wolno kłamać, zapamiętał do końca życia?

Może.

Rysuje nam się piękna puenta, że najważniejsze są motywacja, wytrwałość i praca.

Albo inaczej. Musi być wariat [śmiech].

Trener wariat?

Trener albo zawodnik. Mam jeszcze 53 dzienniki zajęć, które chcę dać prezesowi Markowi Zawadce. Tylko nie wiem, jak to zrobić, bo te wszystkie materiały zajmą pół samochodu. Tam są zdjęcia, wyniki...

Czyli kopalnia wiedzy na temat historii polskiego badmintona... No, ale z badmintona, jak już mówiłem, nie da się wyżyć. Za to musi się wziąć wariat.

Czyli uważa Pan, że Marek Zawadka jest takim pozytywnym wariatem?

Tak mi się wydaje. Najlepsze zdanie o nim usłyszałem od „carskiego urzędnika" – tak nazywam Marka Idzikowskiego. On mi wyjaśnił, że nowy prezes to solidny facet, na którym można polegać. Mam nadzieję, że dzienniki kiedyś do niego dotrą, tylko jeszcze nie wiem jak.

Od kometki do badmintona

Andrzej Szalewicz – działacz sportowy, współzałożyciel i pierwszy prezes Polskiego Związku Badmintona, współzałożyciel i prezes Unii Polskich Związków Sportowych. W latach 1991–1997 prezes Polskiego Komitetu Olimpijskiego. Autor książki „Historia badmintona w Polsce".

Andrzej Szalewicz: Z badmintonem, który dotarł do Polski w 1955 roku po Festiwalu Młodzieży, zetknąłem się cztery lata później. Zanim to się stało, w 1957 roku powstało Towarzystwo Krzewienia Kultury Fizycznej, w którym badminton, nazywany wówczas kometką, był jedną z głównych dyscyplin. Nawet w 1960 był dyscypliną roku. W latach 60. zaczynano grać w badmintona w różnych miejscach w Polsce. Najbardziej rozwijał się on w Poznańskiem, na Mazowszu, ale to nie znaczy, że w Warszawie. W stolicy pojawił się z opóźnieniem. Następna była Łódź. We wszystkich wojewódzkich oddziałach TKKF działacze starali się zachęcić jak najwięcej ludzi do uprawiania badmintona. Za tę dyscyplinę przyznawane były dodatkowe punkty w spartakiadach.

W 1964 roku TKKF stwierdza, że należy zbudować coś, co się później nazywało Społeczną Komisją Kometki przy Zarządzie Głównym TKKF. Był to pierwszy zalążek jakiekolwiek ogólnopolskiej organizacji badmintonowej. Mam satysfakcję, że wszedłem do składu 17-osobowej Komisji. Wielu kolegów z tej siedemnastki już odeszło. Komisję prowadził Stanisław Zakrzewski, dziennikarz redakcji „Żagle", który niezależnie od kometki, był głównym opiekunem i twórcą kulturystyki w Polsce. W tamtym czasie właśnie badminton i kulturystyka były krzewione przez pismo „Sport dla wszystkich". Wśród ludzi zajmujących się badmintonem wyodrębniły się dwa ugrupowania – jedni chcieli doprowadzić do powstania polskiego związku – wszyscy zdawali sobie sprawę, że nie stanie się to od razu, a drudzy woleli się bawić na poziomie TKKF-u. Dlaczego?

Trudno powiedzieć. Czasem jest tak, że ludzie wolą rywalizować na poziomie, powiedzmy, mistrzostw Polski. I wcale nie mają ambicji wyjść gdzieś dalej. A wiadomo, że jak już narodzi się poważna organizacja, zaczną się: rywalizacja na serio, starania o wyniki i dysproporcje. Przestaje to być tylko działalność rekreacyjna, a zaczyna się wielki sport. Ja byłem w grupie, która dążyła do utworzenia związku.

W 1974 roku dostaliśmy zgodę na powołanie Centralnej Komisji Badmintona. A ponieważ jeszcze cały czas trwały spory o nazwę – kometka czy badminton – wystąpiliśmy do prof. Witolda Doroszewskiego o rozstrzygnięcie. Niektórzy

uważali, że nazwa „kometka" jest polska, bo wymyślił ją Polak, Fazanowicz. Ale w rzeczywistości okazało się, że to słowo pochodzenia greckiego. Badminton jest słowem angielskim. Prof. Doroszewski dał taką oto wykładnię: z dwóch słów obcojęzycznych – kometka i badminton – lepiej używać nazwy badminton. Pochodzi ona od pałacu księcia Beauforta właśnie w posiadłości Badminton. To jest nazwa międzynarodowa, używana wtedy w 56 krajach na świecie. Dlaczego więc akurat my mielibyśmy mieć odmienną?

Centralna Komisja Badmintona miała już bardzo mocne cechy związku, z tym że jeszcze bez związkowych uprawnień. Zgodę na powołanie Polskiego Związku Badmintona dostaliśmy trzy lata później. Spotkanie założycielskie odbyło się 29 maja 1977 roku przy okazji zawodów badmintonowych w Głubczycach. Dziewięć klubów, które wiodły prym, podpisało dokument, że stają się członkami założycielami. Parę miesięcy trwały sprawy formalne, układanie statutów, opracowywanie dokumentów.

Polski Związek Badmintona został powołany 7 listopada 1977 roku. Miałem przyjemność być przewodniczącym Centralnej Komisji Badmintona, a następnie pierwszym prezesem Polskiego Związku Badmintona. Pełniłem tę funkcję przez 14 lat, a po mnie przez kolejne 14 lat prezesem była Jadwiga Ślawska, a od 1992 roku moja żona Jadwiga Ślawska-Szalewicz, czyli w sumie kierowaliśmy Związkiem przez 28 lat. Dlaczego Jadwiga? To proste, chodziło o ciągłość myśli. Oboje wiedzieliśmy, po co na przykład organizujemy zawody dla maluczkich, potem średnich i co trzeba robić, by wyczynowa gra była na coraz wyższym poziomie.

Wszystkiego uczyliśmy się od początku. Przez pierwsze lata w TKKF-ie graliśmy, mówiąc wprost, idiotycznie, bo lotką plastikową o zupełnie innym ciężarze w stosunku do piórowej, którą grała już wtedy reszta świata. Gdy zetknęliśmy się z badmintonem, wszyscy już grali piórem. Z czasem było coraz lepiej. Zaczęliśmy mozolnie budować badminton w Polsce. Oczywiście Głubczyce były numerem 1.

Warto dodać, że początek lat 70. to szalenie ciekawy okres. Zanim jeszcze powstał związek, w 1972 roku odbył się pierwszy kurs instruktorów w Świeradowie. Bardzo wielu kolegów do dziś działających w badmintonowym środowisku kończyło tamten kurs. Byliśmy dorosłymi ludźmi, pracującymi, spotykaliśmy się wieczorem towarzysko i umawialiśmy się, że chociaż nie mamy pieniędzy ani zezwolenia, zrobimy ligę w Polsce. I raptem się okazało, że było to możliwe. W drużynowych mistrzostwach Polski startowały drużyny z 24 klubów. Trzeba było mieć pewną odwagę, żeby porwać się na organizowanie takiej imprezy. Wiadomo, że myśmy nic nie robili na lewo, ale o wszystko musieliśmy zadbać sami. I udawało się, nikt się z nikim nie pobił, nikt nie protestował.

Gdy doszło do powołania Polskiego Związku Badmintona, nastąpiło tąpnięcie, jeżeli chodzi o liczby. Po pierwsze, grających, po drugie, ognisk głównie

TKKF-u i klubów. Bo już wtedy istniał na przykład klub Technik, który potem był Polonią, następnie Unią, a w końcu LKS Technikiem Głubczyce. Stało się to, o czym wspomniałem na początku – gdy chodziło wyłącznie o rekreację, grę hobbystyczną dla wszystkich, to mnóstwo ludzi się garnęło do badmintona. Natomiast kiedy trzeba było ująć grę w organizacyjne ramy, zdobywać pieniądze, prowadzić regularny trening, entuzjazm opadł. Całość tych zdarzeń pozwoliłem sobie opisać w książce „Historia badmintona w Polsce". Niestety, nie odbiliśmy się od tamtego tąpnięcia do tej pory.

Licencjonowanych zawodników grających w badmintona jest obecnie 1600–2000, a w piłkę nożną gra 300 tysięcy. Proszę sobie wyobrazić, że w TKKF-ie na imprezach typu spartakiady potrafiliśmy jednego roku mieć 460 tysięcy uczestników w jednych zawodach. A po kilku latach liczba zawodników spadła do 1600, właściwie w ogóle nie ma czego porównywać [śmiech]. To tąpnięcie to oczywiście był szok.

Kometka zdobywała szaloną wprost popularność, mimo że grało się jeszcze drewnianą rakietą. W latach 70. jak ktoś otwierał bagażnik, to okazywało się, że każdy woził dwie rakietki, bo wszyscy grali gdzie się dało. Czy znali przepisy, to jest inna para kaloszy. Wszyscy odbijali. Kometka to było takie właśnie luźne odbijanie, bez przepisów, bez wymiarowego boiska. Związek natomiast musiał doprowadzić do tego, żeby pojawiły się korty. Rozkładane korty ważyły 150 kilogramów. Do ich zwijania potrzebny był widlak, magazyn do przechowywania, czyli należało zbudować infrastrukturę. Wiele klubów nigdy nie miało własnych wykładzin, jedynie namalowane boiska na salach gimnastycznych w szkołach.

Kolejna rzecz to szkolenia. W tych pierwszych kadencjach musieliśmy ściągnąć do Polski ogromną liczbę trenerów zza granicy, żeby wyszkolili naszych. Początkowo głównie korzystaliśmy z kadry z NRD, bo oni byli przy granicy i dużo wcześniej mieli przepisowy badminton, a nawet szkoły sportowe. Potem przyjeżdżali do nas Anglicy, Duńczycy i Niemcy, ale już ci z RFN-u. Sprowadziliśmy nawet pięciu Chińczyków.

Wszystko zaczęło się od naszego wyjazdu do Chin. Chińczycy bardzo ładnie nas przyjęli. Przejechaliśmy wtedy z młodzieżową drużyną – dziś to pięćdziesięciolatkowie – całe Chiny, 15 tysięcy kilometrów. Gdy Bożena Siemieniec z kraju, o którym oni nawet nie słyszeli, wygrała z nimi jeden mecz, Chińczycy przeżyli szok. Stwierdzili po tym meczu, że skoro mamy takich zawodników jak Bożena, to oni nam pomogą. I faktycznie pomogli. Gdy w 1982 roku był stan wojenny i nie odbywały się u nas żadne imprezy z udziałem ludzi z zachodnich krajów, na mistrzostwa Polish Open w badmintonie przyjechały drużyny z 12 krajów. Powody były dwa – po pierwsze przyjeżdżali do nas Chińczycy, po drugie zawody pokazywało się w telewizji po 4–6 godzin dziennie. Takie to były czasy.

Obecność zawodników z tylu krajów, oczywiście, nie mistrzów świata, bo mistrzowie świata już wtedy zarabiali ciężkie dolary, była ważna, dlatego że nasi badmintoniści mogli się z nimi oswoić, zobaczyć, jak wygląda gra, zachowania, inne – dla nas dziwne, żywienie. W latach 90. – to już była era mojej żony, zawodnicy prowadzeni w szkołach mistrzostwa sportowego, zdobyli pierwsze medale na mistrzostwach Europy juniorów. Wiadomo, co dalej. Skoro medale zdobywają juniorzy, to po jakimś czasie również seniorzy.

Mnóstwo ciekawych rzeczy można by opowiadać o tym, jak myśmy pracowali z zawodnikami. To przecież były czasy, kiedy wyjeżdżało się za granicę i człowiek miał całe 4 dolary na dzień do wydania, bo więcej nie wolno było wziąć. Nasi młodzi zawodnicy z miejscowości typu Głubczyce spotykali się z młodymi Duńczykami, którzy mieli duże pieniądze, byli obyci, rozbawieni. Gdy nasz zawodnik wchodził na kort i widział rywala z Zachodu, już miał sztywne nogi, zestresowany nic nie potrafił zagrać. Robiliśmy więc na przykład kursy tańca podczas zgrupowań kadry narodowej, po dwie godziny dziennie, uczyliśmy zachowania, w tym na przykład jedzenia przy szwedzkim stole. Naszych zawodników początkowo przytłaczał duży wybór wędlin, sera czy innych potraw podczas posiłków. Albo mówili, że nie ma co jeść, co znaczyło, że nie ma tego, co zwykle jadali, albo objadali się przed meczem i potem były kłopoty.

Uczyliśmy się wszystkiego krok po kroku, aż doszliśmy do złotego medalu mistrzostw Europy w 2001 roku. Podkupiliśmy Białorusinom grającą u nas od lat Nadię Kostiuczyk, dziś Nadię Ziębę i razem z Kamilą Augustyn zdobyły złoty medal, zresztą świetnie prowadzone przez Klaudię Majorową. Ona rewelacyjnie prowadziła przez 12 lat kadrę narodową. Co dwa lata nasi juniorzy i seniorzy zdobywali medale. A trzeba wiedzieć, że awansowali od 6. grupy. Przepisy wówczas obowiązywały inne niż teraz, nie można było przyjechać i zdobyć mistrzostwa Europy. Trzeba było się wspinać po kolei. Jak się grało w 6. grupie i wygrywało się grupę i baraż na tych samych zawodach z ostatnim z grupy piątej, można było awansować do grupy piątej. I tak co dwa lata przechodzić o oczko wyżej. Na starcie trzeba było liczyć 10 lat do tytułu mistrza. I nasi zawodnicy pod kierunkiem Klaudii Majorowej po kolei doszli do 1. grupy. A później już zmieniono przepisy. Teraz wszyscy mogą zdobyć tytuł.

W latach 2008 i 2010 zdobyliśmy tytuł wicemistrza Europy drużyn męskich, medale w seniorach, o juniorach już wcześniej mówiliśmy. Dodam, że nasi panowie trenerzy bardzo byli zdenerwowani, że Klaudia Majorowa została trenerką kadry. Mieli problem z tym, że kobieta sterowała polskim badmintonem...

Wracając do mnie, odszedłem z Polskiego Związku Badmintona w 1991 roku, gdy zostałem prezesem Polskiego Komitetu Olimpijskiego. To było bardzo ciekawe zajęcie. Oczywiście, cały czas towarzyszyłem Jadwidze. Zresztą, do dzisiaj

mamy ten układ. Najpierw ja byłem w latach 1987–1989 wiceprezydentem Europejskiej Unii Badmintona, a następnie w latach 2004–2007 Jadwiga pełniła tę funkcję. Znajomości, które mamy, do dzisiaj owocują. Niestety, poprzedni dwaj prezesi nie bardzo chcieli z nich korzystać. Dali się zdominować zawodnikom, a to niestety, bardzo utrudnia pracę i utrzymanie właściwych proporcji. Jeżeli zawodnicy zaczynają sterować prezesem, to z reguły kończy się źle. Trzymają nogi na szyi wszystkim młodym zawodnikom, żeby broń Boże, im nie zagrozili, w efekcie zupełnie rozsypała się cała kadra.

To, co Marek Zawadka teraz będzie budował, będzie budował od zera. Oczywiście, w klubach ludzie grają, ale brakuje trenerów, szkolenia. Myśmy potrafili wyszkolić ponad 300 osób. Z 300 osób można wybrać 20. Ale jak jest 20, to wybierze się dwóch, a dwóch nie wystarcza do prowadzenia sportu na skalę europejską.

Pracy jest dużo i znów wiele rzeczy należy zbudować od nowa. Jednak widzę szansę na tę odbudowę. Tym bardziej że im głębszy dołek, tym łatwiej się odbić. Teraz nowy zarząd raczej będzie skupiony na 17- i 19-latkach. Odkąd Jadwiga odeszła ze Związku w 2005 roku, nie zdobyto w juniorach ani jednego medalu aż do kwietnia tego roku. A przecież w mistrzostwach Europy 17-latków zawsze mieliśmy pierwsze lub drugie miejsce, bo cztery najlepsze drużyny początkowo nie brały w nich udziału. Oni mieli swój Turniej Sześciu Narodów, do którego nas nie dopuszczali. Dlatego myśmy wtedy wymyślili Polonię Cup, czyli zawody dla 17-latków, w których alby my, albo Rosjanie, wygrywali na zmianę. Pojedynki były wyrównane. A później skoncentrowano się tylko na utrzymywaniu poziomu seniorów, a zapomniano o reszcie. W efekcie jest teraz luka pokoleniowa w kadrze.

Mógłbym opowiadać krytycznie o rozsypaniu się systemu szkolenia młodzieży, ale zamiast tego przypomnę, że kiedyś skorzystaliśmy z pomysłu tenisistów stołowych. W którymś momencie tenisiści wycięli właściwie wszystkich starych zawodników i postawili na Grubbę i Kucharskiego i nimi dwoma pociągnęli juniorów. Ileż było krzyku, przecież tenis stołowy to sport dużo popularniejszy od badmintona. I co się okazało? Świat się nie zawalił, a panowie przejechali Europę i zdobywali medale na mistrzostwach świata. W badmintonie jest podobna historia. Trzeba będzie zacząć budować od zera. Strasznie łatwo byłoby skrytykować ostatnie 10 lat, powiedzieć, że się nic nie działo, ale wolę skupić się na pomaganiu, jeśli tylko ktoś z mojej pomocy będzie chciał skorzystać.

Był sobie trener...

Ryszard Borek to postać niezwykła – człowiek, który zbudował badmintonową potęgę Technika Głubczyce i popchnął polski badminton na międzynarodową arenę. Dziś ten pan po siedemdziesiątce jest honorowym prezesem legendarnego klubu i skarbnicą sportowej mądrości. I pomyśleć, że chciał być piłkarzem...

Młodzieniec ze sportową duszą marzy o karierze piłkarskiej. Wiosna 1968 roku to w Polsce, także na polsko-czeskim pograniczu, czas politycznej zawieruchy. Wtedy kończy służbę wojskową i wraca do rodzinnych Głubczyc, niewielkiego miasteczka na Opolszczyźnie. Zamierza spełnić marzenie o sukcesach na boisku. Wznawia treningi w piłkarskim klubie ZKS Polonia Głubczyce. Nie przypuszcza, że jego życie już wkrótce na zawsze zdominuje zupełnie inna dyscyplina sportu. Na razie nawet nie wie o jej istnieniu. Kometka? Może słyszał. Ale badminton? Niekoniecznie. Trenuje piłkę nożną, lecz atmosfera w klubie robi się nieznośna. Postanawia więc porzucić Polonię, ale nie sport. Jeśli nie piłka, to co?

Rozglądając się za nowym klubem, w końcu maja 1968 roku trafia przypadkiem na boisko przy głubczyckim ogólniaku, gdzie akurat ćwiczą badmintoniści pod okiem propagatora tej dyscypliny w mieście – Bolesława Zdeba. Przyłącza się, bierze rakietkę, próbuje odbijać. Idzie mu tak sobie... Ale przecież nie byłby sobą, gdyby poddał się po jednej próbie. Ambicja każe mu nauczyć się grać w badmintona. Pożycza rakiety od znajomego i z przyjacielem Ryszardem Mazurem ćwiczy odbijanie tak długo, aż jest w tym dobry. Ćwiczą w parku. Nawet nie wiadomo, kiedy ich duet zmienia się w całkiem liczną grupę. Panowie rysują boisko do badmintona i rozgrywają mecze towarzyskie...

Tymczasem w pobliskiej Pokrzywnej szykuje się Wojewódzka Spartakiada Włókniarzy. W Głubczycach działają Zakłady Przemysłu Dziewiarskiego Unia. To tam pracuje Bolesław Zdeb i tam działa Przyzakładowa Szkoła Włókiennicza. Jej uczennice trenują pod okiem tego początkującego trenera, szykując się do zawodów. Ale Zdeb ma problem – w jego drużynie są prawie same dziewczyny, a na spartakiadzie trzeba też wystawić męską reprezentację. Postanawia dogadać się z Ryszardem Borkiem. Od tej pory będą działać razem.

Obaj chcą się rozwijać i jak najlepiej szkolić badmintonistów. Szukają literatury fachowej i sprzętu sportowego. W ręce Borka wpada nieoceniona broszurka pt. „Kometka – zawody sędziowanie" wydana przez Centralną Radę Związków Zawodowych.

Głubczyccy wielbiciele badmintona wciąż grają na powietrzu, ich treningi mocno zależą od pogody. Mimo tego zawodnicy przygotowują się do zawodów. W 1969 roku w drużynie pojawia się m.in. Józefa Ciurys, która wkrótce zostanie żoną Ryszarda Borka. Pierwsze poważne zawody, czyli Wojewódzki Turniej o Puchar Zarządu Głównego TKKF, nie satysfakcjonują ambitnych zawodników, choć nie jest najgorzej: Ryszard Borek zajmuje drugie miejsce. Postanawia wziąć się na serio za pracę szkoleniowca. Bolesław Zdeb bierze na siebie sprawy organizacyjno-formalne.

Od tej pory o Ryszardzie Borku-trenerze będzie coraz głośniej. Postępy robią zarówno szkoleni przez niego zawodnicy, jak i on sam – wciąż też gra. W 1970 roku drużyna Unii awansuje do eliminacji strefowych, a Borek i Ciurys zdobywają kwalifikację do centralnego turnieju w Mielcu.

Dwa lata później Centralna Komisja Badmintona kieruje Borka i Zdeba na kurs instruktorów we Wrocławiu. Badminton w Głubczycach wchodzi w fazę sportu wyczynowego, a od 1973 roku rozpoczyna się kilkuletnie nieprzerwane pasmo sukcesów Technika. Podopieczni Ryszarda Borka zdobywają 23 tytuły Drużynowego Mistrza Polski. Od 1976 roku dochodzą też indywidualne zwycięstwa wychowanków trenera. Jest ich mnóstwo.

Od 1980 roku pierwszy trener Technika Głubczyce, a potem także kadry narodowej, wyszkolił wielu najlepszych polskich zawodników, w tym absolutnie bezkonkurencyjną Bożenę Wojtkowską, obecnie Haracz, która zdobyła w sumie 51 medali mistrzostw Polski, w tym 34 złote. Ale z jednej strony surowy i wymagający, a z drugiej nieżałujący swojego czasu na indywidualne zajęcia szkoleniowiec oszlifował więcej sportowych diamentów. Jego wychowankami są m.in.: Jerzy Dołhan, który zdobył 42 medale mistrzostw Polski i Jacek Hankiewicz, olimpijczyk z Barcelony 1992 z dorobkiem 34 medali mistrzostw Polski – obaj pełnili funkcję trenerów kadry narodowej.

Podopiecznymi Borka byli także wielokrotni medaliści: Bożena (Siemieniec) Bąk (olimpijka z Barcelony 1992), Stanisław Rosko, Katarzyna Krasowska (trzykrotna olimpijka), Grzegorz Olchowik, Elżbieta Utecht (Kuczkowska), Kazimierz Ciurys, Ewa Rusznica (Wilman), Zofia Żółtańska-Drogomirecka czy Maria Bahryj. Jako trener kadry narodowej pracował też z Robertem Mateusiakiem, Michałem Łogoszem i Przemysławem Wachą.

Dokonania Ryszarda Borka są tym bardziej imponujące, że wszystko zawdzięcza swojej ciężkiej pracy, dyscyplinie, wewnętrznemu uporowi i chęci ciągłego szkolenia się, podnoszenia kwalifikacji. A także niechęci do narzekania na trudności. A tych, jak w każdej pracy, nie brakowało. Nie wszyscy też kochali człowieka, który jak fabryczna taśma co chwilę wypuszczał w świat kolejnego medalistę czy medalistkę. Ale i to pokonywał, dążąc do jasno wytyczonych celów. A jeśli

przyjmiemy, że dobry trener nie musi być słodki jak cukierek, ale skuteczny jak lekarstwo, nawet gorzkie, to czyż można sobie wymarzyć kogoś bardziej stworzonego do roli trenera nich człowiek, który wyszkolił tylu medalistów?*

---

* Korzystałam z materiałów zamieszczonych na stronie internetowej www.technikglubczyce.pl.

Najdroższe landryny w życiu

Janusz Musioł – trener badmintona w AZS AWF Wrocław, działacz Polskiego Związku Badmintona, organizator Otwartych Mistrzostw Wrocławia, legenda wrocławskiego, akademickiego badmintona.

Janusz Musioł: Pracowałem na stadionie Olimpijskim we Wrocławskim Ośrodku Sportu, Turystyki i Wypoczynku. Podlegały mi hotele i turystyka, kemping, a z czasem także wszystkie kąpieliska miasta Wrocławia. W pewnym momencie dyrektor Dolczewski mówi do mnie: „Słuchaj, mamy duże przedsiębiorstwo, ale nie ma organizacji związkowej. Trzeba powołać radę do organizacji". Raz dwa odbyły się wybory. Po 2–3 latach zaczęliśmy uczestniczyć jako stadion w życiu sportowym. Tyle że pracownicy stadionu nie uprawiali sportów. Trochę grali w ping-ponga, trochę w piłkę nożną i to wszystko. Ruch związkowy spowodował, że trzeba było też usportowić załogę, musieliśmy organizować spartakiadę zakładową, a później uczestniczyć w miejskich, międzywojewódzkiej, itd. Wśród różnych konkurencji była też kometka. Wtedy jeszcze to były czasy kometki.

W 1965 roku powołaliśmy ognisko TKKF Olimpia – nazwa wzięła się od organizacji Polaków, którzy działali w czasie okupacji we Wrocławiu. Mieczysław Niedzielski został szefem, a ja kierownikiem sekcji. Wcześniej we Wrocławiu, gdzie prekursorem badmintona był Tadeusz Englader, powstały już ogniska TKKF Mewa, Nowokaina, Zryw. Ognisko Olimpia zajmowało się badmintonem, piłką siatkową mężczyzn, bo prezes Mieczysław Niedzielski uprawiał siatkówkę, a także strzelectwem, co jest ewenementem, bo dostaliśmy zezwolenie na broń. Była również sekcja turystyczna – Rada Zakładowa Związku Zawodowego Pracowników Państwowych i Społecznych, która co roku organizowała dwie wycieczki.

Współpracowałem z TKKF Jutrzenką, z ogniskiem w Chojnowie i Bolesławcu. Przysyłano mi stamtąd zawsze zawodników, którzy zazwyczaj tylko nazywali się „zawodnikami", ale niekoniecznie nimi byli. Wybierałem więc tych, którzy już umieli grać. Na uczenie podstaw szkoda mi było czasu. Nabory do sekcji ogłaszane były we wrocławskiej prasie. Korzystałem też z radia, a później z telewizji. Najczęściej przyjmowałem badmintonistów z Biskupina i Sępolna, bo najwięcej ich przychodziło ze szkół z tego terenu, w których były zajęcia z badmintona. Zawsze w tych grupach znalazło się kilku sprawnych ruchowo, którzy też mieli trochę w głowie. Najlepsi z nich to: Stanisław Zieliński, Jerzy Kowalik i później już następuje przeskok do etapu sportu wyczynowego. I takie nazwiska jak Jan Sobczak, Krzysztof Englander,

Zygmunt Skrzypczyński (dostał tytuł Mistrza Sportu), Joachim Krawczyk, Jacek Mrozowski, Krzysztof Kruk, Krzysztof (Raińczak) Wilczyński.

Po 15 latach znalazłem się w innym związku zawodowym, w Związku Nauczycielstwa Polskiego, bo 1 kwietnia 1970 roku zacząłem pracę w Akademii Wychowania Fizycznego. Olimpia działała jeszcze do 1976 roku, a potem została przemianowana na sekcję badmintona przy klubie sportowym AZS AWF Wrocław. Był to klub wielosekcyjny: piłka ręczna, judo, lekkoatletyka przede wszystkim – wielu kadrowiczów i olimpijczyków wyszło z wrocławskiego AZS AWF i oczywiście badminton. Zostałem sekretarzem, więc musiałem od razu wprowadzić badminton. I stąd się wzięła ta dyscyplina na wrocławskim AWF-ie. A już w 1977 roku upoważniono mnie z ramienia klubu do podpisania deklaracji i do przystąpienia do Polskiego Związku Badmintona. Nie mogę powiedzieć, dlaczego po dwóch latach zrezygnowałem...

Wracając do przejścia pod skrzydła AWF, dla badmintona zmiana ta okazała się nie najlepsza. Zaczęła się rywalizacja o budynek WOSS-u, czyli Wrocławskiego Ośrodka Szkolenia Sportowego. Hala sportowa WOSS-u mieści się naprzeciwko hotelu Olimpia. To tam mieliśmy boiska do badmintona. Pierwsze wymalowane boiska, wcześniej przed zawodami brało się taśmę i wyklejało albo rysowało kredą. Później, gdy ja byłem szefem sekcji, przewodniczącym rady i jeszcze naczelnikiem turystyki, dyrektor zgadzał się na wszystko. Ruszył badminton dla pracowników i niemal natychmiast zaczęliśmy myśleć o wyczynie. Powstały następne ogniska TKKF we Wrocławiu, jak Jutrzenka i Gwardzista, do którego przeszedł Tadeusz Englander z Mewy.

W 1981 roku na AWF-ie wprowadzono specjalizację i można było zdobyć tytuł instruktora badmintona. Było to możliwe między innymi dzięki Henrykowi Nawarze, saneczkarzowi, który zajął się badmintonem. Napisał doktorat i kilka książek. Wprowadził też Dolnośląską Ligę Badmintona Studentów. Ja natomiast organizuję otwarte mistrzostwa Wrocławia od 1992 roku, czyli od chwili, gdy skończył się, a dokładniej został zawieszony Okręgowy Związek Badmintona we Wrocławiu. Powodów było kilka, przede wszystkim taki, że nie było klubów we Wrocławiu. Został tylko jeden AZS AWF. Poza tym, zabrano nam jedyny związkowy etat i trzeba było podziękować Ewie Krawczyk, mojej zawodniczce, a później trenerce. W pewnym momencie przez pół roku tylko ja przychodziłem raz na miesiąc w poniedziałek na godzinę. Poza tym można było kontaktować się ze Związkiem telefonicznie, a przypominam, że wtedy nie było telefonów komórkowych. Szansa, że ktoś się dodzwonił, była znikoma. Nie było pieniędzy nawet na znaczki. Ale zlikwidować Związek? To duży problem. Postanowiliśmy, że go zawiesimy. Będzie furtka, by go na nowo otworzyć.

Jednak mnie już później nie interesowała praca w Związku. Miałem dużo obowiązków na uczelni, byłem dyrektorem, kierownikiem, naczelnikiem, miałem za

dużo zajęć. Poza tym w 2001 roku zachorowałem. Spędziłem 62 dni w szpitalu. I najważniejsze – nie było już zawodników AZS-u. Lata 1988–1990 były trudne także dla sportu, część zawodników wyjechała z kraju, szczególnie do RFN, ale też do Australii i Nowej Zelandii. Ewa Krawczyk i Krzysztof Kruk prowadzili zajęcia, ale zaczęło brakować studentów. Skupiłem się więc tylko na otwartych mistrzostwach Wrocławia. Wymyśliłem je, żeby badminton we Wrocławiu ożył, a raczej, żeby w ogóle był. W szkołach wtedy nigdzie nie prowadzono takich zajęć, klubów nie było. Powstały wprawdzie sale, które można było wynajmować, ale to kosztowało, zwykle za dużo. A oprócz sali trzeba mieć jeszcze sparingpartnera, przecież nikt nie pójdzie sam grać.

Ale zanim to się stało, grywaliśmy za granicą, najpierw głównie w NRD, w Zittau, Dreznie, Lipsku, Magdeburgu i Greifswaldzie. Co roku we wrześniu byliśmy w Zittau. Jeździliśmy także na turnieje do Czechosłowacji (Ostrawa, Praga, Bratysława i Koszyce). Z Czechosłowacji przyjeżdżało do Wrocławia małżeństwo Sebesów, które między innymi pomagało w zapisie Polskiego Związku Badmintona do Europejskiej Federacji Badmintona. Sebes był sekretarzem Europejskim w Unii Badmintona.

Wyjeżdżaliśmy też na Węgry (Szolnok i Szentendre), do Bułgarii (Sofia i Warna), a także do Austrii (Wiedeń) i RFN (Essen, Hanower). Tam wygraliśmy Puchar Grugi – to jest nazwa parku w Essen. Startowało 17 niemieckich zespołów – pokonaliśmy wszystkie. Jako ciekawostkę muszę powiedzieć, że gdy tam pojechaliśmy, miałem kłopoty z własnymi zawodnikami. Na początku bardzo się objadali. Na śniadanie być zastawiony cały stół, ale gdy moi się zabrali do jedzenia, nie wiedziałem, czy wystarczy dla wszystkich. Miałem na przykład zawodnika, który nie mógł grać, jeśli pomiędzy pierwszym a drugim setem nie zjadł bułki.

Potem mieliśmy kontakt z Duńczykami, ale wizyta była tylko we Wrocławiu. Nie doszło do rewizyty, chociaż oni przywieźli mi rakietę Erlanda Kopsa. To był jeden z pierwszych, najlepszych Europejczyków w badmintonie. Nie mistrz świata, bo wtedy nie było jeszcze mistrzostw świata. On potrafił uderzyć bekhend z końca boiska na jego drugi koniec. Myśmy jeszcze wtedy w ogóle nie potrafili tego sobie nawet wyobrazić, a on potrafił to zagrać.

Moi zawodnicy byli też w Holandii, pojechał z nimi Joachim Krawczyk. Zaproszono tylko pięć osób. Trzeba było tam pojechać, bo liczyły się kontakty. Później z Haarlem miałem lotki typu Yonex. Kiedyś nie można było powiedzieć, jak się odbywał handel, ale teraz już można. Otóż za znaczki pocztowe. Nasze serie w zamian za sprzęt. Trzeba było sobie radzić...

Jako wiceprezes Związku byłem też w Austrii na turnieju w Villach. Tam się odbywał turniej Europy Środkowej drugiej kategorii. Cała nasza ekipa miała na pięć dni 10 dolarów. Trzymaliśmy się jednak bardzo blisko ekipy rosyjskiej, która

przywiozła ze sobą walizkę dolarów i chętnie się z nami dzieliła. Potem zaprosiliśmy Rosjan do Wrocławia, by się zrewanżować. Tam w Villach spotkałem się między innymi z Anglikiem, ówczesnym prezydentem Europejskiej Federacji Badmintona. A w drodze powrotnej, w Wiedniu pojechaliśmy zobaczyć, jak wygląda metro.

Byłem też na turnieju międzynarodowym w Finlandii w Helsinkach, gdzie spotkała mnie pewna przykrość. Nie wszystko potrafię jeść, bo nie lubię, na przykład warzyw na ciepło. A tam na przyjęciu do kawy podawano suche ciasteczka i zielony groszek [śmiech]. Druga przykrość miała miejsce w Karlskronie: miałem trochę pieniędzy i chodziły za mną landryny... Postanowiłem je sobie kupić. Wchodzę do sklepu, trudno się dogadać, ale jakoś się udało. Zapłaciłem za 10 deko 4,4 USD. „Kurcze blade co za cena!" – myślałem. Później opowiadam to kolegom, a oni: „Janusz! No co ty robisz? Przecież dolary wymienia się na ruble i wtedy masz jeden do jednego". No cóż, to były najdroższe landrynki w moim życiu, dobrze, że chociaż bardzo smaczne.

Wracając jeszcze do czasów TKKF. W pewnym momencie zarząd główny musiał wprowadzić turniej klasyfikacyjny. Dlaczego? Bo zgłaszał się każdy, kto się o nim dowiedział. Start był bezpłatny, więc zgłaszało się mnóstwo ludzi i rozgrywki trwały godzinami. Jeszcze na początku, w latach 70. pracowaliśmy 6 dni w tygodniu. Nie było wolnych sobót, więc wyjazd na turniej stanowił problem, zwłaszcza, że klasyfikacyjny rozpoczynał się zawsze w piątek o godzinie mniej więcej 17–18 we Wrocławiu. Trwał do godziny 22 albo do momentu, kiedy mieliśmy zakończone eliminacje. A na eliminacje składały się: gra pojedyncza kobiet i mężczyzn (dwa turnieje), gra podwójna kobiet i mężczyzn (cztery turnieje), gra mieszana (sześć turniejów). W sobotę od 8 rano do 22. I stop, bo od 22 przeważnie odbywał się turniej otwarty w stroju niekrępującym, to znaczy w piżamie. Zabawa duża, niektórzy kończyli o czwartej rano, a o ósmej w niedzielę już zaczynali grać następny turniej.

Miałem jeszcze dodatkowe utrudnienie, oprócz tych sobót. Moja żona dała mi 30 niedziel na wyjazdy, resztę musiałem spędzić z rodziną. Jakoś udawało się pogodzić ten nakaz z kalendarzem turniejów zwłaszcza, że same wakacje to było 10 niedziel. Chociaż latem musiałem jechać też zawsze na obóz. W drugiej połowie sierpnia organizowałem obóz kondycyjny dla najlepszych zawodników. To była nagroda dla tych, co uczęszczali sumiennie na zajęcia i mieli wynik.

Mogę zadać wiele trudnych pytań

Jadwiga Ślawska-Szalewicz – działaczka sportowa, trener II klasy w judo, w latach 1977–1991 pełniła funkcję sekretarza generalnego Polskiego Związku Badmintona. W 1991 roku została wybrana na prezesa PZBad, którym kierowała do roku 2005. Od 1986 roku jest członkiem Komisji Rozwoju Europejskiej Unii Badmintona (ang. European Badminton Union – EBU). W latach 1997–2007 była kolejno: dyrektorem marketingu, dyrektorem rozwoju EBU Council i wiceprezesem Europejskiej Unii Badmintona. Prowadzi blog pt. „Okiem Jadwigi".

Jadwiga Ślawska-Szalewicz: Zacznijmy od wątku kobiecego. Oczywiście, że na stanowisku prezesa związku sportowego jako kobiecie nie było mi łatwo. Jestem w stanie to udowodnić. Na stanowiskach decyzyjnych sport zdecydowanie jest zmajoryzowany przez mężczyzn. Dziś mimo że pań, które kierują klubami sportowymi, jest znacznie więcej niż jeszcze ćwierć wieku temu, wciąż wchodząc na stanowisko prezesa, muszą starać się bardziej niż ich koledzy, ponieważ zazwyczaj o wszystkim stanowią mężczyźni. W 1991 roku, gdy po raz pierwszy zostałam p.o. prezesa Związku, sytuacja kobiety w roli szefa przedstawiała się jeszcze trudniej niż dziś. Byłam przerażona, że koledzy powierzyli mi pełnienie na rok funkcji szefa Związku. Wydawało mi się, że znam pracę tej organizacji od kulis, bo przecież od 1973 roku byłam sekretarzem generalnym w Polskim Związku Szermierczym, a później w badmintonie. Sport i organizacja nie miały więc przede mną tajemnic. Naturalną rzeczą było, że to ja zostałam ich pomazańcem, a jednak po powrocie do domu usiadłam i rozpłakałam się. Pomyślałam: „Matko Boska, jak ja sobie dam radę?" Zdawałam sobie sprawę z tego, że kierowanie Związkiem to jest wielkie wyzwanie. Dlaczego?

Owszem, z jednej strony miło jest mieć w roli prezesa kobietę, która świetnie wygląda, pięknie pachnie, czarująco się uśmiecha, ale przecież ona musi też dowodzić. A jeżeli o dowodzenie chodzi, to nie zawsze mężczyźni się z nami, kobietami zgadzają. Po głębszym namyśle zdecydowałam się prowadzić Związek trochę inaczej. O ile mężczyźni rządzą na zasadzie narzucania decyzji, wymyślania koncepcji i pokazywania jej jako jednej jedynej, niewymagającej żadnej dyskusji, o tyle ja postawiłam właśnie na dyskusję. Rzucałam temat na zebraniu zarządu i tak prowadziłam spotkanie, żeby zarząd uznał, że to oni, a nie ja, chcą podjąć taką czy inną decyzję. Oczywiście, omawialiśmy temat z różnych stron. Pokazywałam, co możemy zyskać, co możemy stracić, co możemy zrobić, żeby było lepiej, ale zazwyczaj

starałam się, żeby zarząd, wychodził z posiedzenia z przekonaniem, że decyzja, którą podjęli, była absolutnie ich. I chyba na tym polegał mój sukces, że niczego nie narzucałam. Mówiłam: „Słuchajcie, możemy to zrobić tak, tak i tak. Spójrzcie na sprawę z różnych stron, ale wypowiadając się, musicie podać plusy i minusy swoich decyzji. Wygra koncepcja, która ma najwięcej plusów. Zawsze robiłam sobie skrupulatne notatki. Do dzisiaj mam bardzo duże archiwum, dlatego mogę pisać blog. Pisałam sobie nawet, co kto powiedział. Nie dla celów szpiegowskich, tylko żeby później w razie sporu wyjąć notatki i powiedzieć: „Przecież na zebraniu zarządu chciałeś tak, więc nie mów teraz, że jesteś przeciwny tej decyzji". Bardzo ważne, żeby mieć oręż i móc być rzeczowym partnerem do dyskusji.

Miałam dobrych nauczycieli

I teraz kolejna rzecz, być może było mi łatwo odnaleźć się w roli prezesa, ponieważ wyszłam z Polskiego Związku Judo. To tam pracowałam pierwsze lata. Moim nauczycielem był mój pierwszy mąż Janek Ślawski. Nie żyje, ale mogę powiedzieć, że to, co osiągnęłam w sporcie, jest naprawdę ogromnym jego sukcesem. Był bardzo wymagającym nauczycielem, jako trener był wspaniały, jako partner – bardzo trudny, ale od niego najwięcej się nauczyłam. Z Andrzejem [Szalewiczem – przyp. A.G.] tworzymy małżeństwo jak dwie połówki jabłka, ale muszę przyznać, że zawodowej, rzetelnej i uczciwej pracy nauczył mnie Janek Ślawski. Ogromnie dużo wymagał jako szef, musiałam chodzić jak w zegarku. A ponieważ wtedy w Polskim Związku Judo nie było kompletnie pieniędzy – coś mi przypomina tamten okres roku 1965 [śmiech] – pracowałam na stanowisku „przynieś, wynieś, pozamiataj" za 800 złotych. Przygotowywałam wizy, paszporty, wnioski, biegałam do Głównego Komitetu Kultury Fizycznej. Krótko mówiąc, robiłam wszystko, co zlecił mi sekretarz generalny, ale to było bardzo dobre, bo wtedy się nauczyłam pracy związkowej od podstaw. W tym samym czasie jako kierownik prowadziłam sekcję AZS Siobukai Warszawa. Znałam więc pracę klubową, wiedziałam, co się działo w związku. Studiowałam wtedy na Uniwersytecie Warszawskim na wydziale prawa, ale nie zdałam jednego egzaminu. Trzy zdałam na czwórki, a powszechnej historii państwa i prawa nie udało mi się za Boga zdać. Może i dobrze, bo okazało się, że moim przeznaczeniem był sport.

W 1972 roku skończyłam studia na Akademii Wychowania Fizycznego. Jednocześnie pracowałam wtedy w GKKFiS-ie, czyli Głównym Komitecie Kultury Fizycznej i Sporu. Był 1973 rok, gdy Jurek Pawłowski, który wtedy był już prezesem Polskiego Związku Szermierczego, zaproponował mi bycie sekretarzem generalnym. Ponieważ jednak zrobił to w bardzo nieelegancki sposób, odmówiłam. Otóż przyszedł do mnie do pracy. Już wtedy był okrzyknięty szablistą wszech czasów, bardzo popularnym, niemalże bon vivant PRL-u, z nienaganną kindersztubą, zniewalającym uśmiechem. Zdobył 19 medali na mistrzostwach świata, w tym

7 złotych, 5 medali olimpijskich, w tym w 1968 roku złoto w Meksyku, mając 37 lat. Nie było w szermierce w tym momencie innej gwiazdy. Można śmiało powiedzieć, że wszystkie kobiety szalały na jego punkcie, choć on miał wówczas drugą żonę, piękną Iwonę Pawłowską (wcześniej jego pierwszą żoną była aktorka Teresa Szmigielówna). Otóż przyszedł i na korytarzu powiedział: „Słuchaj, dziubulku, biorę sobie ciebie na sekretarza do związku". A mnie trafił szlag! Po pierwsze, to ja nie byłam dla niego żadnym dziubulkiem. Po drugie, jak ktoś przychodzi proponować pracę, powinien to zrobić w inny sposób. W związku z tym powiedziałam: „Panie prezesie, choć jest pan szablistą wszech czasów, to ja do pana pracować nie pójdę. Gdyby pan chciał ze mną pracować, to obowiązuje inna forma". I tak trzasnęłam drzwiami, że wszystkie baby, które wtedy wyszły z każdego pokoju, żeby zobaczyć herosa, szybko się skryły. A mnie po prostu było przykro. No bo co one sobie mogły pomyśleć, jak on na korytarzu przy tych wszystkich zwraca się do mnie per „dziubulku"? Po chwili zadzwoniła sekretarka i wezwała mnie do dyrektora. Poszłam i słyszę: „Podobno opieprzyłaś naszego mistrza? Dlaczego?" Wytłumaczyłam, że forma mi się nie spodobała. Oczywiście, nie trzeba było klękać i prosić mnie o rękę, ale jeżeli ktoś przychodzi i chce ze mną pracować, to powinien to powiedzieć inaczej. Dyrektor posłuchał i stwierdził, że jego zdaniem, to jest dobra propozycja dla mnie. Dodał, że do ministerstwa – wtedy GKKFiS był ministerstwem – raczej się nie nadaję. Powiedział, że mam temperament do pracy organizacyjnej. Ja też to czułam.

W ministerstwie byłam wtedy najmłodsza, przyszłam w 1968 roku, tuż przed igrzyskami olimpijskimi. Przeszłam z judo do departamentu sportu, robiłam jakąś fatalną robotę, która mi zupełnie nie leżała. Pracowałam w dziale analiz sportowych. Nie było wtedy telefonów komórkowych, smartfonów, iphone'ów, ipodów, ipadów, komputerów, laptopów. Miałam tylko ołóweczek, papier w kratkę i musiałam codziennie wynotowywać z gazet wszystkie najważniejsze wyniki, lokalne też, jakie się zdarzyły danego dnia. Tych gazet miałam całe sterty z „Przeglądem Sportowym" na czele. To była koszmarna nuda, w ogóle nie dla mnie, ale ponieważ taką pracę mi dano, wykonywałam ją przez pół roku. Później mój naczelnik się zorientował, że ja i ta praca zupełnie się mijamy i przeszłam do innej, jeszcze gorszej [śmiech] – do działu organizacji wielkich imprez sportowych. Ale to już było coś bardziej dla mnie, bliżej mojej duszy, a mianowicie ogólnopolskie spartakiady młodzieży. Oczywiście, ja ich nie organizowałam, robiły to województwa i urzędy kultury fizycznej, ale ja negocjowałam wszystkie regulaminy. To też była świetna szkoła, trwająca 7 lat.

Wracając do rozmowy w gabinecie dyrektora, Jurek wstał, przeprosił mnie i jeszcze raz, już jak należy, zaproponował mi pracę. W czerwcu przeszłam do Polskiego Związku Szermierczego. Jeszcze musiałam wytłumaczyć przewodniczącemu

GKKFiS-u, dlaczego chcę odejść z ministerstwa. Przewodniczący, wtedy pan Bolesław Kapitan uważał, że – cytuję: „lepiej być gońcem w ministerstwie aniżeli na wyższym stanowisku w sporcie". Ja natomiast stwierdziłam, że raczej wolę być menedżerem sportu, aczkolwiek wtedy nie używało się słowa „menedżer", aniżeli w ministerstwie człowiekiem do wszystkiego. I tak się zaczęła moja związkowa kariera w 1973 roku. Oczywiście, wtedy po pierwsze, nie wiedziałam, że to jest decyzja na całe życie, że od tej pory będę sekretarzem generalnym aż do emerytury, a w międzyczasie również prezesem polskiego związku sportowego.

Po drugie, nie wiedziałam też, że Jurek Pawłowski za dwa lata zrezygnuje z bycia szefem związku szermierczego. W 1975 został namierzony przez kontrwywiad polski i 25 kwietnia podczas mojego powrotu z florecistami z zawodów z Niemiec – kierunek był ważny – wyczytałam w gazecie, że został aresztowany jako szpieg CIA. Powiem szczerze, że świat mi się razem z tym samolotem przekręcił do góry nogami. Miałam wtedy 28 lat i nie wiedziałam, co to znaczy dla mnie. Czy na lotnisku będą czekały na mnie służby specjalne, jakkolwiek się one nazywały wtedy, czy pójdę z nim do pudła? Co się stanie? To był przecież środek socjalizmu, 1975 rok. Na szczęście nic mnie na lotnisku nie spotkało. Za miesiąc zabrano mi wszystkie dokumenty z Polskiego Związku Szermierczego. Zostałam z czterema gołymi ścianami. Po 8 miesiącach te dokumenty zostały zwrócone. W szermierce jako sekretarz generalny przeżyłam do 1977 roku, prowadząc ogromny związek. Dodajmy: związek, w którym była elita. W szermierce nauczyłam się bardzo dużo. To było naprawdę fantastyczne wyzwanie, ponieważ Polski Związek Szermierczy był w istocie złożony z czterech związków: mojej ukochanej szabli, floretu mężczyzn, floretu kobiet i szpady. Wtedy jeszcze nie było szpady kobiet. Musiałam się uporać z tą ogromną organizacją sama. A jeszcze trzeba wiedzieć, że szermierze to jest specyficzny naród – co innego myślą, co innego mówią, co innego robią i do tego mają inny zamysł. Bo to jest taki sport. Trzeba tak oszukać przeciwnika, żeby zdobyć punkt. Ja w tym wszystkim musiałam być trochę mądrzejsza, trochę cwańsza, trochę sprytniejsza, trochę bardziej łapiąca na gardę wszystkie ataki. To parowanie ataków było bardzo ważne. Cóż więcej można było dać młodej, trzydziestoletniej wówczas, kobiecie jako szkołę? W fechtunku nauczyłam się sprytu, strategii, wyłapywania wszystkich niuansów, szybciutkiej analizy. W szermierce nie było czasu na głupie uśmiechy, tylko trzeba było w jednej chwili oddać cios, odpowiedzieć i jeszcze wiedzieć dokładnie, co się mówi.

Wrócę jeszcze na moment do pracy w GKKFiS-ie. Jak już powiedziałam, nie były to lata stracone czy przegrane – poznałam wtedy bardzo dobrze strukturę organizacyjną polskiego sportu, również od strony Głównego Komitetu Kultury Fizycznej i Sportu. Później wiedziałam, jak się tam poruszać, w którym departamencie co mogę załatwić, u kogo. Wszyscy pracujący tam byli moimi znajomymi.

A że zawsze byłam blondynką, trudno było mnie nie zauważyć na korytarzach, więc wiedziałam, kto, co i zacz. Wiedza i znajomości procentowały podczas załatwiania wszelkich formalności organizacyjnych także wtedy, kiedy przeszłam do badmintona. Ludzie z ministerstwa wiedzieli, że ja tam pracowałam, że stamtąd się wywodzę, że później byłam w szermierce. Uważam, że w życiu nic nie dzieje się bez przyczyny. Jeżeli ktoś – Opatrzność, Pan Bóg, nie wiem – stawia nam kogoś na drodze, to znaczy, że tak powinno się zdarzyć i że to jest po coś.

Na początku nie zdawałam sobie z tego sprawy, ale później, analizując, zrozumiałam, że od każdego z tych ludzi czegoś się nauczyłam. Oczywiście, nie byłam od razu taka mądra. Od początku jednak miałam szczęście do nauczycieli. Dodam, że dorastałam w świecie męskim. Miałam kilku mentorów. Jednym z nich był Edward Serednicki, wielki mój przyjaciel, niestety pochowany jakieś trzy miesiące temu *(rozmawiamy 18 lutego 2017 roku)*. Miał 94 lata. On był sekretarzem generalnym, a później prezesem Polskiego Związku Kajakowego. W budynku PKO przy ulicy Sienkiewicza 12-14 na czwartym piętrze swoje siedziby miała większość związków sportowych. Myśmy jako Polski Związek Judo mieli jakieś 7 metrów kwadratowych, a on naprzeciwko miał chyba 3 pokoje, więc był krezusem, ale kajakarze mieli zawsze dobre wyniki sportowe...

Kolejnymi moimi mentorami, oprócz Janka Ślawskiego, byli szermierze, same zacne nazwiska: Witek Woyda, Lech Koziejowski, Marek Dąbrowski, Arkadiusz Godel, cała srebrna drużyna, Zbyszek Skrudlik, trener florecistów, Józek Nowara, finalista igrzysk olimpijskich 1968 roku, Jurek Pawłowski i szabliści, Franek Sobczak, Jurek Wężowski. Poza tym Egon Franke. Szermierka z tego słynęła, że wszyscy zawodnicy kończyli studia, to była elita. Z białą bronią wiążą się też znakomite nazwiska panów hrabiów Przeździeckich. Nauka w elitarnej szkole szermierczej to dla mnie znakomite przeżycie. Dzisiaj, rekapitulując moje życie, wiem, że praca tam była genialną sprawą. Nie mogę nie powiedzieć o prof. Zbigniewie Czajkowskim, który pochodził z klubu Baildon (przy Hucie Baildon). On skończył Uniwersytet Jagielloński, jest genialnym teoretykiem sportu. Dzięki temu, że pracowałam w szermierce, mogłam z nim później konsultować nasze badmintonowe programy trenerskie...

Jeszcze wcześniej, pracując w Polskim Związku Judo, gdy jak już mówiłam, zarabiałam 800 złotych, poznałam legendarnego Papę Sztama. Potrzebowałam trochę więcej pieniędzy, bo chciałam zdawać na studia. Myśmy z mężem nie mieli wtedy mieszkania, niczego, więc trzeba było zakasać rękawy. Pracowałam jako kierownik sekcji, zaczęłam studia i poszłam dorobić jako magazynier działu spożywczego do ośrodka przygotowań olimpijskich, który miał swoją siedzibę na AWF-ie. Tam poznałam Papę Sztama. To kolejny rozdział mojej nauki życia z człowiekiem, z którym jeździłam do centrum tramwajem. Wszyscy mu się kłaniali, a ja byłam

cała strasznie szczęśliwa, że go znam. Papa Sztam przychodził bardzo często pod mój magazyn, siadaliśmy na schodach, piliśmy wodę mineralną, on mi opowiadał o sobie. To były rozmowy o życiu, nie o sporcie, nie o boksie, przychodził się zrelaksować, ja mówiłam o rodzinie, o moim tacie, który ciężko pracuje, o bracie, który chce studiować na AWF-ie. A Papa Sztam uczył mnie, wtedy 20-letnią siusiumajtkę, że trzeba walczyć, że trzeba używać rozumu, że po mordzie owszem, można bić, ale to nic nie daje, jeżeli nie używa się mózgu. Tego też zresztą zawsze uczył swoich najlepszych bokserów: Drogosza czy Kuleja. Jerzy Kulej był później na studiach moim kolegą...

Pojawia się badminton

Czas na badminton. Był rok 1977, gdy Andrzej Szalewicz przyszedł do mnie do związku szermierczego i powiedział, że chciałby ze mną pracować. Zapytałam go: „Panie prezesie, ale w czym? W badmingtonie? Co to jest? Nie znam tego". Powiedział, że to jest związek, który dopiero powstanie. Mnie wtedy w szermierce było bardzo dobrze. Stwierdziłam, że jak ten nowy związek powstanie, to zobaczymy, a na razie zostaję tam, gdzie jestem. Po trzech miesiącach... Nie chcę brzydko powiedzieć, ale powiem: po trzech miesiącach upierdliwego chodzenia, przyniósł mi pismo, że jestem służbowo przeniesiona do Polskiego Związku Badmintona, żeby go zorganizować. I tak trafiłam do badmintona, w którym już pozostałam. Kłóciliśmy się w tym Związku okropnie. To nie była szorstka przyjaźń. Ja wtedy byłam w swoim związku małżeńskim, Andrzej był w swoim. Z wielkiego sportu wpadłam w jakiś TKKF i nie umiałam się z tym pogodzić. Pełna ideałów i umiejętności wyniesionych z dużego sportu nagle weszłam w coś, czego nie było, co nie istniało, nie działało. Była tylko nazwa, bez „g" w środku.

Może to wielkie wyzwanie, ale dla mnie również rozczarowanie. Okazało się, że nie ma pieniędzy, nie ma biura, w torebce nosiłam pieczątkę Polskiego Związku Badmintona. Gdzie usiadłam, tam pisałam pisma. Dobrze, że chociaż miałam elektryczną maszynę do pisania. Kupiłam ją tuż przed odejściem z Polskiego Związku Szermierczego. Odchodząc, zapłaciłam im za nią i zabrałam ze sobą. Po trzech miesiącach przygotowań, a może dwóch i pół, 7 listopada 1977 roku powołaliśmy Polski Związek Badmintona. Od tamtej pory badminton we mnie tkwi, został na zawsze. Najpierw 14 lat prezesury Andrzeja, a mojego sekretarzowania, wykrzykiwania, kłócenia się o wszystko, kto mądrzejszy w sporcie, układania regulaminów, zarządu, członków, aż do jego awansu w Polskim Komitecie Olimpijskim i mojego wyboru na prezesa.

Gdy Andrzej został prezesem PKOl-u zauważono, że jest luka u nas w badmintonie i że będzie to duża luka. Co z nią zrobić? Wtedy Andrzej powiedział do zarządu: „Słuchajcie, macie jedyny wybór, bo Jadwiga jest najlepiej przygotowana

do tej funkcji". Wtedy jeszcze nie myślałam, że będziemy małżeństwem, wciąż byliśmy na etapie sportowych kłótni. Spieraliśmy się o koncepcje – on miał taką, ja taką, czasami kłóciliśmy się na zarządzie, czasami bez zarządów, ale to było wszystko w imię parcia do przodu i szukania najlepszych rozwiązań dla badmintona. Nie kłóciliśmy się jak baba z chłopem, ale jak ludzie, którzy mają swoje wizje i chcą zrobić coś dobrego. Trzeba było przegadać każdy pomysł, czasami podniesionym głosem. Rację miał ten, kto używał lepszych argumentów. Gdy Andrzej zaproponował, bym to ja została prezesem, wszyscy wstali i zaczęli bić brawo. I wtedy się przeraziłam. Co to będzie? Bo zdałam sobie sprawę, że bardzo dobrze jest pracować pod płaszczykiem i parasolem prezesa, który pozwala na nieco więcej, aniżeli normalnie prezes, ale to on odpowiada.

A pozwalał mi na więcej, bo zdawał sobie sprawę, że byłam lojalnym pracownikiem. Kłóciliśmy się, ale Andrzej wiedział, że nigdy w życiu nie zrobię niczego za jego plecami. Myśmy sobie wszystko mówili, jeśli chodzi o zakres pracy: nad czym pracujemy, co robimy, gdzie byliśmy, z kim rozmawialiśmy. Jak Andrzej wychodził z któregoś pokoju w ministerstwie (ja mówię ministerstwo, ale to w dalszym ciągu był GKKFiT, czyli Główny Komitet Kultury Fizycznej i Turystyki) i ja po chwili tam przyjeżdżałam z jakimiś dokumentami, zawsze wiedziałam, jak dalej załatwiać jego sprawę. A proszę pamiętać, że to nie były czasy komórek. Urzędnicy mówili, że taka para w sporcie zdarzyła się tylko jedna, że nie walczyliśmy ze sobą na zewnątrz, tylko graliśmy do jednej bramki i realizowaliśmy, plan rozwoju Związku. Tak było zawsze, wydawało mi się, że bycie lojalnym w stosunku do prezesa jest największą wartością. Tego samego oczekiwałam również od moich członków zarządu, liczącego wtedy 15 osób...

Szkolimy młodzież

Już jako prezes Polskiego Związku Badmintona w 1994 roku rozpoczęłam akcję uczniowskich klubów sportowych. Na pomysł, by tworzyć UKS-y, wpadł Stefan Paszczyk, ówczesny przewodniczący komitetu. Weszłam w to, bo uważałam, że to dla badmintona jest świetna sprawa. Myśmy wtedy stworzyli 436 klubów uczniowskich. Dzisiejsza kadra to wyselekcjonowani w tamtym czasie zawodnicy z uczniowskich klubów sportowych. Program okazał się wspaniały – sportowe wakacje, szkolenie nauczycieli, turnieje dla uczniowskich klubów sportowych, dostarczanie sprzętu dla nowo utworzonych klubów. Nie było tego sprzętu dużo, ale każdy klub dostawał 30 tuzinów lotek, siatki, stojaki, ileś rakiet, a do tego przeszkoliliśmy nauczyciela – dodajmy, że szkolenia prowadził sam trener kadry narodowej Ryszard Borek. Chciałam, żeby nauczyciele dostawali informacje z pierwszej ręki. Bardzo tego pilnowałam. Później zaczęliśmy tworzyć szkoły mistrzostwa sportowego. Proszę sobie wyobrazić: mamy uczniowskie kluby sportowe w szkole podstawowej, selekcjonujemy materiał. Później zawodnicy kończą szkołę

podstawową, idą do liceum i trafiają do szkoły sportowej. Cóż może być lepszego dla rozwijającego się zawodnika?

Klaudia Majorowa miała w Słupsku pierwszą szkołę, otwartą w 1994 roku. Później była szkoła mistrzostwa sportowego w Olsztynie i w 2000 roku w Głubczycach. Dlaczego Głubczyce dostały szkołę tak późno, chociaż były najlepsze? Bo wiedziałam, że one są świetnie zorganizowane i tam to szkolenie jest robione dobrze bez szkoły. Ale oczywiście uważałam, że im się należy ta szkoła. W związku z tym jak tylko były pieniądze na zorganizowanie szkoły w Głubczycach, dostali je. Sama zresztą składałam plany, byłam najwierniejszym ich kibicem i biłam się o wszystkie te szkoły. Wiedziałam, że to jest przyszłość, że to jest zaplecze kadry narodowej.

Nie godzę się na Warszawę

W 2005 roku, 8 stycznia na skutek różnych perturbacji – miałam już 60 lat – zawodnicy, którzy dzisiaj nadal są w kadrze, uznali, że powinnam odejść. Twierdzili, że nie mam pomysłów, że nie jestem już na tyle silna i świeża, a tak naprawdę chodziło o to, że byłam przeciwnikiem ośrodka przygotowań olimpijskich w Warszawie. Zresztą do dzisiaj uważam, że to jest największy błąd, jaki popełniono. Żadna dyscyplina nigdy nie miała ośrodka przygotowań olimpijskich w Warszawie. Warszawa kusi, ma tyle wyzwań, że odciąga od sportu. Zawodnicy, którzy przygotowują się do mistrzostw świata, mistrzostw Europy, nieważne czy juniorzy czy seniorzy, potrzebują spokoju. Muszą być skoncentrowani na jednym. Jestem przeciwna temu, żeby zawodnicy przyjeżdżali na zawody z rodzinami. Bardzo przepraszam, to co powiem, jest niepopularne, ale zawodnicy muszą być skupieni na tym, co robią, a ich zawodem jest granie w badmintona. W związku z tym muszą myśleć, o tym, jak mają zagrać mecz, a nie co dać dziecku na kolację. Jak piłkarze jadą na zgrupowanie, to ich żony i dzieci zostają w domach. Tak samo powinno być w badmintonie. Żony i dzieci mogą przyjechać, ale chwilę przed meczem. A nawet tutaj *(rozmawiamy w Lubinie podczas Mistrzostw Europy Drużyn Mieszanych 2017)* zobaczyłam zawodników, których jeszcze razem z Ryśkiem Borkiem selekcjonowałam, a którzy nie byli skupieni na mistrzostwach. To jest niepopularne, co powiem. Oni koncentrowali uwagę na żonie w ciąży, na dziecku, które biega po hali. A przecież to jest kadra Polski, reprezentacja Polski. Ci ludzie dostają pieniądze z pieniędzy podatników. Tak nie wolno. Ale to jest moje zdanie.

Uważam, że trener musi zadbać, żeby zawodnik był skupiony na zawodach, ale niestety, ośrodek w Warszawie temu nie sprzyja. Proszę sobie wyobrazić, że trenujemy w jednym miejscu, a mieszkamy na przykład na Białołęce Dworskiej. Warszawa ma więcej samochodów aniżeli Berlin. Przejazd z miejsca zamieszkania do ośrodka trwa dwie godziny. To są stracone dwie godziny, a zawodnik szykujący się do mistrzostw powinien trenować od dwóch do czterech godzin dziennie, bo

nie jest mistrzem świata. A jego celem jest bycie najlepszym. Jeśli tak dużo trenuje, to musi dobrze zjeść. Dobrze to nie znaczy: tłusto w najbliższym barze za rogiem. Jedzenie ma być zdrowe, sportowe. A oprócz tego taki zawodnik powinien być rehabilitowany. Tymczasem zobaczyłam zawodników, którzy byli oplastrowani. Wszyscy, nawet młode 17-latki mają naklejone plastry. O czym to świadczy?

Kolejna sprawa – Michał Rogalski, jeden z najbardziej utalentowanych zawodników, przed którym jest wspaniała przyszłość, powinien pracować z psychologiem. Mówię to, bo ich wszystkich bardzo kocham. Bardzo dobrze życzę badmintonowi – to jest moje dziecko, kawał mojego życia. Znam tych zawodników od ich dzieciństwa. Są dla mnie jak moje dzieci. Nie krytykuję, tylko wymagam od nich profesjonalizmu. Jeżeli tego nie będzie w badmintonie, to zapomnijmy o sukcesach. Jedna gwiazda, jaką jest Robert Mateusiak, nie stanowi drużyny. On jest niepowtarzalny, ale jest tylko jeden.

Następna sprawa: gdzie są kobiety? Jeżeli musimy do reprezentacji Polski brać 17-latkę, a ośrodek jest w Warszawie, to gdzie są starsze zawodniczki? Mogę zadać więcej niewygodnych pytań, ale na nie przyjdzie czas. Związek potrzebuje odnowy i liczę, że ona nastąpi. Zmienił się zarząd, zmienili się prezesi, był Marek Krajewski, teraz jest Marek Zawadka. Widzę szansę na zmianę, ale od razu powiem, że to nie będzie aksamitna zmiana. To będzie, bo musi być, prawdziwa rewolucja. Trzeba zmienić styl pracy kadry, mimo że to będzie boleć. Nie używam nazwisk, umiem docenić tego, kto jest najlepszy, ale przepraszam bardzo, Robert Mateusiak od 20 lat jest najlepszy. On ma dzisiaj 40 lat, a przyszedł do Związku, jak miał 12 czy 13 lat. Był świetnym, znakomicie zapowiadającym się piłkarzem, zresztą jego syn Olaf Bańkowski też jest znakomitym piłkarzem. Robert został jednak badmintonistą i to najlepszym. Tylko, co dalej, gdzie są jego następcy?

Trzeba system szkoleniowy z głowy z powrotem postawić na nogi. Zawsze uważałam, że ośrodek powinien być w Spale. W latach 90. znakomicie przygotowywaliśmy tam zawodników, aż do 2004 roku. Organizowaliśmy tam zawody i zgrupowania. Czy teraz jest szansa, by przenieść ośrodek poza Warszawę? Nie wiem. To nie jest już pytanie do mnie, ale do nowego zarządu i do nowego prezesa. Powiedziałam, kim byłam, skąd przyszłam, czego się uczyłam, co po drodze osiągnęłam i co widzę teraz. A widzę, że badminton w Polsce musi być odnowiony, puszczony na nowe tory. Widzę też, że mamy szanse na dobre wyniki, bo mamy naprawdę dobrych zawodników. Tylko trzeba zadbać o szczegóły. Michałowi Rogalskiemu potrzebna jest ciężka praca z psychologiem, potrzebni są młodzi ludzie, którzy zasilą kadrę i nie będą tylko ludźmi do bicia na treningach, ale szanowanymi partnerami. Musi być naturalna wymiana pokoleń...

Jeżeli z 56. miejsca singlista Adrian Dziółko kwalifikuje się do igrzysk olimpijskich w Rio, to chapeaux bas. Tym bardziej że on miał 12 trenerów. Tak być

nie powinno. Częste zmiany trenerów mogą tylko zawodnikowi zrobić mętlik w głowie. Adrian Dziółko to jest jedyna nowa twarz w tej reprezentacji na igrzyska olimpijskie, pozostali zawodnicy są jeszcze z moich czasów, czyli mają pokończone 30 lat. Ile jeszcze mogą grać? Na kolejne igrzyska już nie pojadą. *(Chwila ciszy)* Chyba że oszukają naturę [śmiech]. Tak jak Robert Mateusiak oszukał naturę i zakwalifikowali się z Nadią do igrzysk olimpijskich, ale on ma 40 lat, po raz kolejny nie liczmy na cuda. Musimy dać szansę młodym i oni muszą być otoczeni wielką troską trenerów.

Poza tym nie może być tak, że trener mówi, że będzie trenerem, ale ośrodek ma być tam, gdzie on mieszka. Nie ma takich cudów na świecie. Ośrodek trzeba skalkulować – ile kosztuje zakwaterowanie, wyżywienie, lotki, przejazdy, fizykoterapia, rehabilitacja i wybrać najlepszą opcję. Dla mnie najlepsza była Spała, 45 minut jazdy samochodem z Warszawy. Wszyscy nasi zawodnicy jeżdżą samochodami. To nie jest problem, żeby od poniedziałku do soboty byli w ośrodku w Spale, gdzie są znakomite warunki, a na weekend przyjeżdżali do Warszawy. Bo oni wszyscy potrzebują znakomitych warunków, odpowiedniego wyżywienia, spokoju, odnowy biologicznej. Nie zgadzam się, żeby jedli w barze za rogiem kebaby i inne rzeczy, a takie słuchy chodzą.

To, że jak się chce, wszystko można zrobić, widać w Lubinie. Chylę czoła przed Markiem Zawadką, bo wiem, co znaczy zrobienie wielkiej imprezy. To jest naprawdę zachwycające, że można zrobić mistrzostwa Europy drużyn mieszanych, międzynarodowe mistrzostwa Polski juniorów do 17 lat i Puchar Śląska jednocześnie. Trzy wielkie imprezy w jednym miejscu. Trzeba być tuzem organizacyjnym i mieć co najmniej 100 wolontariuszy, którzy pomagają. Jestem pod wielkim wrażeniem i gratuluję. Dla mnie właśnie Adrian Dziółko, nowa twarz, która się zakwalifikowała do igrzysk i Marek Zawadka ze swoim teamem, to dwa optymistyczne akcenty.

Na koniec zadaję pytanie: Czy pieniądze wydane na ośrodek w Warszawie – duże pieniądze – mogłyby być lepiej wykorzystane, gdyby ośrodek był poza Warszawą? Ja uważam, że tak. Wtedy Adrian Dziółko nie musiałby kwalifikować się, tylko byłby pełnoprawnym tego ośrodka zawodnikiem. Mam wiele pytań, uważam, że te 11 lat, które minęło, nie zostało wykorzystane w optymalny sposób. Owszem, zrobiono dużo, bardzo się cieszyłam, oglądając igrzyska olimpijskie w Pekinie, oglądając igrzyska olimpijskie w Londynie, ale miejsca 5. i 8. to za mało. Uważam, że z tych dwóch igrzysk powinny być brązowe medale. To, że Klaudia Majorowa pracuje teraz w Rosji, a przez 18 lat pracowała w Polsce, jest niepowetowaną stratą.

Tyle.

Po więcej zapraszam do mojej książki „Moje podróże z lotką".

Badminton, żagle i młodość

Trener Krzysztof Hodur od lat prowadzi w Krakowie sekcję badmintona AZS AGH Kraków. Tradycyjnie w czasie wakacji on i jego zawodnicy trenują, korzystając z tego, że mają większy niż w roku akademickim dostęp do hali. Wśród tych, którzy zgłaszają się do sekcji, co jakiś czas trafia się perełka. Znane i utytułowane nazwiska to m.in. Dariusz Janik, Hubert Pączek, Janek Rudziński, a z młodszego pokolenia: ci, którzy zdobywali medale na Olimpiadzie Młodzieży: Mariusz Kabat, Marcin Kalitka czy Kamila Morawska. Mariusz Kabat to jeden z tych zawodników, którzy trenując w małym klubie, potrafili ogrywać badmintonistów z kadry narodowej. Mimo rozmaitych trudności drużyna z Krakowa pod wodzą trenera Krzystofa Hodura potrafi deklasować rywali z innych akademickich miast. Od lat utrzymuje się w elitarnym gronie zespołów, które kiedyś chociaż raz w historii wygrały drużynowe mistrzostwa Polski. Jest ich raptem pięć: Białystok, Suwałki, Głubczyce, Polonez i AZS AGH Kraków.

– Jesteśmy dzisiaj najstarszym ekstraklasowcem – mówi z dumą trener Hodur. Zapytany, co uważa za swój największy sukces, odpowiada nieco zaskakująco: – Kiedyś na Akademii Górniczo-Hutniczej przylgnęła do nas etykietka, że nie jesteśmy sekcją sportową tylko sektą. Nie było to jednak negatywne określenie. Skąd to się wzięło? Mam szereg różnych innych zainteresowań poza badmintonowych, takich jak na przykład jazda na nartach czy pływanie na desce surfingowej albo pływanie na żaglach. Udało mi się bardzo wielu zawodników, którzy przychodzą z różnych miejscowości w Polsce, zarazić tymi zainteresowaniami. Największym osiągnięciem było skompletowanie dwóch łodzi morskich dwunastoosobowych, które wypłynęły w rejs w Chorwacji, nie mając żadnych skipperów. Jedną prowadził zawodnik, który trafił do nas z Nowej Dęby i nie miał nawet uprawnień sternika morskiego, tylko na moich papierach pływał. To był Wojciech Gawroński. Nie miał papierów, ale żeglarzem był ode mnie lepszym. A drugą prowadził nasz weteran zawodnik sprzed lat, mający uprawnienia sternika morskiego Mariusz Tomecki. Ten rejs przeszedł do historii. Chyba żadnej innej sekcji badmintonowej nie udało się zorganizować takiego wydarzenia. Widziałem, z jaką pasją moi zawodnicy opowiadają to swoim rówieśnikom, gdy się z nimi spotkają. Wszyscy traktowali ten wypad jako egzotykę, to nawet teraz jest w pewnym sensie egzotyka. Już nie wspomnę o licznych wyjazdach na krótsze rejsy na Mazurach. Ten wątek morski zakończył pewną epokę. Potem niestety, zestarzałem się na tyle, że już nie miałem siły na takie rzeczy. Poza tym kiedyś miałem mały domek poza

Krakowem i bardzo często organizowałem wyjazdy integracyjne (tak jak to robią duże firmy). Takie rzeczy się pamięta. One przyciągnęły do klubu sporą grupę ludzi. Z tego jestem najbardziej dumny, że wielu ludzi, którzy pokończyli studia, nie zapomniało o naszej sekcji i teraz prowadzą ciekawe i kolorowe życie. Bo nie tylko posiadanie wielkich pieniędzy daje satysfakcję. Trzeba też umieć je sensownie wydać i być może (to powiem bardzo nieskromnie) dzięki mnie nie siedzą teraz przed telewizorem i nie konsumują albo nie jeżdżą na wypasione wczasy kupione w wypasionych biurach podróży, tylko zabierają swoje rodziny gdzieś na narty albo na żagle i spędzają ten czas trochę inaczej.

Po chwili namysłu dodaje jeszcze: – Dla mnie to jest największa nagroda, że na co dzień mam kontakt z młodymi ludźmi. Wiekowo, kalendarzowo jestem stary, ale ciągle się czuję dzięki nim młodszy. Gdy się spotykam z rówieśnikami, to temat jest jeden – co kogo boli, kto jakie leki bierze i tak dalej. A młodzi jeszcze takich problemów nie mają, żyją czym innym, a ja się próbuję do nich jakoś wkomponować.

Mój dom jest w Słupsku

Klaudia Majorowa – trenerka badmintonowej reprezentacji Rosji, wcześniej przez 12 lat trenerka kadry narodowej badmintona w Polsce. Mieszka w Słupsku, gdzie szkoliła badmintonistów w klubie Piast Słupsk i szkole mistrzostwa sportowego.

Dostała Pani już polskie obywatelstwo? Czytałam, że miała Pani duże trudności w tej sprawie.

Nie, nie mam, ale już nie chcę mieć. Artykuł, który pani czytała, był nie tylko o mnie, ale też o innych w podobnej sytuacji. To po prostu polityczna sprawa. Kaczyński nie może mi odmówić obywatelstwa. Może mi odmówić podwójnego obywatelstwa Putin, bo rosyjskie jest moim pierwszym. Trudno. Nie chcieli mi dać polskiego obywatelstwa, bo postawili warunek, że musiałabym się pozbyć rosyjskiego. Wtedy bym dostała polskie. Tyle że tak się nie robi. Co by się stało, gdybym pozbyła się rosyjskiego, a nie daliby mi polskiego? Byłabym bezpaństwowcem. Nie mogłam wtedy tego zrobić, ponieważ mam w Rosji mamę. Ona jest sama. Bez obywatelstwa odwiedzanie jej byłoby problematyczne, musiałabym się starać o wizy, itd. A tak jadę do niej, kiedy potrzebuję.

Poza tym tam teraz Pani pracuje.

Tak się życie ułożyło, że musiałam wrócić do Rosji. I może dobrze, że wtedy polskie władze odmówiły mi obywatelstwa.

Pani jest tutaj w Polsce legendą, teraz trenerką kadry rosyjskiej, a wcześniej przecież polskiej, ale trafiła Pani do Słupska jeszcze jako zawodniczka. Dlaczego w ogóle przyjechała Pani do Polski?

To była historia związana z wymianą miast. Cała ekipa ze Słupska przyjeżdżała do Niżnego Nowogrodu, gdzie ja w tamtym czasie grałam. I oni potrzebowali zawodnika, który mógłby później potrenować badminton z dziećmi. Dogadaliśmy się, że pojadę pograć u nich.

Pograć? Czyli jednak zamierzała Pani wrócić do Rosji?

Tak, miałam przyjechać na chwilę. Ale potem w Polsce zaczął się kryzys. Klub został rozwiązany i powiedzieli mi, że mogę popracować jako trener w szkole. Miałam uprawnienia, bo z zawodu byłam nauczycielem wuefu, więc poszłam pracować jako trenerka do szkoły.

I nie myślała Pani już o powrocie do Rosji?

Myślałam, gdy moja córka miała 6 lat. Musiałam zdecydować, gdzie będzie chodziła do szkoły. Pojechałam do Rosji, to akurat był rok 1994. Tam wtedy

było po prostu okropnie. Nawet nie chodziło o to, że nie było co jeść, ale że ludzie byli jacyś dzicy. Przyjechałam do Niżnego Nowogrodu, poszłam na salę, bo akurat odbywał się ogólnorosyjski turniej juniorów. Wszyscy trenerzy siedzieli pijani w jakimś pokoiku, zawodnicy sami sędziowali, sami grali. Ludzie na ulicach również byli źli, strasznie agresywni, wszędzie panował brud, ulice niesprzątane. W Polsce to też nie były łatwe czasy, brakowało pieniędzy, ale pomyślałam sobie, że przynajmniej czuję się tam człowiekiem, a w Rosji nie za bardzo. Postanowiłam zostać, a potem już wszystko potoczyło się inaczej, gdy podjęłam tę decyzję.

Jakie to było uczucie zostać trenerką kadry narodowej w Polsce?

To nie było takie nagłe, dlatego przyszło naturalnie. Jeżeli powiedzmy z 20 najlepszych zawodników w Polsce 12 było moich, wygrywali wszystkie zawody ogólnopolskie, to wiadomo, że powołanie mnie na trenerkę kadry stało się naturalne. Nie było z tego powodu jakiegoś wielkiego halo. Najpierw byłam trenerem kadry juniorów, a potem przyszła koncepcja, żeby szkolić kobiety osobno i mężczyzn osobno. Pan Ryszard Borek był trenerem męskiej kadry w Głubczycach, a ja szkoliłam kadry kobiet i juniorów w Słupsku. To było dobre połączenie, ponieważ chłopcy juniorzy byli dla dziewcząt doskonałym partnerem sparingowym, na dobrym poziomie. O reszcie zadecydował przypadek. Pan Ryszard zachorował, musiałam pojechać jako trener kadry na drużynowe zawody Thomas & Uber Cup do Norwegii, gdzie osobno grały drużyny kobiece i osobno męskie. Dobrze zagraliśmy wtedy i to był mój pierwszy start jako trenera całej kadry.

Ile lat Pani pełniła tę funkcję?

Chyba 12, już od 7 lat nie jestem w Polsce.

Ale nadal Pani tu mieszka.

Tak, bo tu jest mój mąż i córka. Jak mam wolną chwilę, to przyjeżdżam. Często Kuba do mnie przyjeżdża. Córka jest już dorosła i sama sobie rzepkę skrobie. Teraz mieszka we Wrocławiu. Mam coraz mniej czasu wolnego i coraz rzadziej przyjeżdżam, bo jednak wysoki poziom wymaga wyjazdów na wiele zawodów, obozów.

Jak często Pani jest w domu?

W tej chwili w ogóle mało, ponieważ mama, jak już mówiłam, została w Rosji sama, mąż jej zmarł i muszę jej trochę pomagać. Można powiedzieć, że jeden tydzień na trzy miesiące spędzam w domu w Polsce. Ale nie jestem wyjątkiem, wielu Polaków tak pracuje za granicą jak ja, to teraz jest normalne.

12 lat z kadrą Polski, 7 lat z kadrą Rosji. Gdy gra Polska z Rosją, to komu Pani kibicuje? Naturalnie Rosji, czy jednak Polakom z sentymentu?

Jeżeli chodzi o badminton, to pierwsze mecze przeciwko Polsce były dla mnie bardzo ciężkie. Nawet była taka historia: graliśmy w Kazaniu na mistrzostwach Europy przeciwko parze Przemek Wacha z Adamem Cwaliną. Minimalnie

przegrali z Rosjanami. Można powiedzieć, że moi rosyjscy zawodnicy oszukali, minimalnie wygrali w trzecim secie, ale później zostali mistrzami Europy. I wtedy Przemek przyszedł do mnie i powiedział: „Ja nie mogę grać, jak trenerka siedzi naprzeciwko". Stwierdził, że jego to denerwuje, bo tyle lat trenowaliśmy razem, tyle wspólnych zawodów, tyle wspólnych sukcesów. I faktycznie przez pierwsze lata mi też było ciężko. Znam ich przecież dosłownie od podszewki, wiem, co powiedzieć swoim zawodnikom, żeby ich ograli. Oni także są w ciężkiej sytuacji. Tym bardziej że teraz pół drużyny to zawodnicy, z którymi ja pracowałam, których wychowałam jako juniorów, a potem już pracowałam z nimi jako dorosłymi.

Nie mówią, że to zdrada? Że Pani zdradza ich tajemnice?

No, ale to taki chleb, taki jest sport. Z drugiej strony, moja Nina też mówi: „Nie stawiajcie mnie na mecz przeciwko Mateusiakowi z Ziębą, bo oni wiedzą, jak ze mną grać". Ponieważ Nina grała już w tamtych czasach, kiedy ja byłam trenerką kadry Polski i regularnie uczyłam polskich zawodników, jak mają przeciwko niej grać, jakie ona ma problemy techniczne. Ale w innych zawodach kibicuję polskim sportowcom. Poważnie. Może sprawiły to igrzyska w 2008 roku w Pekinie. Ekipa polska była bardzo fajna. O wiele bardziej mi się podobała organizacyjnie niż rosyjska. Może dlatego, że w Rosji jest tak bardzo dużo ludzi, że tam jest trochę inna skala medali i sukcesów sportowych.

Wielki kraj...

Tak, tam wszystko jest inaczej, trzeciego miejsca na igrzyskach w Londynie nawet nikt nie zauważył, bo trzecich miejsc było tyle, że jeden więcej, nie robił żadnej różnicy. Podejrzewam, że gdybyśmy to trzecie miejsce zdobyli z Polakami, to tutaj by było wielkie święto.

Kibice czekaliby na lotnisku.

Tak, inna skala.

Gdy Pani myśli o domu, to gdzie jest to miejsce?

W Słupsku. Jestem na tyle przywiązana do tego miasta, do przyjaciół, których tu mam, że ciągle tęsknię. Nie bywam często. Jak przyjeżdżam do Słupska, to przychodzę do szkoły, uwielbiam ten zapach hali... Powiedziałam kiedyś, że jakby mi zamknęli oczy i wprowadzili na tę halę, to na pewno wiedziałabym, że to jest nasza. Tak to jest. Może dlatego, że czas stawania się trenerem, spędziłam w Słupsku. Jednak to są moje najlepsze lata. Teraz w Rosji też mam przyjaciół, ale to są ludzie, którzy ze mną pracują, a w Słupsku są też z innych branż, to są przyjaciele z życia. Oni na mnie czekają, piszą: „Dawno cię nie było. Dawaj, wracaj, przyjeżdżaj". Koncerty ustawiają pod datę mojego przyjazdu. Na emeryturę planuję przyjechać do Polski.

Ale to jeszcze trochę.

No jeszcze trochę, w Rosji za trzy lata.

To może znowu Pani przejmie polską kadrę?

No właśnie, zobaczymy. Różnie może być, propozycji jest dużo z wielu krajów.

Polacy muszą się trochę o Panią postarać?

[śmiech] Z jednej strony tak, z drugiej strony tutaj mam dom i sentymenty. Często odrzucam inne rzeczy na rzecz Polski, ponieważ tutaj czuję się w domu.

Przed meczem Polska – Rosja myśli Pani, że kto wygra?

My, Rosja.

Jednak my to Rosja. Przez chwilę zastanawiałam się, kto jest dla Pani tym „my".

Tak jest bardzo często. Mój mąż też zawsze pyta: „My, to kto?" Tak to jest. Język też mam taki mieszany, ni polski, ni ruski.

W Rosji zwracają uwagę na Pani polski?

Jak przyjechałam, to miałam bardzo duże problemy z rosyjskim. Teraz już jest lepiej, wracają rosyjskie skróty myślowe. Bo generalnie nasz mózg wybiera to, co jest krótsze i prostsze. Jeżeli mam coś powiedzieć dwoma polskimi słowami, to wstawiam jedno rosyjskie. A jeżeli odwrotnie, to wstawiam polskie słowo. Tam już zawodnicy się przyzwyczaili, że szczególnie krótkie zwroty bardzo często mówię po polsku. Oni teraz uczą się polskiego, oglądają polską telewizję.

Jak się gra w Lubinie?

(Rozmawiamy podczas Mistrzostw Europy Drużyn Mieszanych w badmintonie w Lubinie)

Dobrze, bardzo dobrze, wszystko jest dobrze zorganizowane. Byłam tu dwa lata temu na mistrzostwach Europy juniorów do 17 lat. I znowu tutaj widać inną skalę niż w Rosji. W tym sensie, że tam jest więcej ludzi, ale prestiżowo tu jest wyższy poziom. Gdy jest więcej ludzi, o wiele trudniej dobrze zorganizować turniej niż w mniejszym mieście. Lotka Lubin ma już takie doświadczenie, że wszystko działa sprawnie. Dwa lata temu mieliśmy w Lubinie przeboje z naszymi zawodnikami. Jeden trafił drugiemu w oko lotką na treningu, krwiak się zrobił, chłopak stracił wzrok. Musiałam jechać do szpitala, gdzie okazało się, że zawodnicy mają ubezpieczenie z firmy, której w Polsce w ogóle nie znają. Na szczęście poszli nam na rękę i wszystko zrobili, jak trzeba.

Ten zawodnik widzi?

Tak. Na szczęście tak. Zrobili mu zastrzyk, który rozpuścił krwiak. Ale długo miał problemy. Nie mógł grać trzy miesiące. Następnego dnia po tym wypadku, kolejny zawodnik zerwał prosty mięsień brzucha. Wszyscy się dziwili, bo to jest tak rzadka kontuzja, że nie wiadomo w ogóle, jak on to zrobił. W szpitalu już nas znali. Znowu pomogli. Zszyli mu ten mięsień i wszystko jest dobrze. Też długo nie grał. Poza tym w Lubinie są fajni ludzie. Jednak w małych miejscowościach ludzie współpracują, są otwarci, sympatyczni. Wolę robić zawody w takich

miejscowościach niż na przykład w Warszawie, gdzie wszyscy są strasznie ważni. Myślę, że dzięki tym zawodom w Lubinie Marek Zawadka został prezesem Polskiego Związku Badmintona. Wyrobił sobie markę dobrego organizatora. Myślę też, że ludzie dlatego na niego głosowali. Ja się ucieszyłam, jak wygrał wybory, bo ma świeże spojrzenie. Mam nadzieję, że to wyjdzie naszemu badmintonowi na dobre.

Jakie ma Pani marzenie?

Chcę zdobyć medal na mistrzostwach świata, bo jeszcze nie mam. Igrzyska to są igrzyska, a mistrzostw świata nie mam, zawsze jakoś tylko ocieram się o nie. Z Polakami byliśmy blisko z mikstem – z Robertem i z Nadią, ale to już historia. Z Rosjanami jeszcze tak blisko złota nie byliśmy. Całe moje życie to jest sportowa kariera i wszystkie marzenia wiążą się ze sportem. W życiu prywatnym jestem szczęśliwym człowiekiem. Wszystko mi się udaje, mam kochającego męża, fajną córeczkę, więc czego chcieć więcej?

Niewyparzony język, ciężka praca i trzy olimpiady

Dwadzieścia lat temu za najlepszą zawodniczkę w historii polskiego badmintona uchodziła Katarzyna Krasowska. Badmintonistka Zrywu Opole i Technika Głubczyce ma na koncie m.in. 13 tytułów Mistrzyni Polski i trzy starty na igrzyskach olimpijskich. Niegdyś mieszkanka Opola, dziś żyje i pracuje jako trener na Cyprze.

W podsumowującym 20 lat działalności Polskiego Związku Badmintona wydaniu miesięcznika „Badminton Polska" z listopada 1997 roku Andrzej Szalewicz, pierwszy prezes Związku i Marek Idzikowski, wybitny sędzia i główny specjalista wydziału gier zamieścili ranking zatytułowany „Próba sklasyfikowani najlepszych zawodników w historii polskiego badmintona". Pierwsze miejsce zajmuje w nim Katarzyna Krasowska, kolejno zawodniczka klubów: Zryw Opole, AZS UW Warszawa i Technik Głubczyce. Na kolejnych miejscach rankingu znaleźli się: Bożena Bąk (Siemieniec), Wioletta Sosnowska (Wilk), Joanna Szleszyńska, Damian Pławecki, Jacek Niedźwiecki, Paweł Kaczyński, Marcin Burzyński i Bożena Haracz (Wojtkowska).

Urodzona w 1969 roku córka Mariana Krasowskiego, trenera Zrywu Opole miłość do badmintona odziedziczyła po ojcu, choć próbowała swych sił także w innych dyscyplinach sportu – uprawiała sprint i siatkówkę. W badmintona zaczęła grać, mając 11 lat. Odbijania uczyła się od taty. Pod jego okiem trenowała przez kilka lat. Bardzo ambitna, zawsze mająca własne zdanie, często sprzeczała się z ojcem. W końcu oboje uznali, że jeśli ma osiągnąć sukces, musi pracować z kimś innym. Zmieniła klub na legendarny Technik Głubczyce. Tam jej trenerem był Ryszard Borek. To on pomógł jej zdobyć kwalifikacje na igrzyska olimpijskie. Pod okiem selekcjonera kadry narodowej Katarzyna Krasowska najpierw musiała włożyć wiele wysiłku w korektę błędnych nawyków, a potem doskonaliła umiejętności. Przez pewien czas ćwiczyła też pod okiem chińskiego szkoleniowca Ling Bo, który prowadził kadrę narodową.

Zdobyła 22 medale na mistrzostwach Polski, w tym 13 złotych, 6 srebrnych i 3 brązowe.

W dorobku sportowym ma też udane występy na zagranicznych turniejach, m.in. na Węgrzech, w Szwecji, Finlandii. Na mistrzostwach Europy w Herning w Danii w 1996 roku dotarła do ćwierćfinału w grze podwójnej w parze z Marzeną Masiuk, a rok później na mistrzostwach Europy w Sofii – w grze pojedynczej.

Trzykrotnie brała udział w igrzyskach olimpijskich. W Barcelonie w 1992 roku reprezentowała Polskę w grze pojedynczej. W pierwszej rundzie pokonała

reprezentantkę Węgier, a w drugiej przegrała z Dunką. Opadła z konkurencji po meczu z legendarną Indonezyjką Susi Susanti.

Cztery lata później w Atlancie Polskę reprezentowała tylko jedna zawodniczka – Katarzyna Krasowska. Doszła do 1/8 finału. W pierwszej kolejce pokonała Filipinkę, w drugiej – zawodniczkę z Indii, w trzeciej znów uległa Susi Susanti. Odpadła po meczu z reprezentantką Korei Południowej.

Wychowanka Zrywu Opole i Technika Głubczyce startowała też na igrzyskach w 2000 roku w Sydney. Odpadła w pierwszej rundzie. Przegrała z Niemką i Chinką.

Po zakończeniu kariery zawodniczki, Katarzyna Krasowska, która ukończyła studia na wrocławskiej Akademii Wychowania Fizycznego, została trenerem. Ma uprawnienia Światowej Federacji Badmintona (level 2). Od lat mieszka na Cyprze, gdzie prowadzi tamtejszą kadrę narodową. Współpracuje z trenerami z Malezji i Chin.

Lubił grać na bosaka

Krzysztof Englander – były mistrz Polski w grach pojedynczej, podwójnej i mieszanej, trener klasy I, syn Tadeusza Englandera, prekursora badmintona na Dolnym Śląsku.

Początki badmintona na Dolnym Śląsku to nazwisko Tadeusza Englandera. Gdyby nie Pana tato, pewnie nikt by we Wrocławiu w połowie lat 50. nie słyszał o badmintonie. Skąd ten sport wziął się w jego życiu?

Tata był wykładowcą na wyższych uczelniach we Wrocławiu. Pracował w Studium Pedagogicznym, gdzie kształcili się nauczyciele wychowania fizycznego i w Wyższej Szkole Rolniczej. Prowadził zajęcia ze studentami. To właśnie któryś z jego studentów przywiózł z zagranicy dwie rakietki i lotki. Przyniósł je na zajęcia wychowania fizycznego do mojego taty i tak się zaczęła fascynacja grą, wtedy w Polsce w ogóle nieznaną. To był 1956 rok. Gra grą, natomiast w ogóle nie znaliśmy przepisów. Nie było wiadomo, jakimi zasadami się posługiwać. Mieszkaliśmy wtedy we Wrocławiu przy ul. Na Grobli, gdzie mieścił się ośrodek sportowy Szkolnego Wojewódzkiego Związku Sportowego. Teraz jest tam piękny odremontowany obiekt sportowy Politechniki Wrocławskiej. Mieszkaliśmy w tym ośrodku. Nad wodą były różne korty sportowe i boiska. Tata jako nauczyciel wychowania fizycznego i człowiek bardzo zainteresowany sportem chciał wykorzystać badminton, więc zaczęliśmy grać na boisku do piłki siatkowej. Po prostu nie wiedzieliśmy, jakie są przepisy. I na tym boisku do piłki siatkowej, z siatką do piłki siatkowej (220 cm) serwowaliśmy zza linii końcowej, tak jak w siatkówce.

To duże te korty były.

Tak, bardzo duże [śmiech]. Lotka oczywiście wtedy była ciężka, rekreacyjna, bo tylko takie można było kupić. Jak się ją odbiło, to leciała i leciała. Wtedy akurat zaczęły się już pojawiać rakiety z Wytwórni Sprzętu Sportowego WESSA w Łodzi, drewniane, z żyłką w środku, taką jak na ryby. Nie pamiętam, skąd pojawiły się przepisy, które troszeczkę nam ułatwiły życie, ale nie bardzo. Zaczęliśmy bowiem grać na boisku do badmintona o prawidłowych wymiarach i siatce na prawidłowej wysokości, ale w dalszym ciągu serwowaliśmy zza kortu. Wciąż nie wiedzieliśmy, że trzeba serwować ze środka kortu. I znowu zmienił to jakiś wyjazd studenta, podopiecznego taty, za granicę. Ten student przyjechał i przywiózł rewelacyjną wiadomość, że serwuje się ze środka kortu.

I gra stała się inna!

Zupełnie inna [śmiech]. Niech pani spróbuje zaserwować zza kortu, zobaczy pani, jak to się grało. Mówimy o roku 1958. Tata działał wtedy TKKF-ie i zaczął bardzo mocno wprowadzać badminton na zajęciach rekreacyjnych. Graliśmy sobie towarzysko coraz więcej. Dowiadywaliśmy się, gdzie grają inni. Niedługo później na Dolnym Śląsku, w Jaworze też grono prawników zaczęło grać. Nawiązaliśmy więc z nimi kontakty. A ponieważ mój tata był sportowcem z krwi i kości i propagował z wielkim entuzjazmem różne dyscypliny, w tym badminton, który zaczął mu się bardzo podobać. Powołał więc sekcję. Prowadził zajęcia na uczelniach, uczył grać studentów, odbywały się mistrzostwa jednej uczelni, drugiej, TKKF-u Mewa – to pierwszy TKKF, w którym tato prowadził zajęcia. Wszystkie te imprezy sportowe były jego inwencją, jakieś rozgrywki, wyjazdy do Jawora...

Czy cała Państwa rodzina grała?

Tak, ale rekreacyjnie. Wyczynowo tylko ja się bardziej zapaliłem. Brat grał w koszykówkę, z dużymi sukcesami w Śląsku Wrocław, a siostra próbowała różnych sportów, ale zacięcia do badmintona nie miała. W swoich zbiorach mam zdjęcie z 1957 roku, kiedy siedzimy sobie na ławeczce rodzinnie, ja też jestem jako 8-letni chłopak i trzymam w ręce rakietkę do badmintona. To jest niewątpliwy ślad, że już w 1957 roku rakietka była z nami zaprzyjaźniona, a my z rakietką. Tata prowadził dużo obozów sportowych dla studentów. Na każdym był badminton. Dzięki temu stał się bardzo popularny zarówno wśród studentów, jak i wśród kadry wykładowców Akademii Wychowania Fizycznego. We Wrocławiu badminton wyrósł ze sportu studenckiego. W tamtym czasie przy ul. Przybyszewskiego było Studium Wychowania Fizycznego, a obok szkoła podstawowa, w której studenci mieli praktyki. Tato pracował ze studentami i uczniami tej podstawówki. Tam również propagował badminton. Pierwszy nabór młodzieży do sekcji był właśnie z tej szkoły na Karłowicach. Pierwsi bardzo dobrzy zawodnicy, którzy wyszli spod ręki taty, to byli jej uczniowie.

Pamięta Pan nazwiska?

Oczywiście. Irena Karolczak, Andrzej Domagała, Ewa Astasiewicz, Bożena Basińska. Oni tworzyli podwaliny sekcji badmintona, która pięknie się rozrosła. Myśmy potem zmienili miejsce zamieszkania, bo chyba w 1961 roku ośrodek szkolny przy ul. Na Grobli spalił się i musieliśmy się przeprowadzić. Zamieszkaliśmy przy ul. Grochowej na Krzykach i tam tata zorganizował drugi nabór do nowej sekcji badmintona. Bardzo dobrymi zawodnikami z tego naboru byli: Sławomir Włoszczyński, Krzysztof Raińczak, Helena Radaczyńska. To trójka bardzo dobrych zawodników, którzy zdobywali tytuły mistrzowskie.

I Pan.

Tak od początku tacie asystowałem. Z czasem badmintonowi zaczął patronować Zarząd Główny TKKF, który zorganizował pierwszy turniej pod swoją egidą.

Było takie wydawnictwo sportowe pod tytułem „Sport dla wszystkich". Redaktorem tego był pan Zakrzewski, który bardzo się włączył w popularyzację badmintona. Wspólnie z Zarządem Głównym TKKF współorganizował pierwszy większy turniej. Zresztą, badminton wtedy już rozwijał się w różnych częściach Polski, nie tylko we Wrocławiu, ale także w Lesznie była grupa nauczycieli wychowania fizycznego, która pięknie grała w badmintona, w Warszawie, w Łodzi na więcej niż amatorskim poziomie. Polska była podzielona na strefy i najpierw do turniejów TKKF odbywały się eliminacje (dla nas) w Poznaniu. Pojechaliśmy tam zagrać. Wcześniej jeszcze zetknęliśmy się z badmintonem na wyższym poziomie na turnieju w Jaworze, w 1961 lub 1962 roku. Tam po pierwsze, przyjechał jakiś zawodnik z Niemiec i ograł wszystkich, po drugie, ogromne wrażenie zrobili na nas nauczyciele w-f z Leszna. Najlepiej spośród nich grał Feliks Glapka i jego kolega Bolesław Suterski oraz jego żona, pani Suterska. Grali na niebotycznym poziomie dla nas, zobaczyliśmy, jak można odbijać.

I z tą wiedzą pojechali Państwo do Poznania?

Tak i znowu spotkaliśmy się z nauczycielami z Leszna. Lekcje, które dali nam w Jaworze, bardzo nam pomogły. Miałem wtedy 15 lat, to może był wobec tego 1964 rok. Wywołałem w Poznaniu wielką sensację, bo wygrałem z drugim co do umiejętności kolegą z Leszna, czyli z panem Suterskim i zakwalifikowałem się do turnieju głównego w Łodzi. To była sensacja! Pamiętam, że w Poznaniu graliśmy z tatą w debla i przegraliśmy 1:2 z najlepszą parą z Leszna (Glapka/Suterski). Mecz był bardzo zacięty i dowodził, że już trochę umiemy grać w badmintona. Tato zawsze grał na bosaka w hali sportowej, nie uznawał żadnych tenisówek. Potem pojechaliśmy na turniej mistrzowski do Łodzi, późną jesienią.

I znowu Pan wygrał?

Nie. Wygrał pan Glapka. Turniej w Łodzi później został uznany za pierwsze mistrzostwa Polski w badmintonie. Startowałem tam bez sukcesów, przegrałem w pierwszej rundzie ze Zbyszkiem Kościelniakiem z Łodzi. Walczyłem, ale przegrałem, a on potem zdobył na tym turnieju wicemistrzostwo. Ta przegrana spowodowała przypływ niesamowitej ambicji, zarówno u taty, jak i u mnie [śmiech]. Tak nie mogło być! Zaczęliśmy jeszcze lepiej trenować i potem w 1965 roku Zarząd Główny TKKF-u zrobił zgrupowanie w Gdyni na Polance Redłowskiej, zaprosił wszystkich zawodników z Polski, którzy pokazali się na tym pierwszym turnieju. Ewenementem było to, że graliśmy cały czas na wolnym powietrzu, ciężkimi lotkami. Taki badminton wtedy znaliśmy i taki wtedy był dostępny sprzęt. Było tym ciekawiej, że na to zgrupowanie przyjechała kadra Niemieckiej Republiki Demokratycznej.

Brzmi poważnie.

Co tam się działo, powiem pani. Oni wracali chyba z mistrzostw świata, przyjechali do nas i pokazali nam, że my w ogóle inny sport uprawiamy niż reszta świata.

Mieli piórowe lotki?

Nie, plastikowe, ale one normalnie latały tak, jak teraz plastikowe lotki latają. Pióra zapewne mieli, ale nawet ich nie wyciągali, bo uważali, że szkoda nam pokazywać, żebyśmy nie połamali ich po pierwszym uderzeniu. Zaprezentowali nam, jak się gra lekką lotką. Mieliśmy szalone problemy. Jak się udało gdzieś z końca kortu przebić lotkę na środek kortu po drugiej stronie, to był sukces. Można było sobie rękę z barku wyrwać. Staraliśmy się, ale nic nie chciało lecieć. Ta lotka nas nie słuchała. Chcieliśmy koniecznie, żeby Niemcy zagrali z nami ciężką lotką. Oni absolutnie nie chcieli nią zagrać, bo ciężka lotka wymagała całkiem innej taktyki. Grając ciężką lotką, można było nabawić się różnych urazów, ona leciała jak kamień. Ciekawostką jest to, że jeden z Niemców wszedł na otwarty kort, wziął tę ciężką lotkę, a że nadgarstek miał przyzwyczajony do lekkiej, więc wykonał ostre zamaszyste uderzenie i lotka poleciała 45 metrów do lasu. Powiedział, że taką lotką z nami nie będzie grał.

Bo te lotki sprawdzały się na boisku do siatkówki.

O właśnie [śmiech]. Na zakończenie tego zgrupowania mieliśmy turniej, graliśmy bez Niemców. Jedną część rozegraliśmy na otwartym korcie, drugą w hali Politechniki Gdańskiej. Wygrałem go bez problemu. Graliśmy jeszcze ciężkimi lotkami, natomiast po powrocie do Wrocławia, tato wyrzucił je wszystkie i zaczęliśmy grać lekkimi lotkami.

Skąd je Państwo wzięli?

No właśnie, nie można było ich nigdzie kupić, chyba że ktoś jechał do NRD, co wcale też nie było łatwe. Mój tata wpadł na pomysł najłatwiejszy, jaki mógł wtedy – zdejmowaliśmy z lotki ciężki gumowy kapturek, zostawała sama plastikowa lotka, którą tata oklejał zwykłymi plastrami opatrunkowymi. Ważyła mniej i można było grać. Latała mniej więcej, jak powinna, trochę słabo, ale posiłkowaliśmy się sposobem. Jeszcze jedno: gdy wygrałem turniej na Polance Redłowskiej, dostałem od trenera Niemców rakietkę.

Cudo?

Tak! Myśmy grali tylko drewnianymi, bo w Polsce nie było innych, natomiast ta miała pręt metalowy w środku i to był niesamowity postęp. Rączkę z głowicą łączył metalowy pręt. Dla nas był to ósmy cud świata. Przeszliśmy na granie lekką lotką i mieliśmy z tym same problemy, bo TKKF nie chciał w swoich zawodach wprowadzić obowiązku grania lotką lekką, twierdząc, że ona jest niedostępna na rynku. A skoro nie może być dostępna dla wszystkich zawodników, przepisy zostały tak ustanowione, że obowiązywała gra lotką ciężką, chyba że dwóch zawodników zgodziło się grać lekką. Niech pani sobie wyobrazi, że na jednych zawodach grało się i lekką, i ciężką. To jakby się występowało w dwóch różnych konkurencjach. Pamiętam jeden niefortunny przypadek. Podczas rozgrzewki to

się stało. Zawodnik z Bydgoszczy stwierdził, że będziemy grać ciężką lotką i ja na rozgrzewce trafiłem go nią w oko. Na szczęście nic mu się nie stało, ale od razu przeszliśmy na lekką. Ten przepis to był wielki hamulec polskiego badmintona. Potem mój tata zaczął organizować duże turnieje, współpracował z redakcją „Wiadomości" we Wrocławiu i zorganizował pierwszy międzynarodowy turniej o Puchar „Wiadomości". Był rok chyba w 1970 albo 1971, a później kolejne turnieje, np. o Puchar Rektora Wyższej Szkoły Rolniczej. Te wydarzenia miały już charakter międzynarodowy.

Jakim trenerem był Tadeusz Englander?

Wspaniałym!

O czym świadczą wyniki...

Właśnie. Tak więc był wspaniałym trenerem, zaangażowanym, z dużymi ambicjami. Dążył do tego, żeby jego wychowankowie osiągali poziom mistrzowski.

I chyba z ogromna charyzmą?

Tak myślę. Charyzmę miał nie tylko jako trener badmintona, ale też jako nauczyciel wychowania fizycznego. Tata spotykał potem wielu swoich byłych uczniów, którzy z wielką atencją się do niego odnosili. Przywoływali miłe wspomnienia ze zgrupowań sportowych, obozów czy lekcji wychowania fizycznego. Ja też nieraz słyszałem te barwne historie, które dzięki tacie mogli przeżyć i które zapamiętali. Ciekawostką jest wspólna pasja sportowa taty i Zbyszka Cybulskiego (znanego aktora), którego tata uczył w liceum w Dzierżoniowie pod koniec lat 40. ubiegłego wieku. Tata był przewodniczącym koła sportowego z ramienia kadry nauczycielskiej, a Zbyszek Cybulski z ramienia uczniów. Liceum w Dzierżoniowie przodowało wówczas w sporcie szkolnym Dolnego Śląska.

Świetny nauczyciel. A jako ojciec był wymagający?

Tak, tak, gonił nas wszystkich do treningów. Bez tego by się nie dało zrobić dobrych wyników. Miał swoje cele, miał swoje środki, miał swoje sposoby, żeby nas trochę przymuszać do pracy. Bardziej marchewką niż kijem, ale różnie bywało. Potrafił również wyrzucić nas z obozu sportowego (mnie i Andrzeja Domagałę – dwóch mistrzów Polski i Włodka Błażyńskiego).

Syn nie miał żadnych forów u trenera?

Nie, żadnych, musieliśmy się pakować w sylwestra i wyjeżdżać do domu.

Czym Pan podpadł?

Za głośno zachowywaliśmy się w nocy. Nic wielkiego się nie działo, ale głośno się zachowywaliśmy, pobudziliśmy wszystkich dookoła i rano trzeba było się spakować i wracać. Takie momenty też były, ale może to dało dobre efekty.

Co pokazały Pana i innych osiągnięcia.

Niespełnione marzenie o medalu olimpijskim

Miał być piłkarzem. Został najlepszym, jak dotąd, polskim badmintonistą. Jest niemal rówieśnikiem Polskiego Związku Badmintona. 2017 rok to dla jednego i drugiego czas przełomu – Związek po dekadzie zastoju łapie oddech i wkracza na nowe tory, a jego największa gwiazda – Robert Mateusiak kończy karierę zawodnika i przechodzi na ławkę trenera. Wróćmy jednak do początków...

Gdy 13 stycznia 1976 roku w Wołominie w rodzinie Mateusiaków przychodzi na świat chłopiec o imieniu Robert, Polski Związek Badmintona jeszcze nie istnieje. Zostanie założony niecałe dwa lata później. Tego, że za kilka lat organizacja odegra niezwykle ważną rolę w życiu Roberta, nikt jeszcze nie wie. Chłopak wprawdzie od najmłodszych lat przejawia ogromny zapał do sportu, ale wszystkim, a zwłaszcza jego ojcu wydaje się, że zostanie piłkarzem. Ma bowiem serce do piłki i wielki talent, o czym świadczy między innymi przezwisko, które przylgnęło do niego na dobre. Dziś, mimo że w piłkę grywa już tylko rekreacyjnie, nadal wiele osób mówi na niego po prostu „Zico" (od pseudonimu słynnego, brazylijskiego piłkarza, a dziś trenera Zico, czyli Arthurta Antunesa Coimbry).

„Zico" z warszawskiej Pragi prawdopodobnie zrobiłby karierę w Legii, gdyby nie pewna lekcja matematyki w szkole podstawowej. Miał 12 lat, nie przepadał za królową nauk, więc gdy w klasie pojawił się wuefista i zapytał, kto chciałby pójść na lekcję pokazową badmintona, od razu się zgłosił. Miłość do „paletek" pokonała tę do piłki nożnej. Przez jakiś czas trenował obie dyscypliny. Jednak, gdy trzeba było wybrać, zwyciężył badminton. Zawodnik Poloneza Warszawa szybko robił postępy. Miał 15 lat, gdy został zauważony przez pierwszego chińskiego trenera i dostał powołanie do Ośrodka Przygotowań Olimpijskich w Olsztynie. Jako junior wszedł do kadry narodowej. Od tamtej pory minęło 26 lat, a Mateusiak ma na koncie wiele sukcesów i wciąż reprezentuje Polskę.

Wyspecjalizował się w grze podwójnej. Jeden z najbardziej utytułowanych polskich badmintonistów jest 29-krotnym mistrzem Polski (13 razy w grze podwójnej i 16 w grze mieszanej). W swoim dorobku ma też srebrnych medali z mistrzostw Polski (4 razy w grze podwójnej i raz w grze mieszanej). Czterokrotnie wywalczył brązowy medal MP (2 razy w grze podwójnej, 2 razy w grze mieszanej). W 1999 i w 2003 roku w parze z Michałem Łogoszem zdobył złoty medal mistrzostw Polski.

W deblu oraz mikście ma największe, międzynarodowe sukcesy. Oto niektóre z nich: brązowe medale mistrzostw Europy w parze z Michałem Łogoszem zdobył w 2000 roku w Glasgow, w 2002 roku w Malmoe, a także w 2004 roku w Uppsali i w 2006 roku w Den Bosch. Na tych mistrzostwa zdobył też drugi brązowy medal, tym razem w mikście z Nadieżdą Kostiuczyk. Para Mateusiak/Kostiuczyk jest jak dotąd najlepszym duetem w historii polskiego badmintona. W 2008 roku duet ten zdobył srebrny medal mistrzostw Europy w Herning. Sukces ten powtórzył dwa lata później w Manchesterze. Nadieżda występowała już wtedy pod nazwiskiem Zięba. Podczas mistrzostw Europy w Karlskronie w 2012 roku Mateusiak i Zięba wygrali w grach mieszanych i zdobyli złoty medal.

Do ważniejszych osiągnięć w sportowej karierze Roberta Mateusiaka należy też zaliczyć ćwierćfinał mistrzostw świata w Kuala Lumpur w 2007 roku w mikście z Nadieżdą Ziębą (wówczas Kostiuczyk). Piąte miejsce duet zajął też na mistrzostwach świata w 2013 roku w Gunagzhou. Para ta wygrała też w mikście w turniejach: Dutch Open, turnieju rangi Grand Prix, Grand Prix Russian Open 2007 oraz Super Series w Hongkongu w 2009 roku.

Robert Mateusiak wielokrotnie plasował się w pierwszej dziesiątce w rankingu światowym w deblu i mikście. Był też pięciokrotnie uczestnikiem igrzysk olimpijskich. Niestety, nigdy nie udało mu się spełnić największego sportowego marzenia – za każdym razem wracał z najważniejszej sportowej imprezy bez medalu.

W 2000 roku w Sydney w parze z Michałem Łogoszem w grze podwójnej w 1/16 finału pokonali Petera Blackburna i Davida Bamforda z Australii 15:5, 16:17, 15:6; a w 1/8 finału przegrali z Anglikami Simonem Archerem i Nathanem Robertsonem 1:15 i 10:15. Odpadli z konkurencji na 9. miejscu. W Atenach w 2004 roku para ta pożegnała się z igrzyskami już w rundzie eliminacyjnej. Zdecydowanie lepszy start Robert Mateusiak zaliczył na olimpiadzie w Pekinie w 2008 roku. Dotarł tam do ćwierćfinału w grze podwójnej z Michałem Łogoszem i w mikście z Nadieżdą Kostiuczyk.

Najbardziej emocjonujący start na igrzyskach i porażkę, której nigdy nie zapomni, „Zico" zaliczył w Londynie w 2012 roku. Droga po medal w mikście razem z Nadieżdą Ziębą zakończyła się na etapie ćwierćfinału. W meczu z chińska parą Jin Ma i Chen Xu to Azjaci byli faworytami. Prowadzili w dwóch pierwszych rundach, jednak w trzeciej Mateusiak i Zięba zaczęli odrabiać straty. Przy wyniku 20:18 dla Chińczyków, polska para wygrała trzy kolejne akcje, miała też lotkę meczową. Niestety, niewykorzystaną. Mecz wygrali Chińczycy i to oni przeszli do półfinału.

Cztery lata później w Rio de Janeiro Mateusiak i Zięba wprawdzie odegrali się na chińskich rywalach, ale medalu nie zdobyli. W 2016 roku też doszli jedynie do ćwierćfinału igrzysk olimpijskich.

Na kolejną olimpiadę Robert Mateusiak już nie pojedzie, przynajmniej nie jako zawodnik. W wywiadach zapowiedział, że jesienią 2017 roku zamierza skończyć karierę zawodnika. Nie myśli jednak o pożegnaniu z badmintonem. Zamierza zostać szkoleniowcem. Od kilku już lat prowadzi w Warszawie Akademię Badmintona.

Każdy ma swojego mistrza

Dr Henryk Nawara – trener klasy mistrzowskiej, starszy wykładowca w Katedrze Dydaktyki Sportu Akademii Wychowania Fizycznego we Wrocławiu, autor podręcznika akademickiego „Badminton" i prawie 40 prac poświęconych tej dyscyplinie. Od wielu lat jej niestrudzony propagator.

Jak to się stało, że właśnie Akademia Wychowania Fizycznego we Wrocławiu tak mocno zaangażowała się w rozwój badmintona w tym mieście?

Mamy we Wrocławiu piękną, wieloletnią badmintonową tradycję. Stąd wywodzą się prekursorzy tej gry, że wspomnę Tadeusza Englandera, ojca Krzysztofa Englandera – naszego utytułowanego sportowca, a w późniejszych latach także świetnego szkoleniowca. W ostatnich 40 latach działalność Uczelni stanowi kontynuację funkcjonowania sekcji badmintona AZS AWF, którą przez długi czas z wieloma sukcesami prowadził Janusz Musioł. Przejmując schedę, zaczęliśmy funkcjonować w innym obszarze, mniej sportowym (aktualnie nie ma bowiem we Wrocławiu ligowego klubu), a raczej dydaktycznym.

Sekcja to wystarczający powód, by organizować na uczelni kursy instruktorskie, a potem wprowadzać dyscyplinę do programu studiów? We Wrocławiu nie było przecież tak wielkiego klubu, jak technik Głubczyce czy SKB Suwałki.

Wprowadzenie badmintona do programu studiów wyniknęło między innymi z tego, że to tutaj na wrocławskiej AWF były organizowane przed laty pierwsze kursy szkoleniowe: instruktorskie i trenerskie. Skończyłem studia w 1977 roku i od razu mocno się zaangażowałem w popularyzację i dalszy rozwój gry, a stało się to głównie za sprawą moich przyjaciół. Byli wśród nich m.in.: Zygmunt Skrzypczyński, wielokrotny mistrz Polski w grach pojedynczych, Andrzej Domagała, kilkunastokrotny mistrz Polski w grach deblowych i mikstowych. Duże znaczenie miało też dość bliskie sąsiedztwo Głubczyc, skąd przyjeżdżali na studia do Wrocławia znakomici zawodnicy. Pod koniec lat 70. wraz z grupą zapaleńców zaczęliśmy krzewić badminton niemal na wszystkich wrocławskich uczelniach. Powstały studenckie sekcje sportowe na Politechnice Wrocławskiej, Uniwersytecie Wrocławskim, Akademii Medycznej, Akademii Rolniczej. W najlepszych latach we Wrocławiu w ramach ligi międzyuczelnianej w badmintona grało około 400 studentów. Organizowaliśmy z rozmachem duże (niekiedy także w obsadzie międzynarodowej) turnieje. W jednej z takich imprez w uroczystości otwarcia wzięło

udział czterech rektorów, 26 olimpijczyków reprezentujących różne dyscypliny. Na końcowych listach rankingowych mieliśmy odnotowanych kilkaset osób. To był duży trud, ale satysfakcja ogromna.

Niesamowita liczba, dziś o takiej można tylko pomarzyć.

Tak. Działamy konsekwentnie od niemal 40 lat, utrzymując cykl rozgrywek ligi międzyuczelnianej. Część studentów po studiach rozjechała się po Polsce, ale część została we Wrocławiu i wielu z nich grało dalej. W ostatnich latach w tym mieście powstały nowe, znakomicie wyposażone obiekty sportowe, gdzie można grać w badmintona. Początki nie były jednak łatwe. Pamiętam, jak z dużą grupą studentów jechaliśmy w początkach lat 80. na międzynarodowe mistrzostwa Polski do Warszawy i dziekan nie wyraził zgody na wyjazd.

Dlaczego?

Powiedział, że ma w programie studiów napisane „kometka", a ja chcę zabrać studentów na zawody badmintonowe, a dla niego to nie jest to samo. Moje wyjaśnienie, że badminton jest sportową formą rekreacyjnej gry, nie przekonało go i nadal przecząco kręcił głową. Ostatecznie wpisaliśmy w zgłoszeniu „międzynarodowe mistrzostwa Polski w kometce" (co brzmiało kuriozalnie) i dostaliśmy zgodę na wyjazd. Ta anegdota pokazuje, jakie było wtedy wyobrażenie o badmintonie nawet na uczelni sportowej. Po kilku latach mozolnej pracy przełamaliśmy stereotyp i zaczęto na AWF-ie we Wrocławiu postrzegać badminton jako pełnoprawną, mocno osadzoną w realiach dyscyplinę sportu. Otrzymaliśmy pieniądze na sprzęt i wyposażenie hal, napisaliśmy programy, uruchomiliśmy specjalizację instruktorską i trenerską, wprowadziliśmy ofertę tzw. zajęć do wyboru. Możemy się pochwalić, że niemal każdy student AWF-u we Wrocławiu przeszedł przez zajęcia z tej dyscypliny, zapoznał się z nią w warunkach hali sportowej i nabrał wyobrażenia, na czym polega badminton w wersji sportowej. Zamiłowaniem do odbijania lotki zaraziłem wielu swoich kolegów, nauczycieli akademickich – tenisistów, tenisistów stołowych, biegaczy, strzelców itp. Trener koszykówki Zbigniew Fajbusiewicz, który doprowadził Ślęzę Wrocław do mistrzostwa Polski, przez pół roku „katował" swoje koszykarki na treningach badmintonem, wspomagając trening kondycyjny.

Badminton jako sport bardzo szybki, wymagający dużej sprawności fizycznej. Sprawia, że uprawiający go zawodnicy świetnie odnajdują się w innych dyscyplinach sportu, w których przydaje się szybkość, jak piłka nożna czy piłka ręczna. Ale też odwrotnie – badmintoniści lepiej od innych radzą sobie na boisku w grach zespołowych.

Ma pani rację – kiedy studenci przychodzą do mnie na salę i zaczynają naukę gry w badmintona, to już po kilku minutach potrafię się zorientować, kto z jakiej dyscypliny przyszedł. Zwykle szybko opanowują podstawy gry piłkarze ręczni,

siatkarze, koszykarze, a więc wszyscy, którzy trenują na parkiecie. Jest dużo elementów zbliżonych, jak: szybkość startowa, czas reakcji, widzenie przestrzenne, peryferyjne, itp. Wiele dyscyplin korzysta z naszych osiągnięć.

Jakie na przykład?

Mamy we Wrocławiu bardzo silną sekcję szermierczą przy uczelnianym AZS--ie. Trenerzy szermierki, którzy kiedyś przyjechali na programowy obóz letni AWF-u, zobaczyli, jak uczymy badmintonistów technik przemieszczania się i natychmiast podchwycili nasze ćwiczenia. Jeden z wybitnych szkoleniowców w tej dziedzinie sportu Adam Medyński przyszedł do nas na zajęcia, wszystko skrzętnie spisał i przeniósł nasze doświadczenia i umiejętności na własny grunt. My od szermierzy też zaczerpnęliśmy mnóstwo ciekawych rozwiązań.

Jaki wpływ na rozwój badmintona ma akademicka wiedza?

To jest pytanie podstawowe. Nie ma teraz w sporcie kwalifikowanym takiej dyscypliny sportu, która nie jest zmuszona wspierać się nauką i badaniami, które potwierdzą lub zaprzeczą różnorodnym intuicyjnym teoriom trenerskim. I nie mówimy tu tylko o wiedzy z zakresu teorii sportu, ale także medycznej, psychologicznej, socjologicznej itp. Od której strony chcielibyśmy „ugryźć" badminton, w każdej znajdzie się naukowe pole do popisu.

Z jednej strony jest to bardzo popularny sport – każdy kiedyś odbijał lotkę, ale w skali Polski w sensie wyczynowym jest wciąż niszowy, nie tak popularny jak w Azji.

Trzeba do tej sprawy podejść nieco inaczej, nie uogólniać. Różne są miasta i ośrodki w Polsce. We Wrocławiu badminton z pewnością nie jest sportem niszowym. Ale ma pani rację – z ogólnego punktu widzenia nie jest tak popularny i powszechny, jak w Azji, jednak z każdym rokiem jest coraz lepiej. Dyscyplina ta się mocno ugruntowuje i staje się coraz bardziej powszechna.

Wróćmy jednak do wszechstronnych aspektów badmintona. Mówi się, że to jest sport kształtujący zarówno ciało, jak i umysł, wymaga bowiem dobrej kondycji, ale też umiejętności koncentracji, zdolności do błyskawicznej analizy ciągle zmieniających się na korcie sytuacji. A mimo tych trudności szybko zjednuje sobie zwolenników.

Tak, to prawda. Badminton jest grą, która dostarcza przyjemności z ruchu na każdym etapie zaawansowania, od dziecka po późny wiek dorosły. W postaci rekreacyjnej, jeżeli chodzi o poziom techniczny, nie jest grą zbyt zaawansowaną. Na poziomie wyczynowym jednak jest to sport bardzo trudny i złożony technicznie. Jak obliczył jeden ze znakomitych szkoleniowców Marian Stelter, na technikę gry w badmintona składa się około 150–160 elementów. Są to rozmaite serwy, sposoby uderzania lotki, przemieszczania się zawodnika na korcie itd. We wczesnym etapie nauki gry dwie osoby, nawet słabo zaawansowane technicznie, mają dużą

przyjemność z odbijania lotki, bo są w stanie utrzymać ją w powietrzu, co nie udaje się początkującym tenisistom lub pingpongistom, gdyż piłka szybko „ucieka" ze stołu, a to jest frustrujące i zniechęcające. W badmintonie już od pierwszych lekcji ci, którzy się dadzą namówić do uczestnictwa w takich zajęciach, odczuwają dużą przyjemność z odbijania lotki. Z czasem przyjemność potęguje się wraz z zaawansowaniem ruchowym i nabywaniem nowych umiejętności. Gra ma też duży walor terapeutyczny i socjokulturowy – w trakcie gry podwójnej można komunikować się z partnerem, wymieniać uwagami, doradzać sobie na boisku. Ważne jest, aby w początkowym okresie nie eksponować elementu rywalizacji. Badminton jest grą integrującą, pozwalającą nawiązywać nowe znajomości i daje bezcenną możliwość oderwania się od codzienności. Na przykład w przeciwieństwie do biegania w plenerze lub na bieżni mechanicznej, podczas którego człowiek cały czas ma umysł zaprzątnięty rozmaitymi problemami. W badmintonie tego nie ma – tu trzeba się na moment skoncentrować na grze, zastanowić, w które miejsce posłać lotkę, jak do niej szybko dobiec. Ten sport działa terapeutycznie. Godzina gry naprawdę odświeża umysł, „resetuje" głowę i pozwala na prawdziwy, umysłowy relaks.

Nie mówiąc o stronie fizycznej i kondycji...

Badminton jest grą bardzo absorbująca, angażującą – jak to wyliczyli fachowcy – niemal 90 procent masy mięśniowej. Praktycznie całe ciało pracuje: nogi, ręce, tułów, brzuch, mięśnie barków, szyi, niemal wszystkie. A gdy jeszcze ma się sympatycznych partnerów, to również mięśnie twarzy pracują, bo trzeba się uśmiechać. Badminton nie jest grą kontaktową, jak koszykówka czy piłka ręczna. Nie ma więc ryzyka zderzenia, które często zdarza się we wspomnianych grach. Na każdym etapie można stawiać przed sobą cel podwyższania umiejętności, ogrywania kolejnych przeciwników. Są przecież ludzie, dla których to jest ważny element. Przypominam sobie mistrzostwa prawników, które organizowałem kilka razy. Widziałem, co tam się dzieje, z jaką zaciętością sędziowie czy adwokaci na korcie odgrywają role niemal przeniesione z sali sądowej.

A jakie były Pana początki gry w badmintona?

Byłem studentem AWF-u, pojechałem na letni obóz programowy. Wówczas nie miałem pojęcia o badmintonie. Jako sportowiec uprawiałem wyczynowo saneczkarstwo, byłem nawet wicemistrzem Polski. Zjechałem po lodowym torze z prędkością blisko 100 km/h, wzbudzając tym zachwyt kolegów. W Olejnicy na obozie jeden ze studentów zaczął mówić o badmintonie niestworzone rzeczy. Powiedział między innymi, że ktoś, kto nie uprawiał tej gry wyczynowo, odbijając ze średniej klasy badmintonistą, nie jest w stanie zdobyć jednego punktu na 100 możliwych. Byłem tym, który zakwestionował prawdziwość tych słów. Student zapytał, czy chcę się założyć. Chciałem. Podyktował tylko taki warunek, że muszę rozreklamować pojedynek i spowodować, żeby wszyscy studenci przyszli

zobaczyć ten eksperyment. Zrobiłem to i punktualnie o godzinie 16 wyszliśmy na boisko. Ja – kompletny ignorant, on – zaawansowany (jak się wkrótce okazało) badmintonista. Po 15 minutach bardzo nierównego pojedynku było równo 100 do zera. Zakład przegrałem z kretesem, nie mogłem sobie z tym poradzić, bo byłem sprawny i ambitny. Mój przeciwnik zaproponował drugi zakład. Zapytałem, do ilu będziemy grać, do tysiąca? A on na to, że zawiąże sobie nogi w kostkach i stanie naprzeciwko mnie z zawiązanymi stopami. Zagramy do 15 punktów, żeby było krócej i jeżeli zdobędę 1 punkt, wygrywam zakład, a on odda mi to, co już przegrałem. Pomyślałem, raz mu uderzę lotkę daleko na linię końcową, raz krótko za siatkę i zobaczymy, jak będzie skakał z zawiązanymi nogami. Dodał jeszcze, że jeżeli się potknie, przewróci lub podeprze – przegrywa zakład. Zagraliśmy i to był mój kolejny błąd. Po 10 minutach było 15 do zera. Wykonał 15 trudnych serwów, lotka mignęła mi przed nosem raz, drugi, trzeci i było 15 do zera. Schodząc z boiska, żegnany drwiną bezlitosnej publiczności, usłyszałem propozycję kolejnego zakładu.

Odpowiedział Pan: „Nie jestem samobójcą".

Nie, powiedziałem: „Musiałbyś sobie nogę odrąbać". A on na to: „Zgoda". I przywiązał sobie szarfą nogę do pasa. Stanął naprzeciwko mnie na jednej nodze i zaproponował ponownie grę do 15 punktów. Pomyślałem: „Teraz to już kolego przesadziłeś". Publiczność była zachwycona rozwojem sytuacji, dopingując mnie głośnymi okrzykami: „Graj, graj, graj!". Set w badmintonie trwa 7–8, czasami 10 minut. Ustać tyle czasu na jednej nodze nie jest łatwo, a jeszcze przemieszczać się szybko.

I co?

Przegrałem trzeci set. Nie zdobyłem ani jednego punktu. Mój przeciwnik, znakomity gracz Zygmunt Skrzypczyński był aktualnym mistrzem Polski w badmintonie. Po obozie wróciliśmy do Wrocławia. Zaintrygowany poszedłem na halę sportową zobaczyć, o co tak naprawdę chodzi w tej grze, dlaczego takie straszliwe dostałem lanie. I zainteresowałem się badmintonem na dobre. Zygmunt dał mi pierwsze lekcje. Po dwóch miesiącach gry pojechałem razem z drużyną do Warszawy na międzynarodowe mistrzostwa Polski w badmintonie. I tam najlepszy polski badmintonista wylosował zawodnika z Czechosłowacji, który nazywał się Karol Maly. Poszedłem zobaczyć, jak Zygmunt będzie poniewierał Czecha.

Tymczasem było odwrotnie?

Tak. Jakież było moje zdziwienie, gdy po krótkim, nierównym pojedynku Czech dość gładko ograł Zygmunta. Po meczu podszedłem do niego i zapytałem, jak to możliwe, dlaczego nie walczył? A on na to: „Taka jest różnica między najlepszym Polakiem, a najlepszym Czechem". Ten Czech był już wówczas na europejskiej liście rankingowej na wysokiej pozycji i ewidentnie grał lepiej od naszego

mistrza. Ta historia ma dalszy ciąg: w kolejnym meczu Czech trafił na zawodnika Danii...

I tym razem Duńczyk sponiewierał Czecha...

Tak. Duńczycy wtedy przysłali do nas swoją trzecią reprezentację, bo najlepszych wysłali do Chin na mecz międzypaństwowy, który wyraźnie przegrali.

Wiedziałam, że musi się skończyć w Azji!

Od tamtej pory mówię studentom, że nie ma takiego badmintonisty, na którego nie czekałby inny mistrz. Taki jest urok tej gry. Nabrałem wtedy pokory i szacunku do badmintona. A kilka lat później, gdy nauczyłem się grać, udoskonaliłem umiejętności, niekiedy dla zabawy podejmowałem i nadal podejmuję ze studentami podobne zakłady.

Wojtek, zbierz ekipę, pojedziemy...

Wojciech Ożóg jest sędzią prowadzącym i liniowym oraz sekretarzem Kolegium Sędziów Polskiego Związku Badmintona. Z badmintonem związany od ponad ćwierć wieku, początkowo jako zawodnik, a od ponad 20 lat jako sędzia.

Najpierw był Pan zawodnikiem?
Tak. Sędziuję już 19 lat. Wcześniej grałem z dwuletnią przerwą ze względu na operację. Nie mogłem grać i właściwie wtedy moja kariera zawodnika tak naprawdę się skończyła.
Kontuzja?
Nie, miałem operację na sercu. Musiałem zrezygnować z treningów na dwa lata, a to był wiek, w którym najwięcej się człowiek uczy i najwięcej trenuje. Gdy wróciłem, to już nie było to samo. Miałem lat 17 i ciężko było mi nawiązać kontakt z rówieśnikami, którzy grali bez przerwy. Co nie znaczy, że nie wygrywałem. Pamiętam otwarte mistrzostwa Wrocławia. Grałem z chłopakiem, z którym wcześniej zawsze wygrywaliśmy na zmianę, raz on, raz ja. To był pierwszy turniej po moim powrocie na kort. Wystartowałem bez treningów. W pierwszym secie przegrywałem 14:0. A jeszcze nie grało się do 15, tylko było podwyższenie do 17. Drugi set wygrałem z nim do zera. I w sumie wygrałem mecz 17:14. W efekcie ten chłopak zrezygnował wtedy z badmintona i przerzucił się na tenis stołowy.
Czyli zakończył Pan jego karierę badmintonową.
Tak, on trenował całe lata. Na początku meczu to ja nie wiedziałem, co się dzieje. On zaczął grać w trochę inny sposób, niż grało się dwa lata wcześniej przed moją przerwą. Trochę się zmieniła szybkość badmintona. Nie nadążałem, ale później nie wiem, co się nagle stało, że wszystko się odwróciło. Zacząłem grać, wygrałem i chłopak już więcej nie pojawił się w badmintonie.
Świetna historia. A jak zaczęła się Pana przygoda z badmintonem?
W szkole. Jak wszystkie dyscypliny, a wiele ich uprawiałem, trochę przypadkiem. Przyszedł Marek Zawadka, mój nauczyciel od wielu przedmiotów w szkole w Górzynie. Byłem może w piątej klasie i powiedział: „Słuchaj Wojtek, tam i tam są mistrzostwa województwa w badmintonie. Zbierz ekipę. Pojedziemy?" Ja na to: „Dobra, możemy jechać". Pojechaliśmy i wygrałem te mistrzostwa. Co ciekawe, grałem taką starą rakietką drewnianą, powykrzywianą. Takie wtedy były w szkole. W zwykłych trampkach kupowanych na targu. W finale wygrałem z chłopakiem, który trenował już ze trzy lata.

Czyli miał Pan talent.

Zawsze miałem dryg do sportów. Uprawiałem duathlon, tenis stołowy, a wcześniej biegi i piłkę nożną. Badminton zaczął się w ten sposób, od razu od wygranej. Marek Zawadka zrobił wtedy wielkie poruszenie w gminie, że jest taki zawodnik. Załatwił jakieś pieniądze i przyjechaliśmy do Wrocławia, do Lotniczych Zakładów Naukowych, gdzie dostałem profesjonalny sprzęt. Pamiętam rakietkę za jakieś 80 złotych i ubiór. Od tamtej pory jeździliśmy na wszystkie okoliczne zawody i zawsze były wyniki. Zawsze padało hasło: „Wojtek, zbierz ekipę, pojedziemy". I wybierałem – ten szybko jeździ na rowerze, ten dobrze gra w piłkę, tamten szybko biega... Taka organizacja była dobra 25 lat temu, dziś chyba by się nie sprawdziła. Wszystkie zaproszenia na zawody przychodziły do szkoły listownie, więc dobrze jak ktoś taki list zauważył. Jak nie, to dosłownie było po zawodach.

Idealna historia na reportaż. Zawody, sukcesy, to pewnie była fajna przygoda.

Dla mnie jako chłopaka z wioski bardzo fajna. W kolejnym sezonie wygrałem mistrzostwa Wrocławia. Pamiętam wręczenie dyplomów w operze. Przyjechali wszyscy zawodnicy, którzy tam grali, nasi rodzice, nauczyciele. Dyplomy były wręczane na scenie. Dla mnie to było duże przeżycie. Potrenowałem dwa, może trzy lata.

I okazało się, że wysportowany chłopak ma wadę serca?

To była wrodzona wada, o której wiedziałem. Nic mi się nie działo, w niczym mi nie przeszkadzała. Natomiast lekarz w pewnym momencie stwierdził, że najlepiej ją zoperować, żeby nie było problemów w przyszłości. I mama podjęła decyzję.

Słuszną zapewne. Co jakiś czas przecież słychać o młodych sportowcach, którzy umierają na boisku.

Wiele osób z taką wadą żyje bez operacji. Mam dwóch kolegów, którzy urodzili się z taką samą wadę. Jeden też miał operację, drugi nie. Wszyscy mamy się dobrze. Tak naprawdę nie wiadomo, czy ten zabieg był potrzebny.

Gdy po powrocie okazało się, że jednak wyniki już nie są satysfakcjonujące, co 17-letni badmintonista postanowił robić dalej?

Wtedy znów Marek Zawadka podpowiedział mi kurs sędziowski. Jak zwykle zapytał: „Jedziemy zrobić?" Ja jak zwykle odpowiedziałem: „Jedziemy". Kurs był w Obornikach Śląskich. Zacząłem sędziować mniejsze turnieje, a w 1998 roku był ogólnopolski kurs sędziów, na którym można było zdobyć klasę państwową. Pojechaliśmy tam z kilkoma osobami. Za pierwszym razem udało mi się zdać egzaminy na sędziego liniowego i prowadzącego. I tak się zaczęła przygoda z sędziowaniem. Pierwsze zawody, jakie po tym kursie i egzaminach sędziowałem, to były międzynarodowe mistrzostwa juniorów w Głogowie w grudniu 1998 roku.

Jak rozumiem, urlop poświęca Pan na zawody?

Ja nie mam urlopu, bo pracuję sam u siebie, więc kiedy potrzebuję, daję sam sobie wolne. Chociaż może nie do końca, bo przecież jest jeszcze rodzina. Odkąd mam córkę, mniej czasu spędzam na wyjazdach. Pozwalam sobie na dwa - trzy takie wyjazdy w roku.

Żona i córka grają w badmintona?

Nie, ale może kiedyś będą grały. Córka ma 6 lat i na razie próbuje innych sportów: pływania, wspinaczki, jazdy na nartach. Jak będzie chciała, to będzie grała, nie będę jej zmuszał.

Ponad 20 lat kontaktu z badmintonem to wystarczająca perspektywa, by ocenić kondycję tej dyscypliny w Polsce.

Powiem tak: przez ostatnie 8 lat zacząłem postrzegać, że badminton zaczyna się kończyć, że zaczyna się przeobrażać w kometkę. Decyzje poprzedniego zarządu Polskiego Związku Badmintona w różnych kwestiach były dziwne. I nie chodzi tylko o sędziów, którzy zawsze są nielubiani na turniejach, bo potrzeba ich dużo, a każdy kosztuje – trzeba im zapewnić noclegi, wyżywienie, zwrot kosztów podróży i jeszcze jakąś dietę zapłacić.

Ilu sędziów powinno być na jednym meczu?

Zależy od turnieju, ale z reguły jest dwóch: prowadzący i serwisowy. Trzeba mieć też sędziów zastępczych. Z reguły przelicza się, że na jeden kort jest przewidzianych trzech sędziów do prowadzenia meczu, żeby dwa mecze sędziowali i jeden mieli wolny. Ewentualnie są też sędziowie liniowi, na zawodach wyższej rangi jak na przykład mistrzostwa Europy – po sześciu na kort. Tak więc sędziowie to dla organizatorów duży koszt. Zaczynano więc na nas oszczędzać, ograniczać liczbę sędziów. Zarząd przestał się też interesować szkoleniem sędziów i zaczęło się branie ludzi z łapanki, wielu z nich w ogóle nie ma pojęcia o sędziowaniu. I widać to po zawodnikach. Po drugie, ciągle grają ci sami zawodnicy, którzy grali, gdy ja zaczynałem sędziować. Oni nadal są w kadrze narodowej. Owszem, jest parę młodych nazwisk, ale zdecydowanie za mało. Jeśli chodzi o młodzież mogącą grać w Europie, to ona nie istnieje, jest pokoleniowa przepaść. Cały czas gra Nadia z Robertem. Odkąd pamiętam gra Przemek Wacha. Zawsze sędziowałem mu finał na mistrzostwach Polski, miałem go z przydziału, odkąd sędziuję, czyli od 19 lat. Wtedy Adam Cwalina był jeszcze w juniorach. Cały czas oglądam na turniejach te same twarze. Wydaje mi się, że przez 19 lat mogło się dużo zmienić, a niestety, nie było nowego narybku, który by teraz już coś znaczył. Dalej mistrzostwa wygrywają ci sami zawodnicy. Podziwiam Dorotę Grzejdak, która zdobywa medale na mistrzostwach Polski co najmniej od 20 lat. Wydaje mi się, że jakiś czas został zmarnowany i że teraz trzeba odbudować badminton w Polsce.

Ale na efekty trzeba będzie poczekać kilka lat.

Oczywiście. Myślę, że najwięcej zostało zaprzepaszczone za poprzedniej kadencji zarządu, gdy prezesem był pan Marek Krajewski. To były najbardziej

zmarnowane lata i pieniądze, wydawane w zły sposób. Myślę, że teraz może coś się zmieni. Marka Zawadkę znam, odkąd mnie uczył w podstawówce, czyli ze 30 lat. Wiem, że jak się zaweźmie, to może coś zmienić. Ale to nie wszystko. Musi się też zmienić mentalność trenerów, podejście do grona sędziowskiego. Przez ostatnie 8 lat właściwie nie jeździłem na turnieje, bo nikt nas nie powoływał. Zmieniono zasady powoływania sędziów i wiele innych spraw, dlatego nie miałem szansy, żeby jeździć i nie jeździłem. Teraz ta sytuacja zaczyna się zmieniać.

Wróćmy do charakteru pracy sędziego. Siedzenie 50 minut bez ruchu w pełnym skupieniu. Co jest w tym fajnego? Bo coś musi być, skoro robi to Pan już 19 lat. To znaczy, że Pan to lubi.

Lubię. Po pierwsze, ma się fajnych kolegów sędziów i okazję do spotkań przynajmniej raz na jakiś czas. Tworzymy chyba najbardziej zwartą grupę w badmintonowym środowisku. Trenerzy, ani zawodnicy nie są tak zwarci jak sędziowie. Po drugie, chodzi o inny rodzaj zmęczenia. Rzeczywiście, jak się cały dzień siedzi na stołku, jest fizyczne i psychiczne zmęczenie, ale inne niż na co dzień. I po trzecie, badminton to fajna dyscyplina, podobała mi się, gdy grałem i podoba mi się, gdy sędziuję. Jest też fajna adrenalina, bo jednak jak się siedzi na tym stołku i dostaje się dobry, ciężki mecz, to adrenalina wzrasta.

Naprawdę?

Tak, tym bardziej, gdy zna się trochę zawodników, gdy wiadomo, że trzeba być bardzo skoncentrowanym, bo walka będzie zacięta..

Któryś z zawodników jest Panu bliższy niż inni? Po cichu Pan komuś w sercu kibicuje?

Nie, nie. Nie znam na tyle zawodników, żeby komuś bardziej kibicować. Każdego traktuję tak samo i moim zdaniem, tak powinno być. Sędzia musi każdego traktować równo. Nigdy nie miałem faworyta, mimo że często dostawałem ten wspomniany finał na mistrzostwach Polski: Przemek Wacha – Jacek Niedźwiecki. Zawsze to ja im sędziowałem i mimo że Przemek rocznikowo jest mi bliższy, a Jacek trochę starszy, nigdy nie było faworyzowania.

A nieprzewidziane sytuacje? Gdy chciałoby się zastanowić, co zrobić, a nie ma czasu, bo to przecież bardzo szybki sport.

Tak, nie ma czasu na zastanowienie. Trzeba działać błyskawicznie. Oczywiście, zdarzają się nietypowe sytuacje na przykład, jak zgaśnie światło. Jest na to procedura.

Ale przecież przepisy wszystkiego nie przewidują.

Oczywiście, jak się zdarza coś, czego przepisy nie regulują, przerywa się mecz. Zależy, jaka to jest sytuacja.

A taka najbardziej nietypowa z Pana kariery?

Dużo było trudnych sytuacji, ale z każdej potrafiłem wybrnąć.

To inaczej zapytam – bywają zabawne historie?

Tak, na przykład podczas Mistrzostw Europy Drużyn Mieszanych w Badmintonie w Lubinie w lutym 2017 roku zdarzyło się, że jedna dziewczyna z Rosji serwowała co najmniej siedem razy pod rząd z błędem serwu. Za każdym razem ten błąd był wywołany. W pojedynku deblowym z reguły serwuje się krótkie lotki, czasami dla zmylenia przeciwnika daje się długą lotkę do tyłu, a ona cały czas z błędem serwowała ten długi serw. Chyba nie potrafiła krótko zaserwować z bekhendu. I w końcu zaczęła serwować z forhendu długą, czego w deblu nigdy się nie robi. I wszyscy zaczęli się śmiać, nawet sami zawodnicy i sędziowie. Kolega opowiadał, że zawodnik, który zdobywał trzy razy z rzędu punkt za punktem, za każdym razem pytał, czy on ma serwować. Zabawne, bo przecież powinien to wiedzieć. Aż sędzia prowadzący powiedział: „Tak, trzeci raz ci mówię, że masz serwować".

Badminton to kulturalna gra, ale pewnie zdarzają się nerwowe reakcje, jak na turniejach tenisowych rzucanie rakietą?

Tak, bardzo dużo jest takich sytuacji. Wtedy sędziemu też rośnie adrenalina, bo trzeba dać kartkę, a to się wiąże z karą finansową dla zawodnika. Sporo zależy od poziomu turnieju i od grających na nim zawodników, od ich wieku. Wiadomo, że ludzie w fazie dorastania miewają bardzo agresywne zachowania. Ułożonym zawodnikom nerwy puszczają rzadziej, ale im też zdarza się wybuchnąć. W internecie są na przykład filmiki, na których zawodnik goni zawodnika po całej hali. Mnie też się zdarzyło kilka razy dać kartki.

Jakie to uczucie?

Nerwowe, muszę dać zawodnikowi kartkę, a szkoda mi mu ją dać, bo wiem, że może też bym się tak kiedyś zachował w podobnej sytuacji. Bywa, że grający zostanie oszukany przez sędziego liniowego, a kiedyś nie było możliwości zmiany decyzji sędziego liniowego. Ja też kiedyś dałem kartkę w takich okolicznościach. Sędzia liniowy się pomylił, widziałem około 20-centymetrowy aut, a sędzia pokazał boisko. Wtedy zawodnik wykrzyczał niecenzuralne słowa i musiałem go za nie ukarać. A że była to druga jego kartka w tym meczu, czerwona, automatycznie stracił punkt. Było mi go żal, bo został ukarany dodatkowo kartką i punktem za coś, co mu się nie należało. Teraz przepisy się zmieniły i można zrobić korektę decyzji sędziego liniowego. Czasami taki sędzia zaśpi, bo przecież siedzi bez ruchu, więc jeśli się rzeczywiście pomyli, można zmienić jego decyzję. Oczywiście, jak myli się z 20-centymetrowym autem a nie na milimetry. Najczęściej kartki były wręczane w słynnym finale Wacha/Niedźwiecki. To był najbardziej prestiżowy i emocjonujący pojedynek na mistrzostwach Polski.

Kobiety też są takie nerwowe?

Też, ale mężczyźni chyba jednak częściej. Tak mi się wydaje. Kobietom też dawałem kartki. Pamiętam pewną sytuację, gdy siedziałem na serwisie,

a prowadzący nie zauważył czegoś, co się stało po meczu. Po pożegnaniu się z rywalem, zawodnik kopnął koszyk tak mocno, że go połamał. I teraz do głosu dochodzi zaufanie sędziowskie. My mamy do siebie zaufanie. Zawołałem do sędziego prowadzącego, bo jako serwisowy nie mogę dać kartki, jestem tylko pomocnikiem prowadzącego. On popatrzył, tylko pokazałem, żeby wyjął kartkę i pokazałem komu. On w ciemno wyjął kartkę i dał, nie wiedząc za co. Dopiero po meczu przyszedł i zapytał, za co ukarał zawodnika. To już jest słynna opowieść, która krąży wśród sędziów i przekazywana jest z pokolenia na pokolenie nie tylko w Polsce.

Bo przecież środowisko sędziowskie jest międzynarodowe.

Tak, trochę jest międzynarodowych sędziów, ostatnio przybyło nas dość sporo.

Sędzia musi znać język angielski?

Zależy, gdzie chce sędziować. Jeśli chce sędziować za granicą lub międzynarodowe turnieje, to powinien. Nie musi oczywiście znać angielskiego perfekt. Do prowadzenia samego pojedynku wystarczy lista słów, gorzej gdy zdarzy się coś nieprzewidzianego i trzeba to wyjaśniać. Należy więc być komunikatywnym. Akurat my mamy sporo sędziów zagranicznych, którzy mają uprawnienia BEC (ang. Badminton Europe Confederation – Europejska Federacja Badmintona) lub BWF (ang. Badminton World Fedetarion – Światowa Organizacja Badmintona).

Wracając do trudnych zachowań, badminton to jest sport elitarny, trzeba być kulturalnym.

Powinno się być. Zresztą w każdym sporcie powinno się być kulturalnym. Na boisku piłkarskim nie słychać, jak ktoś coś niecenzuralnego powie, ale to nie znaczy, że tam kultura nie obowiązuje. W badmintonie podczas aplauzu też czasem nie słychać rzeczy, które mówią zawodnicy, ale jak już ktoś coś krzyknie, to w całej hali słychać. W mojej karierze, gdy wręczałem kartki, to zawsze za brzydkie słowa wypowiedziane bardzo głośno, wręcz wykrzyczane.

W takiej sytuacji już Pan nie mógł przymknąć oka.

Nie, tym bardziej że byłem początkującym sędzią i wszyscy na mnie patrzyli. Musiałem z obowiązku dać kartkę, niestety. Ale przynajmniej dostaliśmy jako sędziowie bardzo dobrą szkołę. I nadal te zasady są praktykowane, szkolimy bardzo dobrych sędziów, co widać, patrząc na listę Badminton Europe. Mamy pięciu sędziów europejskich plus jednego światowej federacji.

Niesamowita jest ta oprawa meczów, ceremonia wyjścia.

Procedury są różne na różnych turniejach. Kolejność wyjścia, zejścia, ustawienia kolejnych czynności, na przykład sprawdzenia koszulek. Natomiast nie zawsze tak jest, czasami sędziowie i zawodnicy przychodzą osobno na boisko, to zależy od rangi turnieju. Im bardziej prestiżowy turniej, tym większe show.

Zdarzają się kary za niezgodny z przepisami strój?

Tak, jeśli ktoś nie zmieni stroju mimo upomnienia, odnotowujemy to i później zawodnik dostaje karę. Coraz rzadziej to się zdarza. Firmy, które produkują sprzęt, zaczynają poznawać przepisy i wiedzą, co jest dozwolone. Dochodzą reklamy, wszystko zmierza ku skomercjalizowaniu tego sportu, więc pewnie reklam będzie coraz więcej. Dbajmy jednak, żeby strój wyglądał schludnie jak w tenisie, a nie jak w siatkówce, gdzie jest reklama na reklamie. Tyle że to trudne, bo sport jest medialny, a reklamy przyciągają pieniądze.

Skoro już Pan wspomniał o pieniądzach, można zarobić, będąc sędzią, czy to jest raczej tylko hobby?

Jak zaczynałem, byłem w szkole średniej i później na studiach, to rzeczywiście był dla mnie zarobek. Wtedy były też dużo większe stawki. Zostały one obniżone przez poprzedni zarząd Związku dwukrotnie, raz za zgodą sędziów. Teraz są symboliczne, na drobne wydatki.

Czyli teraz tym bardziej trzeba lubić sędziowanie.

Tak, trzeba lubić, natomiast są osoby, które z tego żyją. Jeśli co tydzień jadą na trzy dni turnieju, to już wtedy się indywidualnie umawiają, jaką funkcję pełnią i za jaką kwotę. Za 3–4 dni można nawet dostać tysiąc złotych. Jak się sędziuje cztery weekendy, to wychodzi niezła kwota. Większość sędziów jednak raczej traktuje to zajęcie jako hobby, a nie zarobek.

Spieracie się Państwo jako sędziowie? Ogląda Pan mecz, który kolega sędziuje i myśli Pan, że podjąłby inne decyzje?

Oczywiście, bardzo często, właśnie po to się spotykamy, z reguły wieczorem po grach i opowiadamy sobie różne sytuacje, które widzieliśmy, by powiedzieć, czy według nas decyzja powinna być taka czy inna. Tworzy się dyskusja i dochodzimy do jakiegoś konsensusu. Nie wszystko jest zapisane w przepisach. Pewne sytuacje trzeba przeanalizować. Zresztą, fajnie jest posłuchać opinii kolegów, dowiedzieć się, co oni by w tym samym przypadku zrobili. Czasami ustalamy zasadę, która powinna obowiązywać, takie niepisane przepisy. Często też dostajemy zalecenia, jak interpretować dane sytuacje, kiedy przymykać trochę oko na pewne zachowania, albo czego bardzo restrykcyjnie pilnować. Takie wytyczne dostajemy przed turniejem od Badminton Europe, to jest robione w ramach testów.

Czyli sędziowanie to jest taka funkcja, w której ogromnie liczy się doświadczenie.

Tak. Wiedza teoretyczna jest bardzo ważna, ale ona się zmienia, głównie pomaga doświadczenie. Chociaż można mieć bardzo duże doświadczenie i wiedzę, a mimo to być kiepskim sędzią.

Sędzia musi mieć jakąś szczególną cechę, żeby był dobry w tym, co robi?

Myślę, że musi być odważny, żeby móc podjąć decyzję. Nie może jej zmieniać, gdy ktoś na niego nakrzyczy. Musi być pewnym decyzji, zwłaszcza gdy czasem

słyszy krytykę od kolegów, którzy mówią: „Zrobiłeś tak i tak, a moim zdaniem trzeba było inaczej". Musi być pewnym swoich decyzji, tym bardziej że zawodnicy często nie znają przepisów i próbują coś wymóc na sędzim. Zdarzało się, że w końcu sędzia machnął ręką i przytaknął. Niesłusznie, bo za chwilę druga strona miała problem i zaczynała się kłótnia.

Sędzia musi być uczciwy

Marek Łysakowski – sędzia klasy państwowej, sędzia licencjonowany, otrzymał Puchar dla wyróżniającego się sędziego w sezonie 1990/1991.

Czy dobry sędzia sam musi grać w badmintona?

Nie musi, ja nigdy nie grałem na poważnie, nigdy nie byłem zawodnikiem. Odbijałem amatorsko z kolegami.

Czy oprócz znajomości przepisów sędzia powinien mieć jakieś szczególne cechy charakteru? Pytam o to nieprzypadkowo. Otrzymał Pan m.in. Puchar dla wyróżniającego się sędziego.

Trudno powiedzieć. Przede wszystkim trzeba być uczciwym. To jest cecha kluczowa, jeśli chodzi o sędziego, bo złą decyzją można nieraz skrzywdzić zawodnika. Zatem należy do sędziowania podchodzić rzetelnie, uczciwie i sumiennie.

I precyzyjnie oceniać sytuację, która zmienia się błyskawicznie...

To prawda. Zależy też, jaką funkcję sędziowską się pełni, chociaż wszystkie stanowiska wymagają solidnego i rzetelnego podejścia.

Sędziuje Pan też mecze w parabadmintonie?

Bardzo rzadko. U nas na Opolszczyźnie turnieje takie są rozgrywane jedynie przy turniejach dzieci. Nie miałem okazji prowadzić turnieju parabadmintona. Zdarzyło mi się natomiast publikować wyniki z takiego turnieju. Tomek Zioło, który zajmuje się parabadmintonem w Polskim Związku Badmintona, poprosił mnie w zeszłym roku, żebym na bieżąco publikował wyniki.

Czy z perspektywy lat widzi Pan dużo zmian, jakie zaszły w sędziowaniu? To było kiedyś trudniejsze lub łatwiejsze zadanie niż teraz?

Zaczynałem w latach 80. W 1986 roku ukończyłem kurs sędziowski, a potem pomału wspinałem się coraz wyżej. Jest jedna zasadnicza różnica – wtedy nie było takiego dostępu do informatyki jak teraz. Wszystko się robiło na papierze, ręcznie, każdy wynik trzeba było zapisać na kartce. Dopiero z czasem, kiedy pojawiły się komputery, troszeczkę zaczęły ułatwiać pracę zwłaszcza sędziom głównym. Przygotowanie i przyjęcie listy zgłoszeń na turniej to jest mnóstwo roboty, technika mocno ułatwiła takie zadanie. Może będę trochę nieskromny, gdy powiem, że jako jeden z pierwszych, a może nawet i pierwszy, zacząłem używać komputera do prowadzenia zawodów badmintona przez sędziego głównego. Opracowałem trzy arkusze kalkulacyjne, które ułatwiają sędziom prowadzenie turnieju. Teraz mamy już profesjonalny program, z którym pracujemy, ale dopóki tego programu

nie było – to nie jest polski program, wymagał wykupienia licencji – duża część turniejów była prowadzona z wykorzystaniem opracowanych przeze mnie arkuszy kalkulacyjnych. One do dzisiaj są używane, co chwilę je uaktualniamy, ale nadal się sprawdzają.

Czyli postęp technologiczny usprawnił sędziowanie.

Znacznie usprawnił. Na początku na mistrzostwach Polski był specjalny zespół, który przygotowywał listy zawodników, starty, wyniki gier, wywieszał je i tak dalej. Jeden człowiek nie byłby w stanie sam tego zrobić. A na turniejach ogólnopolskich w zasadzie sędzia wszystko robił sam, ręcznie. Dlatego, gdy tylko komputery stały się bardziej dostępne, zainteresowałem się, jak je wykorzystać do naszej pracy.

Czy atmosfera na korcie też się zmieniła? Na przykład jest więcej lub mniej sytuacji konfliktowych na linii sędzia–zawodnicy?

Spory zawsze mogą się zdarzyć. Nie da się ich wykluczyć. Jednak nie jest tak, że kiedyś było ich więcej, a teraz jest mniej czy na odwrót. To się nie zmienia. Wszystko zależy od zawodnika i od sędziego. Jeżeli sędzia nie popełnia błędów, to zawodnik do niego inaczej podchodzi. Nie obawia się, że on czegoś nie zauważy, na przykład autu. Spory występują zawsze, bo wszyscy jesteśmy tylko ludźmi. Jeden zobaczy daną sytuację troszkę inaczej niż drugi, który stoi w innym miejscu i różnica zdań gotowa. W takim wypadku zawsze decyduje sędzia. Nie powinien się niczym sugerować, zwłaszcza tym, co podpowiadają mu zawodnicy, a już tym bardziej, co podpowiada publiczność. Jeżeli jest pewien swojej decyzji, to powinien ją podjąć. A jeśli takiej pewności nie ma, powinien to ogłosić i zarządzić powtórzenie.

Miał Pan taką sytuację, że trzeba było powtórzyć grę?

Wie Pani, nie pamiętam, bo już od dawna nie sędziuję na tzw. stołku, czyli nie prowadzę meczów. Ale na pewno się takie sytuacje zdarzają, że sędzia nie jest w stanie podjąć decyzji i wtedy każe powtórzyć daną zagrywkę. Tak bywa co jakiś czas, nie jest to niczym nienormalnym. Wystarczy, że zawodnik zasłoni ciałem czy nogą linię, gdzie upadła lotka i już sędzia, który nie mógł tego zobaczyć, musi nakazać powtórzenie, a nie sugerować się głosami zawodników czy kibiców.

Sędzia zatem musi być niezależnym, pewnym siebie i swoich decyzji człowiekiem.

Zgadza się.

Bywa, że zawodnicy lub publiczność potrafią wymusić zmianę decyzji sędziego?

Rzadko się to zdarza, ale jeżeli ktoś ma słaby charakter albo jeszcze nie jest dobrze wprawiony w sędziowaniu, to czasem tak się dzieje.

Pamięta Pan swoją najtrudniejszą decyzję sędziowską? Albo jakiś wyjątkowy mecz?

Oj, nie pamiętam żadnych specjalnych sytuacji. Trochę ich było, ale nie przychodzi mi do głowy nic, co nadawałoby się do opowiedzenia.

Jak Pan ocenia sędziowskim okiem szanse na medal olimpijski?

Cały problem polega na tym, że najlepsi polscy zawodnicy rzadko grają w Polsce. Za wyjątkiem mistrzostw Polski, oni praktycznie nie występują w Polsce. A poza tym nie na wszystkie turnieje mistrzostw Polski się teraz jeździ. Trudno więc mieć porównanie. Nie bywam już w tej chwili na międzynarodowych turniejach, by porównać poziom naszych zawodników i tych z innych krajów. Szanse? Cóż, trzeba ćwiczyć, ćwiczyć i jeszcze raz ćwiczyć. Innego sposobu nie ma. O złoto olimpijskie będzie trudno. Najbliżej medalu była para mieszana Mateusiak/Zięba (przedtem Kostiuczyk). Tyle, że Robert Mateusiak ma już swój wiek, Nadieżda Zięba wprawdzie jest troszkę młodsza, ale też już kończy grę. Przemysław Wacha, który również dobrze grał, już też nie gra...

Trochę więc poczekamy.

Tak. Teraz oni muszą wychować swoich następców. Wacha już zajmuje się trenerką, Mateusiak też. Musimy czekać. Nic na to nie poradzimy.

Wracając do postępu technologicznego, wyczytałam, że Pan razem z Markiem Idzikowskim zinformatyzowali Polski Związek Badmintona. Strona internetowa to jest Panów dzieło.

Na początku prowadziłem stronę internetową, dopóki Związek nie zlecił tego innym. Rzeczywiście z Markiem Idzikowskim dużo informatycznych spraw zrobiliśmy. Wspólnie pracowaliśmy też między innymi nad arkuszami, o których mówiłem.

To jeszcze na koniec pytanie o marzenie badmintonowe?

Bo ja wiem, czy mam jakieś marzenie? Właściwie nie mam specjalnego marzenia...

Nic?! W ogóle nic?! Nie wierzę...

Pomału trzeba się udać na emeryturę. Jestem już na zawodowej emeryturze, na badmintonową też już chyba pora, jeśli chodzi o sędziowanie, ale jeszcze sędziuję. Już się jednak nie udzielam tak jak na początku. W zasadzie działam tylko na Opolszczyźnie. Od czasu do czasu sędziuję jakieś awody krajowe, ale coraz rzadziej. Wolę przekazać to zadanie kolegom, którzy są świeży i poduczyć ich trochę, żeby zaczęli pomagać...

W takim razie inaczej zapytam. Ma Pan jakąś radę dla młodych sędziów? O czym powinni zawsze pamiętać?

Przede wszystkim muszą pamiętać o uczciwości, jak mówiłem. To jest podstawa. Sędzia nie może ulegać żadnym wpływom, nie może sugerować się podpowiedziami zawodników, a zwłaszcza widzów, bo widzowie zawsze coś zauważą [śmiech]. Jeżeli sędzia popełni jakiś błąd, to musi się do niego przyznać, naprawić go i wtedy nie będzie żadnego problemu.

Mistrzyni Bożena

Bożena Wojtkowska, obecnie Haracz to najlepsza polska badmintonistka. Zdobyła 51 medali, w tym 34 złote, 11 srebrnych i 6 brązowych. Minie jeszcze dużo czasu, zanim ktoś pobije jej rekord, choć wśród młodych zawodników kadry są takie postacie, jak Wiktoria Dąbczyńska, które mają duże szanse na podobny lub większy dorobek.

Wróćmy jednak do mistrzyni: urodzona w 1962 roku w Głubczycach Bożena Wojtkowska z badmintonem zetknęła się już w szkole podstawowej. Zaczęła trenować pod kierunkiem Bolesława Zdeba, gdy była w 5. klasie. Szybko okazało się, że ma niewiarygodny talent. Wygrała liczne turnieje dzieci i młodzików. Już jako 13-latka zdobywała medale na turniejach seniorów. Pierwszy tytuł mistrza Polski wywalczyła w 1980 roku, będąc jeszcze juniorką. W tym samym roku zadebiutowała na mistrzostwa Europy w Groningen jako seniorka. Wyróżniała się w polskiej reprezentacji, wygrywając najwięcej gier.

Na międzynarodowych mistrzostwach Polski zdobyła dwa złote medale – w 1982 roku w parze z Ewą Rusznicą, a w 1987 roku – z Bożeną Siemieniec. Wojtkowska odnosiła też sukcesy na arenie międzynarodowej. W 1980 roku z międzynarodowych mistrzostw Austrii w Bregenz w parze z Marią Bahryj zdobyły złoto w deblu. Tego samego roku na międzynarodowych mistrzostwach Finlandii w Helsinkach Wojtkowska trzy razy była bezkonkurencyjna. Zajęła 1. miejsce jako singlistka, wygrała też w grze podwójnej w parze z Ewą Rusznicą i w mikście z Brunonem Rduchem. Rok później na podobnych zawodach w austriackim Weiz duet Wojtkowska/Rusznica znów wywalczył złoty krążek. Podobnych sukcesów młoda badmintonistka z Głubczyc miała więcej, dlatego w na początku lat 80. Polski Związek Badmintona wysłał ją razem z Marią Bahryj na trzymiesięczny staż do Holandii do S'Hertogenbosch. W Polsce panował wówczas stan wojenny. Maria Bahryj postanowiła zostać na Zachodzie, poprosiła o azyl. Decyzja Wojtkowskiej o powrocie do Polski była sensacją.

Kolejne sukcesy odnoszone w Polsce i Europie przyczyniają się do zdobycia kwalifikacji na igrzyska olimpijskie w Barcelonie. Wcześniej jednak, w 1991 roku duet Bożena już Haracz, a nie Wojtkowska i Jerzy Dołhan znaleźli się na 6. miejscu światowej listy klasyfikacyjnej. Była to najwyższa wówczas pozycja, jaką zajęli polscy zawodnicy w tym prestiżowym rankingu.

Na igrzyskach w Barcelonie w 1992 roku Bożena Haracz wystąpiła w parze z Beatą Sytą. W pierwszej rundzie przegrały z Indonezyjkami i odpadły

z konkurencji. W tym samym roku wielokrotna mistrzyni Polski zaczęła też występować w niemieckiej drużynie VSL 93 Hamburg razem z innym utytułowanym polskim zawodnikiem i olimpijczykiem z Barcelony Jackiem Hankiewiczem.

Po zakończeniu kariery Bożena Haracz, która ukończyła studia na Akademii Wychowania Fizycznego we Wrocławiu, została dyplomowaną trenerką. Jest następczynią Ryszarda Borka. Pracuje w klubie LKS Technik Głubczyce i w szkole mistrzostwa sportowego w tym samym mieście. Jej klubowym wychowankiem jest m.in. czterokrotny olimpijczyk i wielokrotny mistrz Polski Przemysław Wacha. Najlepsza polska zawodniczka ma też duże sukcesy w pracy szkoleniowej. W 2002 roku prowadzona przez nią reprezentacja Polski kadetów do lat 17 zdobyła srebrny medal na mistrzostwach Europy w Dublinie. W 2003 roku Komisja Sportu Kobiet Polskiego Komitetu Olimpijskiego przyznała jej tytuł Trenerki Roku.

Mistrzyni jest też działaczką sportową. Kieruje Opolskim Okręgowym Związkiem Badmintona. Wciąż grywa i startuje w mistrzostwach weteranów. Na szczeblu europejskim zdobyła 2 srebra, a w mistrzostwach Polski weteranów wywalczyła już 6 złotych medali i 3 brązowe.

Najważniejsze to grać czysto

Adam Bunio – trener zawodników sekcji badmintona w klubie MKS Stal Nowa Dęba. Wielokrotny medalista mistrzostw Polski w grach pojedynczych, podwójnych i mieszanych w różnych kategoriach wiekowych.

Jest Pan pierwszym trenerem badmintona w Polsce, który dostał nagrodę Fair Play za prezentowanie tego, co w sporcie najlepsze.

Tak się złożyło.

Co wobec tego jest dla Pana w sporcie najlepsze?

Myślę, że ci, którzy przyznali mi nagrodę Fair Play, mieli na myśli przede wszystkim to, że szkoleni przeze mnie zawodnicy zawsze grają czysto. Wpajam im, że oprócz tego, że mają dobrze grać, muszą też grać fair w stosunku do przeciwnika. Wymagam, by na korcie zachowywali się jak zawodnicy odpowiedniej klasy i by przyznawali się do ewentualnych swoich błędów, jeśli – załóżmy – sędzia prowadzący ich nie wychwyci. Chodzi o to, by walka na korcie była naprawdę czysta. Zawsze powtarzałem i powtarzać będę moim zawodnikom, że naprawdę wielką sztuką jest wygrać w czystej rywalizacji, a nie przy pomocy sędziów. Badmintonista czy badmintonistka ma ogromną satysfakcję, jeżeli czyni to dzięki swoim umiejętnościom, swojej głowie, nogom, predyspozycjom. Medal czy wysokie miejsce, które zdobywa, mają wtedy podwójną wartość, bo patrząc w lusterko, zawsze mogą sobie powiedzieć, że zwyciężyli w czystej walce. Myślę, że przede wszystkim to zostało dostrzeżone i docenione. Tak odbieram tę nagrodę.

Łatwo jest uczyć młodych ludzi takich postaw? Oni chętnie przyjmują te zasady?

Akurat tak się złożyło, że zawodnicy naszego klubu, czyli Miejskiego Klubu Sportowego Stal Nowa Dęba, przyjmują te zasady bez problemów. Z badmintonem jestem związany od 1976 roku, czyli już 41 lat, najpierw jako zawodnik, a od 1983 roku jako trener i nie pamiętam, by ktoś tę postawę odrzucał. Zawsze trafiałem w swojej karierze na zawodników, którzy byli, oczywiście, różni pod względem charakterologicznym, ale realizowali zasady, które starałem się im wpajać na treningach. Nigdy nie zdarzyło się, żeby badmintoniści z Nowej Dęby mieli na korcie problem z zachowaniem się fair w stosunku do przeciwnika. Wiadomo, że ludzie są różni – jedni dynamiczni, drudzy bardziej ospali, ale wszyscy wyznają wartości, które niesie ze sobą czysta rywalizacja. Zawsze są wzorem na turniejach, a ja zawsze byłem i jestem dumny z ich postawy.

Owszem, trudno przełknąć gorycz porażki, ale jeżeli grało się czysto, to choć wiadomo, że zwycięstwa najbardziej cieszą, nawet porażka mimo wszystko przynosi satysfakcję. Tak się jakoś ułożyło w mojej pracy trenerskiej, że nie zdarzyło się, by mój zawodnik oszukał albo zachowywał się nie tak, jak trzeba na korcie. Dzięki temu zawsze po zakończonym pojedynku mogę podejść z podniesiona przyłbicą zarówno do swoich zawodników, jak i do ich rywali.

Czy Pana wychowankowie przekładają te szlachetne zasady na życie poza kortem?

Muszę powiedzieć, że przez te wszystkie lata, które pracuję jako trener, nie słyszałem, by ludzie, którzy wyszli z naszej sekcji badmintonowej, mieli złą opinię. Nie jestem w stanie powiedzieć, jak wielu ich przeszło przez moje ręce, ale na pewno były to setki zawodników. Oczywiście byli wybitni, bardzo wybitni, medaliści, ale byli też zawodnicy średniej klasy i ci słabsi. W tym roku sekcja badmintona Stali Nowa Dębna obchodzi złoty jubileusz 50-lecia. Początki badmintona w Nowej Dębie sięgają 1967 roku, więc zawodnicy, którzy wtedy zaczynali, dziś są ludźmi dobrze po czterdziestce, z wielkim dorobkiem życiowym, wykształceni, rozrzuceni po całym świecie. Dzięki zdobyczom techniki z wieloma z nich mam kontakt. Śledzę ich losy na Facebooku i cieszę się, że mają poukładane życie. Jesteśmy zaprzyjaźnieni. Gdy przyjeżdżają do Nowej Dęby, znajdują czas, żeby wpaść na halę. Spotkania po latach na badmintonowym korcie są wielką frajdą i dają satysfakcję, bo widać, że praca, którą włożyłem w ich wychowanie, przyniosła efekty.

Cały czas jest Pan związany ze Stalą Nowa Dęba. Nie kusiło Pana nigdy, żeby zmienić klub?

Nie. Wie pani, ja się urodziłem w Nowej Dębie w 1959 roku. Tutaj skończyłem szkołę podstawową i średnią. Tutaj pracuję, tutaj założyłem rodzinę, tutaj są wszyscy moi najbliżsi. Jak przystało na pracę trenerską, jeździłem po całej Polsce i po Europie, mieliśmy na przykład dobry kontakty z Francuzami, ale po pierwsze, nie było intratnych propozycji, po drugie, jestem domatorem i właściwie nigdy nie chciałem nigdzie wyjeżdżać. Mam w Nowej Dębie grono przyjaciół, oczywiście mam też wrogów, ale zazwyczaj jest miło, gdy chodzę po ulicach Nowej Dęby albo jeżdżę rowerem i ludzie się do mnie uśmiechają. Nawet dzisiaj szedłem z synem i ludzie mówili mi „Dzień dobry". Syn pytał, kto to jest, a ja mówię: „Sam nie wiem, ale widocznie ci ludzie mnie znają". Zawsze byłem wierny barwom żółto-niebieskim, tak jest i tak pozostanie do końca.

Czyli to jest Pana miejsce na ziemi.

Tak, myślę, że tak. W Nowej Dębie mamy wspaniałą halę, gdzie jako zawodnik stawiałem pierwsze kroki, potem została ona zmodernizowana pod kątem badmintona, mamy fajne zaplecze, jest się czym pochwalić. Od kilku lat pełnię

funkcję wiceprezesa w Podkarpackim Związku Badmintona. Śmiało mogę powiedzieć, że Podkarpacie i Nowa Dęba to jest moje miejsce.

Gra Pan nadal?

Tak, gram mimo że mam już trochę lat na liczniku. Gram na różnego rodzaju turniejach. Od paru lat, niestety, nie mam czasu wystartować w mistrzostwach Polski weteranów, bo ich termin zwykle zbiega się z mistrzostwami Polski juniorów czy juniorów młodszych. Wiadomo, że jako trener w tym momencie muszę być z zawodnikami. Ale o ile jest możliwość, grywam na turniejach. W czerwcu miałem przyjemność być na mistrzostwach Polski samorządowców, gdzie przyjeżdża cała plejada samorządowców, posłów, parlamentarzystów, ministrów. Jeszcze udaje mi się zdobywać medale, mimo że zazwyczaj przychodzi mi walczyć z młodszymi. Moja kategoria jest od lat niezmienna, czyli 45 plus. A że mam już 58 lat, to muszę się trochę nabiegać, grając z młodzieniaszkami, ale jeszcze jakoś daję radę.

Dziś badminton zaczynają trenować dzieci w wieku 7–8 lat. Pan zaczął późno, bo mając lat 17. To znaczy, że nigdy nie jest za późno, żeby zacząć grać wyczynowo?

Powiem tak: czasy kometki były zupełnie inne. Gdy ja zaczynałem, uważało się, że wiek 16–17 lat jest idealny, by rozpocząć treningi. Pasją zaraził mnie twórca sekcji, pan Antoni Malcharek, który jest ojcem chrzestnym badmintona w Nowej Dębie. On był moim nauczycielem. Zaczęło się zwyczajnie – zainspirowani przez niego, przyszliśmy kiedyś z dwoma kolegami na halę. Pokazał nam zasady i od tamtej pory gram. Ale tak to działało 40 lat temu. Wtedy nie było kategorii dzieci, żaków, młodzików młodszych, młodzików, juniorów młodszych i juniorów, seniorów, weteranów. Wszystko było skumulowane. Teraz jest inaczej. Najlepiej zaczynać treningi, będąc w 3–4 klasie szkoły podstawowej. Tym bardziej że obecnie kategorie wiekowe są mocno zniżone. Im wcześniej dziecko zacznie grać, tym szybciej może startować w zawodach. Im wcześniej zaczyna startować w turniejach, tym lepiej rozwija się jego sportowa droga. Oczywiście, jak w każdej dyscyplinie sportu, do szczytów dochodzą najlepsi, najwytrwalsi i ludzie utalentowani. Tak musi być, cudów nie ma. Ale są też tacy, którzy są pracowici i dzięki swej uporczywej pracy, wytrwałości i samozaparciu też dochodzą do dobrych, a nawet bardzo dobrych wyników. Tacy zawodnicy trafiają się w różnych dyscyplinach, w badmintonie też. Pomijając jednak wyjątki, 3–4 klasa to najlepszy czas, żeby zacząć trenować perspektywicznie i zrealizować największe cele, do jakich zawodnika predysponują jego warunki fizyczne i talent, który ewentualnie ma.

W Nowej Dębie nabór polega na tym, że dzieci same przychodzą do sekcji, czy jest na przykład selekcja w szkołach? Gdzie Pan wynajduje talenty?

Dawniej, gdy nie było telefonów komórkowych, laptopów, tabletów, komputerów i innych zdobyczy technologii, nie mieliśmy problemów z naborem. Młodzież sama się garnęła do sportu, dzieci trafiały na halę z podwórka. Był taki czas, że miałem na zajęciach nawet 50 zawodników, z których potem zostało 16 naprawdę najlepszych. Teraz jest inaczej. Owszem, są prowadzone nabory, ale jak w każdej dyscyplinie sportu, zespół opiera się na grupie zapaleńców, którzy naprawdę kochają badminton, żyją nim, i wiedzą, czego chcą. Dobrze się z nimi pracuje. To jest ważne, by trafić na ludzi, którzy wiedzą, że żeby dojść do wyników na pewnym poziomie, trzeba systematycznej, ciężkiej pracy. W naszym klubie trenujemy pięć razy w tygodniu po dwie godziny. Zresztą, tak samo jest we wszystkich klubach, gdzie zawodnicy osiągają wysokie wyniki. W tej chwili nie można trenować tak, jak to się robiło dawniej, gdy przychodziło się dwa razy w tygodniu, poodbijało i jakoś szło. Teraz, chcąc być na topie, osiągać wyniki, które satysfakcjonują zawodnika i trenera, należy ćwiczyć minimum dwa razy w tygodniu po dwie godziny. Nie zawsze to jest łatwe, bo hale są przepełnione, trenują też inne dyscypliny – siatkówka, koszykówka, futsal, ale udaje nam się jakoś pogodzić zajęcia wszystkich grup. Akurat u nas w Nowej Dębie dyscypliną priorytetową jest badminton. Mamy w hali boiska takie, jak kiedyś były w Głubczycach, czyli z tłem. Rozgrywamy u siebie turnieje indywidualne oraz mecze badmintonowej ekstraklasy. Od paru ładnych lat trenujemy w najlepszych godzinach dnia, czyli od 16 do 18, a czasami 19. Pod tym względem, jak na Podkarpacie i Nową Dębę, mamy świetne warunki.

Powiedział Pan, że kiedyś przychodziło na treningi więcej dzieci. Czy można powiedzieć, że ilość przeszła w jakość? To znaczy, że ci, którzy teraz przychodzą, są zdecydowani trenować i zostają na dłużej?

Różnie z tym bywa. Ci, którzy połkną badmintonowego bakcyla, wiedzą, czego chcą, zostają. I łatwo jest ich prowadzić. Ale nie zawsze od razu są zdecydowani. Niektórzy na początku traktują treningi na zasadzie rozrywki, przychodzą, bo chodzi ich kolega czy koleżanka, bo jest dziewczyna czy chłopak, który się podoba. Jednak gdy zawodnik czy zawodniczka osiągają wiek juniora młodszego, juniora, wtedy zazwyczaj już widać, czy będą dalej trenować, czy badminton był tylko epizodem, który właśnie się kończy. Bo nie ukrywam, że jak wielu trenerów, mam tzw. niespełnionych zawodników. Mieli niesamowity talent, ale w pewnym momencie jakieś inne pokusy odciągnęły ich od gry. Z wielkim ubolewaniem patrzy się, jak odchodzi fajny zawodnik czy zawodniczka.

Wtedy serce trenera boli.

No, niestety, boli. Najgorzej, że przepada sporo włożonej pracy. Szkoda 7 czy 8 lat treningów. Są jednak też badmintoniści, którzy mając 16 czy 17 lat, podchodzą do sprawy poważnie i wiedzą, czego chcą. Zresztą, pomocne są nobilitujące

aspekty, jak stypendia z miasta i gminy czy urzędu marszałkowskiego. To jest dodatkowy bodziec, który motywuje zawodników. Nie ukrywam, że sport na całym świecie się skomercjalizował, w grę wchodzą pieniądze. Dawniej cieszyliśmy się, gdy dostaliśmy rakietę „Łastoczkę", dres czy półtrampki. Dziś to za mało, zawodnicy oczekują więcej. I dobrze, tak powinno być. Bodziec finansowy powinien być zachęcający i na takim poziomie, byśmy mogli utrzymywać zawodników w klubie jak najdłużej.

Wspomniał Pan o pieniądzach. Przez 41 lat pracy w badmintonie pewnie nieraz zmagał się Pan z ich brakiem? Badminton to wciąż jest niszowy sport w porównaniu na przykład z piłką nożną, więc pieniędzy też nie ma za wiele.

Tak, zdecydowanie to prawda. Dwie dekady temu władze klubu wycofały nas z rozgrywek badmintonowej ekstraklasy, chociaż wywalczyliśmy awans w morderczych pojedynkach.

Dlaczego?

Okazało się, że postawiono na piłkę siatkową. Akurat wtedy piłka siatkowa kobiet w naszym klubie była na wysokim poziomie, a zarząd był typowo piłkarsko-siatkówkowy, więc nie sposób było się przebić. Najgorzej jest w tych klubach, gdzie jest wiele sekcji, a szczególnie tam, gdzie jest piłka nożna. My mamy klub trzysekcyjny – piłka nożna, która jest w tej chwili w piątej lidze, lekkoatletyka na dobrym poziomie (dostarcza medali i dużo punktów do klasyfikacji współzawodnictwa sportowego dzieci i młodzieży, którą prowadzi ministerstwo sportu) i badminton. I nie ukrywam, że w tych klubach, gdzie jest piłka nożna, naprawdę strasznie trudno przebić się przez gęstwinę pseudo i fanatycznych działaczy. Tak się składa, że od paru lat jestem sekretarzem w zarządzie naszego klubu i pilnuję, by nie zapominano o badmintonie. Na posiedzeniach zarządu zawsze podkreślam argumenty w postaci medali i wyników. Pieniędzy zawsze było mało, ale jakoś dajemy radę. Takiemu klubowi jak Stal Nowa Dęba trudno się porównywać z ośrodkami typu Suwałki czy Białystok, które stać na zakupy zawodników z Indonezji czy Wysp Brytyjskich. Suwałki mają w tej chwili dwóch topowych singlistów z Irlandii i ze Szkocji. Chciałoby się mieć więcej pieniędzy, ale trzeba się cieszyć z tego, co jest. Dla mnie jako trenera i dla całego środowiska badmintonowego w Nowej Dębie i na Podkarpaciu wielką satysfakcją jest przede wszystkim to, że mamy zespół ligowy oparty o własnych wychowanków. Mamy świetny zespół i myślę, że będziemy z niezłym skutkiem grali w kolejnym sezonie w badmintonowej ekstraklasie. Łączy nas mocna więź, znamy się z zawodnikami jak łyse konie, bo przez tyle lat przeszliśmy wszystkie szczeble badmintonowego wtajemniczenia, wspólnie przeżyliśmy mnóstwo wyjazdów na turnieje. Życzę wszystkim trenerom, żeby mieli takie zespoły. Gdyby pieniądze były większe, pewnie mielibyśmy jeszcze lepsze wyniki, ale nie narzekam, trzeba się cieszyć z tego, co jest.

Jakie jest Pana największe badmintonowe marzenie?

Oj, bardzo trudne pytanie.

Wiem.

Największym moim marzeniem jest to, żebym jeszcze jak najdłużej funkcjonował w świecie badmintonowym i jeżeli będzie to możliwe, żeby wychowanek z Nowej Dęby zdobył awans na igrzyska olimpijskie. Nie musi być już w barwach Stali, ale ważne, by wywodził się z Nowej Dęby. Wychować olimpijczyka to jest największe moje marzenie. Myślę, że każdego trenera. Mam wychowanka, najlepszego zawodnika w historii naszej sekcji, który zdobył łącznie w swojej karierze 23 medale mistrzostw Polski, był drużynowym wicemistrzem Europy w kategorii Polonia Cup w Cardiff, gdzie jednym z trenerów prowadzących był Andrzej Klej z Olsztyna. Nazywa się Dawid Powęzka. Myślę, że marzenie o olimpijczyku jest realne.

Nie ma co narzekać

Andrzej Rachwał – trener UKS Orbitek Straszęcin, prezes Podkarpackiego Związku Badmintona.

Gdy się przegląda listę klubów na stronie internetowej Podkarpackiego Związku Badmintona, nie ma wątpliwości – rodzi się nowe zagłębie badmintonowe.

Jeszcze nie jest co coś, co byśmy chcieli, ale mniej więcej tak. Wiodących klubów nie mamy tak wiele, ale za to dużo małych klubików.

Chyba dobrze, bo przecież mówi się, że powinno być dużo klubów, żeby jak najwcześniej wyłapać jak najwięcej talentów? Wiadomo, że im więcej dzieci gra, tym więcej perełek można znaleźć.

To prawda. Wszystko się rozbija o finanse. Nawet, jeśli są jacyś zapaleńcy i prowadzą zajęcia w szkole w ramach programów ministerialnych czy programu Szkolny Klub Sportowy albo takich, które są dofinansowane przez gminę choć w niewielkim stopniu, to i tak brakuje pieniędzy na wyjazdy i inne rzeczy. Dlatego na te kluby nie możemy liczyć we współzawodnictwie sportowym dzieci czy młodzieży. To widać na naszym przykładzie – cały czas jest Stal Nowa Dęba, Orbitek Straszęcin, Sokół Ropczyce, Start Widełka, UKS Trójka Tarnobrzeg czy UKS Aktywna Piątka Przemyśl. Sześć wiodących klubów, które są na Podkarpaciu.

One mają więcej pieniędzy?

Stal, Orbitek, Trójka Tarnobrzeg, UKS Aktywna Piątka Przemyśl i Start w zasadzie tak. Sokół Ropczyce ma mniej środków. Po etapie dużych sukcesów w poprzednich latach, gdy miał medalistów mistrzostw Polski, troszkę mniej prężnie przebiegało szkolenie dzieci i młodzieży. Teraz się odradza. Problemy finansowe im tego nie ułatwiają, ale działają, na ile mogą.

A szkolenie dzieci i młodzieży jest chyba kluczowe. Podstawy, które się wypracuje u dzieci, potem procentują.

Tak jest. Zaczynamy od klasy pierwszej szkoły podstawowej. Nasi zawodnicy dochodzą do wieku mniej więcej klasy pierwszej gimnazjum, czyli teraz klasy siódmej i w tym momencie widać, jak duży przesiew nastąpił. Na przykład startowało około 25 dzieci tylko z klasy pierwszej, czasem drugiej, a do końca podstawówki nadal gra 7 może 8 z nich. Dzisiejszy świat jest dosyć okrutny dla dzieci. Brakuje im motywacji i samozaparcia. Ale nie ma się co dziwić, skoro są zainteresowane komputerami i innymi pokusami. Zostają ci, którzy po prostu pokochali badminton i są nim

zafascynowani, jeżdżą na obozy, poświęcają soboty i niedziele, a to nie jest łatwe, zwłaszcza w czasach gdy nawet dzieci szukają łatwego sukcesu i łatwego życia.

Zapewne takie dostają wzorce. Dziś rola trenerów jest chyba jeszcze większa niż kiedyś, by zachęcić najmłodszych do sportu i zarazić ich miłością do badmintona?

Tak, ale my też przegrywamy z komputerami i różnymi pokusami dzisiejszego świata. Jeśli dziecko jest w klasie pierwszej, drugiej, trzeciej, to nie ma problemu. Czasami rodzice uważają, że lepiej, żeby dziecko grało w badmintona, zamiast siedziało w świetlicy. Gdy ono dojdzie do klasy czwartej, piątej i zaczyna się usamodzielniać, często przestaje chodzić na zajęcia. Mówię o tym z perspektywy szkoły. Mimo że dajemy tym dzieciom wszystko, co można. Zabieramy na mistrzostwa Podkarpacia, różnego rodzaju turnieje, żeby je motywować i tak nie zawsze się udaje utrzymać zawodnika w klubie. Następny problem pojawia się, gdy zawodnicy kończą szkołę średnią w wieku juniora. Gdyby szkoły mistrzostwa sportowego były w każdym województwie, byłoby doskonale albo chociaż w makroregionach, wtedy można byłoby kontynuować szkolenie. Po gimnazjum czy teraz po szkole podstawowej dzieci nie uciekałyby nam albo nie kończyłyby kariery, bo miałyby jakąś motywację. A w sytuacji gdy najbliższe szkoły mistrzostwa sportowego są w Białymstoku czy Szklarskiej Porębie, jest kłopot. Rodzice nie bardzo chcą wysyłać dzieci tak daleko. DO SMS-ów idą tylko ci zawodnicy, którzy naprawdę bardzo, bardzo poważnie traktują badminton.

Znowu wracamy do punktu wyjścia, że baza powinna być większa?

Powinna być tak zwana piramida. Szkolenie młodzieży od podstaw, a potem po kolei: szkoły mistrzostwa sportowego, następnie kadra B, kadra A. Gdy rozmawiałem z prezesem Markiem Zawadką przed jego wyborem na szefa Związku, sygnalizowaliśmy mu takie potrzeby. Na razie został zrealizowany przez nowy zarząd czy przez nowego prezesa podstawowy punkt – wracamy do turniejów strefowych. To był jeden z naszych postulatów. Cóż z tego, że mieliśmy na Podkarpaciu załóżmy około 200 dzieci, jeśli na turnieje ogólnopolskie jeździło 30–40, czasem 20 osób. A pozostałe albo jechały na turnieje wojewódzkie, jeśli takie były albo nie miały gdzie jechać. Nawet nie było kiedy organizować dla nich turniejów, bo tych ogólnopolskich czy Grand Prix jest tyle. Poza tym ci zawodnicy, którzy zajmują się grą na poważnie, w zasadzie jeździli głównie na turnieje ogólnopolskie. A teraz wreszcie może będą strefy, więc też ranga turniejów ogólnopolskich czy Grand Prix wzrośnie, dlatego że pojadą na nie naprawdę najlepsi. Tak było ponad 20 lat temu, gdy zaczynałem karierę w badmintonie jako trener. Były eliminacje strefowe do turniejów ogólnopolskich. Jechał nie ten, co ma pieniądze, tylko ten, który był naprawdę najlepszy. Tak więc jest światełko w tunelu i mam nadzieję, że będzie ono coraz jaśniej błyszczeć.

Czy podkarpackie kluby mocno ze sobą rywalizują?

Nie. Teraz trzy kluczowe kluby na Podkarpaciu, jeśli bierzemy pod uwagę liczbę zawodników, to są Orbitek Straszęcin, Start Widełka i Nowa Dęba. Stal ma obecnie starszych zawodników w kategorii juniora i juniora młodszego. Ale teraz nie wiadomo, jak zawodnicy, którzy zmienią szkołę, podejdą do dalszego szkolenia, czy pogodzą naukę ze sportem. W Orbitku i Starcie Widełka jest ciągłość szkolenia z tego względu, że to są kluby szkolne. W Stali Nowa Dęba jest inny styl pracy, dlatego że tam trener musi prowadzić nabór w szerszej skali. Klub ten nie działa przy szkole, tylko dzieci muszą do niego przyjść same i trzeba o nie bardziej zabiegać niż u nas w szkołach. A do tego jest konkurencja - siatkówka i futbol. My w Straszęcinie w tej chwili nie mamy żadnej konkurencji poza piłką nożną. Jeśli chodzi o współzawodnictwo sportowe, medale dla Podkarpacia zdobywają: Stal Nowa Dęba, Orbitek Straszęcin, Start Widełka, UKS Trójka Tarnobrzeg. Nie można zapomnieć o Aktywnej Piątce Przemyśl, która gra w ekstraklasie od ubiegłego sezonu. Stal Nowa Dęba w ekstraklasie występuje od lat. Aktywna Piątka Przemyśl ma kilku zawodników w kategorii juniora i juniora młodszego, którzy zdobywają medale. Może nie ma ich dużo, ale liczy się jakość tych zawodników. Szkoleniem dzieci zajmują się również jeszcze UKS Mix Team Tarnowiec, Jagiellonka Medyka, UKS Arka Umieszcz, UKSB Volant Mielec, RKB Rzeszów czy MKS Dubiecko. Kluby działające w Tarnowcu, Mielcu i Rzeszowie również mają w swej historii medalistów mistrzostw Polski. Sukcesem klubu Orbitek jest też fakt, że jeden z jego pierwszych wychowanków Piotr Skrzek, od 10 lat pracuje w klubie i jest nauczycielem w szkole oraz bardzo dobrym sędzią obsługującym prawie wszystkie turnieje na Podkarpaciu, a także w Małopolsce. Ponadto od wielu lat wraz z Adamem Bunią prowadzi kadrę wojewódzką, co przełożyło się na wiele sukcesów na Podkarpaciu. Mamy nadzieję, że będziemy mieć w województwie coraz więcej młodych trenerów, którzy byli zawodnikami, a teraz studiują i chcą dalej szkolić swoich młodszych kolegów.

Mimo braku pieniędzy od czasu do czasu z tych mniejszych klubów przebijają się jakieś perełki. Od czego to zależy?

Tak, jak powiedziałem, jeśli jest nauczyciel lub trener, który nie patrzy, czy ma zapłacone czy nie, są sukcesy. My na przykład cieszymy się, jeśli dostaniemy program „Klub" i mamy jakieś dodatkowe środki. Jeśli nie mamy, trudno. Ale są kluby, w których jeśli trener nie ma zapłacone, to nie pracuje. Różnie bywa. Najlepiej, gdy szkoleniowiec jest pasjonatem albo ma pod opieką jedną - dwie osoby i tylko z nimi pracuje, a do tego jeszcze trafi się super talent. Są w Polsce małe kluby, które działają dopiero 2–3 lata i już mogą się pochwalić sukcesami, właśnie dlatego że trafiły im się perełki.

Co jest Pana marzeniem badmintonowym?

Zbudowanie tej piramidy, o której mówiłem. Chodzi o to, żeby szkolenie było prowadzone od samego początku i turnieje organizowane na przykład na poziomie województwa; żeby powstały szkoły mistrzostwa sportowego na poziomie szkoły podstawowej, wojewódzkie ośrodki szkolenia na poziomie szkoły podstawowej i żeby potem na przykład w makroregionie działały sportowe szkoły średnie, a następnie ośrodki szkoleniowe kadry A, B, C na wzór siatkówki. Możemy brać przykład z siatkówki, piłki ręcznej, piłki nożnej, które mają mnóstwo szkółek i ośrodków szkoleniowych. Ale to są dyscypliny bardzo medialne i bogate.

Dużo ludzi przychodzi na turnieje badmintonowe na Podkarpaciu?

Jeśli chodzi o turnieje ogólnopolskie czy strefowe, które robimy, publicznością są rodzice. Natomiast jeśli chodzi o ligę, którą zapoczątkowaliśmy (to jest pierwsza podkarpacka liga), na rozgrywki przychodziło po 20–40 osób niezwiązanych z klubem. Zazwyczaj widownią są ludzie ze środowiska badmintona. Nie przyjdzie nikt z ulicy. Musimy nad tym popracować.

Chyba musi wydarzyć się coś takiego jak w skokach narciarskich. Musi się pojawić gwiazda, czyli medalista olimpijski, jakiś super zawodnik, na punkcie którego tłumy oszaleją i wtedy wszyscy zaczną się interesować badmintonem.

No tak. Bierzemy przykład z piłki ręcznej – gdy była na fali, był też boom na hale. Podobnie, gdy polscy siatkarze zostali mistrzami świata, mnóstwo ludzi pokochało siatkówkę. Teraz o siatkówce się nie mówi, ale w środowisku dzieci w nią grają. I dobrze. Z badmintonem jest pewien problem – nasza dyscyplina potrzebuje powierzchni, a rozgrywki długo trwają. Kort jest w zasadzie połową boiska do siatkówki. Zatem mogą na takim boisku trenować cztery osoby, a siatkówkę 12. W hali gdzie są cztery boiska do badmintona, można mieć prawie dwa do siatkówki. Fajnie by było, gdyby Polski Związek Badmintona – myślę, że to kiedyś zasugeruję prezesowi – doszedł do porozumienia z ministrem sportu, żeby on obligatoryjnie kazał na wszystkich nowo budowanych halach, które dofinansowuje Ministerstwo Sportu, były wymalowane też boiska do badmintona. To jest jeden, ale bardzo mocny krok do przodu. Nauczyciel zobaczy, że ma boisko do badmintona, okręgowy związek czy PZBad wspomoże programem Badminton Pasją czy innym, dzięki któremu da nauczycielowi sprzęt i można budować klub. Zawsze z kilku szkół, które zaczną przygodę z badmintonem, w jednej czy dwóch zacznie funkcjonować sekcja.

Proste i niewymagające wielkich kosztów.

Na początek na pewno nie. Potem, jeśli już mówimy o turniejach ogólnopolskich, będą potrzebne większe pieniądze. Podsumowując, potrzebujemy super talentu, bazy i turniejów strefowych. Myślę, że to wszystko sprawi, że więcej dzieci będzie mogło trenować i rywalizować na poziomie odpowiednim do swoich umiejętności. Bardzo ważnym punktem, który zachęca do trenowania i pracy w tej dyscyplinie były bezpłatne licencje. Jeśli w przyszłym roku będą nawet minimalnie

płatne, liczba uczestników będzie o wiele mniejsza. Jeśli będzie darmowa – myślę, że każdy będzie miał licencję czy rejestrację w Polskim Związku Badmintona.

Gra Pan w badmintona?

Niestety teraz już nie, stan zdrowia mi na to nie pozwala. Na początku swojej przygody z badmintonem grałem amatorsko i brałem udział w mistrzostwach Polski nauczycieli, zdobywając nawet medale. Kiedyś grałem w piłkę nożną i kontuzje, których się nabawiłem, uniemożliwiły mi w chwili obecnej czerpanie przyjemności z grania w badmintona. Czekają mnie operacje, a potem zobaczymy. Na razie je odwlekam, bo mogę chodzić i trenować. Żałuję bardzo, że zacząłem w piłce nożnej i straciłem w niej zdrowie.

Jak się zaczęła Pana przygoda z badmintonem?

Brakowało nam punktów do współzawodnictwa sportowego na szczeblu wojewódzkim i szukaliśmy innych, nowych dyscyplin. Spróbowaliśmy badmintona. Pojechaliśmy na pierwszy turniej w ramach rozgrywek szkolnych, a już na drugi rok działaliśmy profesjonalnie. Złożyliśmy wniosek o pieniądze na sekcję do zakładów, które dawniej finansowały piłkę nożną w Pustkowie-Osiedlu, gdzie pracowałem. W tamtym czasie rywalizowaliśmy z takimi zawodnikami, jak Wacha, Walaszek – oni byli wtedy w kategorii młodzików. A potem przeniosłem się do Straszęcina i powoli w Pustkowie Osiedlu w badmintona przestano grać. Mówię: za człowiekiem idzie praca, za człowiekiem idą sukcesy i tak to jest. Jeżeli człowiek nie ma charyzmy, to jest ciężko. Trzeba być pasjonatem. A nam bardzo spodobał się badminton, więc co roku przynosi nam medale w różnych kategoriach. Od wielu lat nie zdarzyło się, żeby Orbitek nie zdobył medalu w mistrzostwach Polski. Województwo też od już od paru lat należy do czołowych. Ostatnimi laty jesteśmy w czołówce klasyfikacji we wszystkich olimpiadach młodzieży czy mistrzostwach Polski, zarówno drużynowych, jak i indywidualnych.

A więc przepis na sukces to: trener z pasją, utalentowany zawodnik i pieniądze?

Dokładnie tak.

Pasję Pan ma, utalentowanych zawodników też, więc życzę pieniędzy na rozwój.

Dziękuję, chociaż my nie narzekamy. Co roku mamy wsparcie gminy. Piszemy programy do Ministerstwa Sportu. Pozytywnym zjawiskiem jest program „Klub". Nawet, mimo że procedury naboru i same kwalifikacje są czasami bardzo niesprawiedliwe, bo nieraz przez jedną kropkę nie dostaje się środków. O tym jednak też trzeba by porozmawiać przedstawicielami Ministerstwa Sportu, żeby można było nanosić drobne poprawki, jeśli np. brakuje daty czy podpisu. Dobrze by było, żeby jeden z wymaganych warunków stanowiła opinia okręgowego związku lub wojewódzkiego szkolnego związku sportowego.

Trzech moich zawodników na podium

Andrzej Klej – trener II klasy badmintona, trener w KKS Warmia Olsztyn, AZS UWM Olsztyn, w Szkole Mistrzostwa Sportowego w Olsztynie, „Trener roku 2007" województwa warmińsko-mazurskiego.

W 2009 roku po zebraniu Międzynarodowej Federacji Badmintona w Sewilli, w którym brał Pan udział, jeden z wniosków był taki, że trzeba przyciągnąć kibiców, telewizję i sponsorów. Krótko mówiąc, trzeba badminton ładnie opakować i dobrze sprzedać. Udało się?

W telewizji jest więcej badmintona, ale przede wszystkim jest więcej imprez amatorskich w Polsce. Na przykład u mnie w klubie około 100 osób w 10 grupach gra w badmintona. Oni sami opłacają sobie treningi, kupują sprzęt, jeżdżą na zawody. To są zarówno byli zawodnicy, jak i amatorzy, którzy chcą się spotkać. W tamtym roku ruszyła Olsztyńska Liga Badmintona – gra w niej 14 drużyn, systemem każdy z każdym, dwa single i debel, więc trwa to kilka miesięcy. Ludzie szukają teraz sportu dla siebie i odkrywają też tę dyscyplinę. Wystarczy zajrzeć do kalendarza imprez badmintonowych – prawie co tydzień jest jakiś turniej. Bierze w nich udział od 100 do 200 zawodników, więc skala się poszerza. To jest jeden kierunek.

A drugi?

Nie będziemy Indonezją, Chinami czy Koreą. Kiedy byłem w 1992 roku na mistrzostwach świata juniorów w Indonezji, startowało tam ponad tysiąc zawodników. Pierwszy raz w życiu byłem na hali badmintonowej, gdzie kibicowało kilkanaście tysięcy ludzi. Zaskoczyło mnie, że tyle ludzi potrafi przyjść i oglądać mecze. Ale wszystko się kręci wokół sponsorów – tamtejszą telewizję uruchomiła wtedy światowa gwiazda Susi Susanti, najlepsza na świecie. Ona promowała badminton, tak jak Steffi Graff czy Boris Becker tenis w Niemczech. Każda dyscyplina potrzebuje idola. Gdy prowadziłem kadrę juniorów, w Danii gwiazdami byli wtedy Peter Gade i Camilla Martin. Peter Gade jako pierwszy Europejczyk zaczął wygrywać z Azjatami.

Ale przecież jest chiński wątek w polskim badmintonie.

My się wychowywaliśmy na chińskim treningu, bo w 1989 roku przyjechał do Olsztyna trener Zhou Jun Ling i powstał tam Ośrodek Przygotowań Olimpijskich. Działał około czterech lat. W hali Urania odbyły się dwa razy międzynarodowe mistrzostwa Polski. Zgromadziliśmy wtedy po raz pierwszy najlepszych

zawodników. Wyjechali na obóz do Cetniewa, tam trener wybrał spośród młodych badmintonistów ekipę, z którą chciał pracować. Byli to: Jacek Hankiewicz, Dariusz Zięba, Jacek Niedźwiedzki, Robert Mateusiak, Mariusz Borowiec, siostry Lipińskie – Monika i Marzena, – bardzo mocna ekipa. A ja skorzystałem, bo przez 4 lata Chińczyk w zasadzie tylko ze mną się kontaktował, bo znam język angielski. Wyciągałem od niego wiadomości.

Andrzej Szalewicz napisał, że Pan najlepiej wykorzystał pobyt trenera chińskiego dla wzbogacenia swojej wiedzy.

Tak, ale te moje chińskie kontakty nie ograniczały się do Ośrodka Przygotowań Olimpijskich. Gdy przestał on działać, akurat mój najlepszy zawodnik, wielokrotny mistrz Polski Paweł Kaczyński, zdał maturę. To mój niedoszły olimpijczyk. W międzyczasie w Polsce pracowali kolejni trenerzy z Azji, m.in. Ling Bo. Gdy został głównym trenerem w prowincji Nanjing, wyjechał tam też na 3 lata Paweł Kaczyński. Trenował z najlepszymi.

Dlaczego niedoszły olimpijczyk?

Po trzech latach ciężkich treningów w Chinach wrócił do Polski. Związek sfinansował mu kilka startów w zagranicznych turniejach, ale jeszcze wciąż brakowało startów w takich imprezach. Startował na zawodach najwyższej rangi. Miał trenować w Danii i grać w lidze duńskiej, ale przeciągnęła się sprawa wizy. Po dwóch miesiącach zrezygnował i postanowił wyjechać. Powiedział mi, że rzuca badminton i wyjeżdża do Chin, gdzie dostał propozycję pracy. Miał się uczyć języka chińskiego i rozpoczął studia – sinologię. Po dwóch dniach przyszła wiza, ale on już z niej nie skorzystał. Zdobywał złote medale w każdej kategorii, był na równi z Wachą, Niedźwiedzkim i innymi z tej ekipy. Teraz żyje z rodziną w Chinach, jest przedstawicielem dużej firmy i mieszka w malutkim, 5-milionowym miasteczku...

Nie przesadzimy, jeśli powiemy, że osiągnął to wszystko dzięki badmintonowi. Gdyby nie ten sport, prawdopodobnie nie miałby chińskich kontaktów.

Tak. Mam jego dzienniczki z treningów w Chinach. Kiedyś się wydawało, że chiński trening jest taki prosty, ale to nieprawda. Tam jest wielostopniowy system selekcji. Treningi są bardzo ciężkie. Składa się na nie kilkaset elementów. Trenują 2–3 razy dziennie – przechodzą testy techniki, taktyki, przygotowania fizycznego, itd. Dopiero po nich dostają się na kolejny szczebel. To, że my się tam przebiliśmy w Azji z kilkoma zawodnikami, takimi jak Paweł Kaczyński, Robert Mateusiak, Jacek Hankiewicz, Dariusz Zięba, to jest efekt pracy z trenerami chińskimi w ośrodku w Olsztynie. Naszym młodym zawodnikom jeszcze dużo brakuje, by doścignąć tamtą gwardię.

Poczekamy na nowe gwiazdy.

Poczekamy. I to długo. Nie mamy zwłaszcza kobiet, singlistek. Nie oszukujmy się, nie mamy kobiecego debla, nie mamy zawodniczek na poziomie europejskim,

jak wcześniej Krasowska i później Augustyn. Wracając jeszcze do pracy w Olsztynie, moi zawodnicy i ja ogromnie skorzystaliśmy z chińskich doświadczeń i działalności ośrodka, gdzie podsyłałem moich podopiecznych. Miałem pięć pokoleń rewelacyjnych zawodników, takich jak: wspomniany Paweł Kaczyński, ale także Dariusz Witkiewicz, Radosław Makowski, siostry Polakowskie – Krystyna i Anna. Na olimpiadzie juniorów młodszych w Częstochowie na podium w singlu stało trzech moich zawodników: Paweł Kaczyński zdobył złoto, Dariusz Witkiewicz – srebro, a Radosław Makowski – brąz. Rzadko się to zdarza. Nie wiem, czy ktoś to powtórzy.

Młodzi muszą popracować. Czy widzi Pan wśród nich perełki?

Gwiazdy to jedno, ale musi się zmienić jeszcze atmosfera wokół badmintona. Związek się stara, organizuje międzynarodowe mistrzostwa Polski w różnych kategoriach, ale żeby ludzi pociągnąć, muszą się pojawić duże pieniądze i telewizja. Ta natomiast potrzebuje gwiazdy. Jak przyciągnąć wielkie talenty? Znowu trzeba powiedzieć o pieniądzach. Tenisiści dostają milion czy dwa miliony euro na osobę za jeden turniej. Pula nagród badmintonie wprawdzie idzie w górę, ale ciągle jeszcze to jest milion dolarów do podziału w pięciu kategoriach. To jest jednak sport, który może być masowy.

Może na tym trzeba się skupić?

Tak, ale pod tym względem też trzeba badminton odpowiednio rozwijać. W Polsce dyscyplina ta opiera się na pasjonatach. U nas w Olsztynie prekursorem badmintona był Julian Krzewiński, jego córka Małgorzata Niemen, żona Czesława Niemena, też trenowała badminton. Przyjeżdża tutaj czasami. Julian Krzewiński był fantastycznym sędzią, napisał pierwszą książkę, uczyłem się z jego podręcznika. Również byłem najpierw sędzią, żeby pojeździć po turniejach i poobserwować, zanim pojechaliśmy z drużyną na zawody. Polski badminton potrzebuje większej liczby trenerów. Ci najmłodsi, byli zawodnicy, zakładają komercyjne akademie, żeby zarobić, utrzymać rodzinę. Zależy im więc na tym, by mieli jak najwięcej uczestników. I dobrze, ale bardziej chodzi nie tyle o taki biznes, ile o trenerów zatrudnianych jako nauczyciele, by nie musieli się martwić o pieniądze na zapewnienie bytu i by mogli poświecić swój czas także w sobotę i niedzielę, gdy wyjeżdża się na turnieje. I ważne, żeby trenerzy kadry Polski i ośrodki szkolenia dostali zawodników już częściowo ukształtowanych, których nie trzeba uczyć podstaw.

Jak Pan trafił do pracy we włoskich klubach?

W 2003 roku chciałem iść na roczny urlop w szkole mistrzostwa sportowego. Pani dyrektor się nie zgodziła, więc zaryzykowałem i zwolniłem się z pracy. Chiński trener, który wcześniej pracował u nas, a potem we Włoszech, przechodził do Walii. Powiedział mi, że Włosi szukają nowego trenera, zgłosiłem się, przeszedłem rekrutację i pracowałem w trzech klubach. Miałem najlepszych zawodników

w klubie Merano Motor Union – zdobyliśmy złoty medal w ekstraklasie Włoch. Najlepszy mój zawodnik Klaus Raffeiner szykował się wtedy do igrzysk olimpijskich, zdobył trzy złote medale w mistrzostwach Włoch. Rok tam trenowałem.

Mówiliśmy o klubie, o ośrodku w Olsztynie, wspomnijmy jeszcze o sporcie akademickim.

Tak, był Kolejowy Klub Sportowy Warmia, który teraz nosi nazwę Koleżeński Klub Sportowy Warmia, ale od 2004 roku trenuję też razem z Andrzejem Długoszem w klubie AZS UWM Olsztyn. Trenujemy w Kortowie, jest grupa świetnych studentów z całej Polski, m.in. Aneta Walentukanis, Magdalena Jaworek, Joanna Długosz, Kamil Raszkiewicz. Już po roku treningów zdobyliśmy brązowy medal w ekstraklasie, uczestniczyliśmy pięć razy w drużynowych akademickich mistrzostwach Europy. W Hiszpanii Jaworek i Walentukanis zdobyły srebrny medal w deblu. W mistrzostwach Polski zdobyliśmy też dwa złote medale w klasyfikacji ogólnej i kategorii uniwersytetów.

Trzeba szukać dobrych stron

Kamila Augustyn – najlepsza polska singlistka, wielokrotna mistrzyni Polski, mistrzyni Europy, olimpijka, obecnie trenerka.

Czym teraz żyje Kamila Augustyn?

Wychowywaniem syna. Franio ma 11 miesięcy.

Urodzenie dziecka to wielka zmiana w życiu.

Bardzo wielka. Nie wiedziałam, że aż tak wielka, szczerze mówiąc.

Franio przejawia już sportowe zachowania?

Jako że jestem sportowcem, to nawet teraz z nim biegnę [śmiech]. Mam nadzieję, że jak będzie widział, że mama jest aktywna, to on też będzie. Staram się tak wszystko układać, żeby miał kontakt ze sportem od początku. Był już ze mną na obozie w Czechach, poznał halę. W poniedziałek jedziemy na drugi obóz. Na razie dajemy radę. Myślałam, że będzie ciężko, że będzie marudził, ale chyba ma sport we krwi. On jest mało kłopotliwy, nie płacze dużo. Czasami słyszę, jakie koleżanki mają problemy z dziećmi, to im współczuję. Z Franiem można wiele rzeczy zrobić.

Synek ma dopiero 11 miesięcy, a Pani zdążyła już zagrać w maju drużynowych mistrzostwach Polski. Szybko.

Oj, w maju to już byłam praktycznie po sezonie.

To kiedy Pani wróciła na kort po porodzie? To musiał być błyskawiczny powrót.

Praktycznie od razu po porodzie zaczęłam się ruszać, po dwóch tygodniach byłam na hali, a po miesiącu pojechałam na pierwszą ligę. To jest tak, że jak ktoś trenuje całe życie, trudno wytrzymać przerwę w treningach. Grałam do piątego miesiąca ciąży. Znam badminton na tyle, że mogłam kontrolować sytuację i nie narażać się na niebezpieczne sytuacje, ale niestety biegi z przeszkodami, które tak lubię, musiałam odpuścić. Ten okres, kiedy nie ćwiczyłam tak intensywnie, był dla mnie bardzo męczący, bo jak człowiek jest przyzwyczajony do wysiłku, to trudno tak nic nie robić. Cieszę się, że udało mi się wrócić do sportu bez problemów.

Teraz jest Pani zawodniczką w Suwałkach. Szykuje się Pani do jakiegoś turnieju?

Osobiście przygotowuję się do nowego sezonu ligowego, a do turnieju będę pomagała przygotowywać się naszym młodym zawodnikom, z którymi jadę niedługo na obóz kadry.

Co jest bliższe Pani sercu: bycie zawodniczką czy trenerką? Dobrze się Pani odnalazła po drugiej stronie?

To jest coś innego. Byłam już przejedzona, brzydko mówiąc, badmintonem. Startów, wyjazdów było strasznie dużo. Gdy urodziłam syna, chciałam przystopować, tym bardziej że wcześniej mieszkałam w Warszawie, gdzie w ogóle na nic czasu nie ma. Jeździłam z hali na halę, cały dzień byłam poza domem. Gdy pojawił się Franio, powiedziałam: „Stop!" Postanowiłam jeździć tylko na ligi, a pozostały czas poświęcić synkowi.

Nie wytrzymała Pani?

Są tak zwane pokusy – zawsze ktoś zadzwoni i spyta: „ A może pojedziesz...?" Ze Związku też się odezwali i jakoś tak samo ruszyło, pojechałam na jeden obóz, później na drugi i znowu badminton mnie wciągnął. Wybrałam się ostatnio na halę pograć ze znajomymi i od razu musiałam im mówić, że źle rakietkę trzymają, że źle się ruszają [śmiech]. To już jest nałóg, że człowiek nie może wejść na halę i normalnie poodbijać, tylko musi zaraz widzieć jakieś błędy. Z drugiej strony fajne jest, jeżeli widzisz, że ludzie chcą się uczyć i też mają z tego przyjemność. Jeżeli komuś zwracasz uwagę czy go poprawiasz, a on po chwili mówi, że to działa, od razu się lepiej czujesz. To miłe, że jednak ktoś wierzy w twoje umiejętności i może przekonać się o tym na własnej skórze.

Najlepsza albo jedną z dwóch najlepszych polskich singlistek, nie ma wątpliwości. Ogromny dorobek i mało przyjemne rozstanie z reprezentacją, po tym jak władze Polskiego Związku Badmintona ukarały między innymi Panią, dodajmy, że według Pani, niesłusznie. Jak Pani to wspomina?

To długa historia i już na ten temat nawet mi się nie chce rozmawiać, bo to nic nie zmieni. W życiu różne rzeczy się dzieją. Miałam lepsze i gorsze czasy. Nie wracam do tego, co było, by nie nakręcać się niepotrzebnie. Po prostu, coś się wydarzyło i widocznie tak musiało być. Szkoda, ale trzeba iść dalej. Zaczęłam robić nowe rzeczy, a do tamtych nie wracam, nie ma co się denerwować. Co prawda, chciałam jeszcze pograć do Rio, ale wyszło, jak wyszło i trudno. Szkoda tylko, że wcześniejszy zarząd Polskiego Związku Badmintona nie dbał o to, by zawodnicy, którzy kończą karierę, zostali jeszcze trochę w reprezentacji.

W jakim sensie?

By pomóc młodym zawodnikom. Oni mają przyjemność i większą motywację, jeśli stara gwardia im pomaga. Brakuje osób, które by ciągnęły młodzież trochę w górę. Ja sama pamiętam, że gdy zaczęłam jeździć na obozy ze starszymi zawodnikami, byłam przy nich bardziej zmotywowana i dwa razy mocniej ćwiczyłam, żeby im dorównać, żeby udowodnić, że warto było wziąć mnie do drużyny i we mnie inwestować. Jest duży kłopot z dziewczynami, nie ma dużej rywalizacji, a wiadomo, że im więcej osób gra, tym bardziej poziom idzie do góry. Ale teraz, mam

nadzieję, idzie wszystko w dobrym kierunku. Są młodzi trenerzy, ambitni, więc myślę, że będzie dobrze.

Miała Pani miała w swojej karierze bardzo emocjonujące zwroty akcji i wystawiające czasami przyjaźń na próbę. Myślę o Atenach, gdzie miała Pani jechać z Nadią Ziębą, ale przez to, że ona nie dostała zgody z Białorusi, start na igrzyskach przepadł.

Miałam żal o to, że wszyscy wokół wiedzieli, że może być taka sytuacja, że możemy nie pojechać (Nadia wiedziała, trenerka wiedziała). One nie chciały mi o tym mówić, żebym się nie denerwowała. Tylko ja żyłam w nieświadomości. Potem, jak się dowiedziałam praktycznie na ostatnim turnieju przed igrzyskami, było mi zwyczajnie przykro. Tym bardziej że wcześniej przestałam grać w singla i skupiłam się tylko na deblu. A tak, kto wie, może miałabym szansę zakwalifikować się jako singlistka. Dlatego poczułam się oszukana. Nie chciały mnie denerwować i liczyły, że wszystko się jakoś poukłada. W sporcie jest tak czasami, że kontuzja albo inne niespodziewane sytuacje, pokrzyżują plany i trzeba to przyjąć. Tak się dzieje, nie zawsze jest kolorowo. Chyba nie ma sportowca, którego kariera przebiegałaby od początku do końca bez problemów i któremu by się wszystko udawało.

Sport to w zasadzie nieustanne pokonywanie trudności, siebie, rywali, itd.

Właśnie. Pamiętam, że była taka sytuacja: przyleciałyśmy do Malezji. Włączam telefon i dostaję tysiące wiadomości. Jedni piszą: „Kama, nie martw się. Wszystko będzie okej. Następnym razem pojedziesz", a drudzy: „Kamila w telewizji u nas mówili, co się stało. Nie jedziesz na igrzyska". A ja w ogóle nie wiedziałam, o co chodzi. Potem podszedł do mnie Michał Łogosz i powiedział, że nie jedziemy na igrzyska, bo coś tam się nie zgodzili. Zapytałam trenerkę, czy to prawda. Potwierdziła. Miałam pretensję, że wiedziała, co się dzieje i milczała. Później, gdy zapytałam Nadię, powiedziała, że wiedziała, że tak może być. Ale przynajmniej przez jeden dzień byłyśmy najbardziej znanymi sportowcami, wszyscy o nas mówili, w telewizji też [śmiech]. Także trzeba szukać plusów.

Jest Pani optymistką! Ma Pani nadal kontakt z Klaudią Majorową?

Tak. Ona czasami przyjeżdża do Słupska, a poza tym mamy Facebook. Gdy wyjechała do Rosji, to przez trzy lata grałam w klubie, w który była trenerką. Cały czas mamy kontakt. To jest moja pierwsza trenerka, która najwięcej w moją karierę włożyła: serca, zdrowia, nerwów [śmiech]. Ona mnie najwięcej nauczyła. Do niej mam największy szacunek. Zawsze była jak moja druga mama. Od podstaw mnie trenowała i można powiedzieć, że do samego końca.

Prosi ją Pani o jakieś rady trenerskie?

Na początku, gdy zaczynałam pracę jako trenerka, podpytywałam o niektóre rzeczy. Teraz można powiedzieć, że jestem już stara [śmiech] i już zebrałam trochę doświadczenia. Jako nasza trenerka Klaudia Majorowa zawsze nas pilnowała,

byśmy prowadziły dzienniczki treningowe i opisywały treningi – jak się czujemy, co robiłyśmy, różne uwagi związane z naszą karierą. I teraz te zapiski przydają mi się bardzo, zawsze mogę sobie tam zerknąć. Byłam z nią na obozach juniorów, więc też miałam okazję trochę podpatrzeć ćwiczenia. Od niej najwięcej się nauczyłam zarówno grania, jak i spraw trenerskich, więc chyba do końca życia będziemy miały kontakt.

Co w karierze było dla Pani największym zaskoczeniem, sukcesem-niespodzianką?

Trudno powiedzieć, bo na różnym etapie różne rzeczy się działy. Taką niespodzianką na przykład było zdobycie mistrzostwo Polski w wieku 17 lat. To była niespodzianka.

Także dla Pani?

Tak, bo wtedy akurat Katarzyna Krasowska miała chyba kontuzję. Każdy mi mówił: „Ooo, to dla ciebie jest szansa". Wiadomo też, że jeszcze większa presja. Ale udało się wygrać. Później z nią też wygrałam, miałyśmy bezpośredni pojedynek. Zawsze jest tak, że jak wygrasz z byłą mistrzynią czy z obecną mistrzynią bezpośredni mecz, zanim skończy karierę, satysfakcja jest wielka. Tym bardziej że Katarzyna Krasowska zawsze była moją idolką. Zawsze zwracałam na nią uwagę, że tak fajnie grała i miała takie fajne mięśnie [śmiech]. Późno zaczęła grać i była bardzo sumienna w treningach, dlatego też osiągnęła takie świetne wyniki. Fajnie jest wygrać z kimś, kto kiedyś w twoich oczach był niedościgniony. Gdy byłam młodsza, z trenerką jeździłam na zawody, żeby obserwować starszych zawodników, bo poziom był tak wysoki.

To zapewne było niejedyne takie miłe zaskoczenie?

Tak, podobnie było, gdy zdobyłyśmy mistrzostwo Europy z Nadią. Pierwszy złoty medal dla Polski. To taki moment, którym zapisałyśmy się w historii Polskiego Związku Badmintona. Ale ja nigdy nie wierzyłam w siebie, zawsze myślałam, że wygrałyśmy, bo rywalki miały gorszy dzień albo źle grały. Tak myślę, że gdybym bardziej wierzyła w swoje możliwości, to mogłabym więcej osiągnąć. Zawsze brakowało mi trochę wiary w siebie. Zawsze też podobało mi się u Duńczyków, że oni potrafili się tak bardzo cieszyć z wygranej. My, nawet gdy już stanęłyśmy na tym podium, to nie potrafiłyśmy skoczyć do góry, tylko ledwo ręce podniosłyśmy i najlepiej już mogłybyśmy zejść [śmiech]. A Niemcy i Duńczycy wychodzili pewni siebie, nawet ci najsłabsi. I to na pewno dodaje mocy do grania. Czasem jednak człowiek uczy się takiego podejścia, takich zachowań dopiero po latach. Teraz swoim zawodnikom przekazuję tę wiedzę, ale oni muszą tego sami doświadczyć. Moja trenerka też się kiedyś w żartach pytała, dlaczego ja tak późno zostałam trenerem, bo dopiero jak jesteś trenerem, widzisz błędy oraz możliwości, swoje i innych.

Jaki jest Pani cel trenerski?

Na razie go nie mam. Kiedyś mówiłam, że nie będę więcej pracować z dziećmi, bo się strasznie przywiązuję, a z dziećmi to jest tak, że chwilę pograją, człowiek się poświęca, a one po jakimś czasie mówią: „Do widzenia". Oni albo rodzice, którzy już mają wybrany zawód dla córki czy syna, mimo że dziecko chciałoby grać. Takie sytuacje też miałam. Teraz są niekorzystne czasy dla dzieci. Pracowałam w Łodzi, w Białymstoku, w Słupsku i zauważyłam, że większość osób uważa, że ze sportu nie da się wyżyć, więc trzeba się uczyć i koniecznie robić karierę naukową. Dużo dzieci, nawet utalentowanych, przychodziło i traktowało badminton jako odskocznię, a nie jako coś docelowego. Są też inne utrudnienia, w dużych miastach rodzicom czasami się nie chce przywieźć dzieci na trening. W mniejszych miejscowościach jest inaczej, bo mogą pójść same. W większych czasami mama czy tata musi zawieźć, poczekać, nie zawsze mają na to czas, bo jest pogoń za pieniędzmi, za pracą. Myślę, że teraz są ciężkie czasy dla sportu. Dlatego na razie nie chcę się angażować w jakiś klub i szkolenie dzieci, tylko trenuję dla przyjemności. Jeżdżę na obozy, by trochę pomóc, ale jeszcze do końca nie obrałam swojej drogi. Dopóki mały nie pójdzie do przedszkola, chciałabym z nim spędzić jak najwięcej czasu, bo on jest taki wyczekany i tak szybko się zmienia, że szkoda mi stracić te chwile. Nie chcę wracać do Warszawy, bo tam w ogóle bym nie miała czasu się nim zająć, więc na razie cele trenerskie muszą poczekać. Później, gdy synek podrośnie i ja będę miała zapał, to zajmę się bardziej na poważnie prowadzeniem zajęć, bo fajnie jest, jak możesz swoją wiedzę przekazać następnym pokoleniom w badmintonie.

Zdrowa rywalizacja i codzienna praca

Bogdan Kosz – rocznik 1949, badmintonista, trener, działacz w płockich klubach badmintona.

Chwila rozmowy z Panem wystarczy, żeby poczuć, że badminton to Pana życie....

Jest to rzeczywiście moje głębokie uczucie, ale oczywiście w aspekcie sportowym. Do 30. roku życia zajmowałem się głównie piłką nożną w klubie KS Masovia Płock, jako czynny piłkarz, a później jako działacz i kierownik klubu. Badminton pojawił się w moim życiu w 1979 roku, gdy organizowałem sekcję badmintona w TKKF przy ówczesnej Fabryce Maszyn Żniwnych. Wtedy rozpoczęła się druga miłość – badminton tak niesłusznie przez wielu nazywany kometką. Pochłonęła mnie całkowicie. Moją pierwszą miłością była kiedyś piłka nożna, byłem czynnym zawodnikiem. Lecz jak poznałem badminton, to się zmieniło. I trwa aż do dziś.

Jak zaczęła się Pana przygoda z badmintonem? Wspomniał Pan o tym, ale proszę o tym opowiedzieć więcej.

Wszystko zaczęło się od amatorskiego odbijania lotki w pierwszej wersji: w kometce a później w badmintonie. Spotkałem kolegów z Towarzystwa Krzewienia Kultury Fizycznej, między innymi Grzegorza Rutkowskiego i Kubę Grodzickiego z Sierpca. Graliśmy na asfaltach, w lesie, na trawnikach. Dopiero w latach 70. zeszłego stulecia trafiłem do hali szkolnej. Wtedy poznałem w pełni radość z gry w badmintona. Przyszła kolej na sekcję amatorską, później na badminton klubowy. Dzięki przyjaciołom z Poloneza Warszawa z Jurkiem Suskim na czele zamarzyła się nam – mnie i moim kolegom: Grzegorzowi Rutkowskiemu, Bogusławowi Gostomskiemu, Tadeuszowi Majewskiemu, Wiesławowi Tarkowskiemu, Sylwestrowi Wardzie i Januszowi Kwiatkowskiemu – by w Płocku pojawił się badminton w profesjonalnym wykonaniu. Zorganizowaliśmy w grudniu 1979 roku Mistrzostwa Województwa Płockiego w Badmintonie. To wtedy zawiązana została sekcja badmintona przy TKKF FMŻ w Płocku.

Już w 1982 roku przystąpiliśmy do Polskiego Związku Badmintona – początkowo jako TKKF FMŻ Płock, a później MKS MDK Płock – dzięki panu Eugeniuszowi Błaszczakowi i wspaniałemu trenerowi – legendzie płockiego badmintona panu Lechowi Franczakowi.

Słowo ciałem się stało i w sezonie 82/83 jako MKS MDK wystartowaliśmy w grupie północno-wschodniej II ligi, zajmując 3. miejsce, a już w sezonie 84/85 awansowaliśmy do ekstraklasy badmintona, kończąc zawody na 5. pozycji. To mnie utwierdziło w przekonaniu, że powinienem być działaczem, kierownikiem sekcji i klubu, a także sędzią sportowym. Swoje córki również ukierunkowałem na badminton. Starsza, Iwona odnosiła sukcesy w kategorii młodzika, juniora młodszego, juniora i w kategorii młodzieżowej, uzyskując wielokrotnie tytuł mistrzyni Polski. Była również w kadrze narodowej i w reprezentacji Polski.

W 1987 roku reaktywowaliśmy mój dawny klub piłkarski ZKS STAL, który stał się patronem i sponsorem dla badmintona. Wtedy to polscy juniorzy zdobyli mistrzostwo Europy do lat 16 w Strasburgu, mając w składzie trzech zawodników MKS MDK Płock: Magdę Konopkę, Pawła Wasilewskiego i Jacka Jaroszewskiego. Później organizowaliśmy pierwsze międzynarodowe mistrzostwa Polski juniorów, a w 1992 roku – eliminacje przedolimpijskie przed Barceloną. Cały czas uczestniczyłem w tym jako działacz, sędzia sportowy badmintona i organizator.

Z dniem 19 stycznia 1997 roku zmieniliśmy nazwę klubu na KS Bizon, a na początku 2000 roku, wróciliśmy do historycznej nazwy KS Masovia.

Do chwili obecnej – mimo już siódmego krzyżyka na karku – udzielam się jako członek zarządu w Płockim Klubie Olimpijczyka, w Płockiej Radzie Sportu przy Prezydencie m. Płocka. Po prawie już 40 latach działania, ciągle jestem do dyspozycji jako działacz i sędzia imprez krajowych i międzynarodowych.

Jaki jest płocki przepis na sukces i wychowanie olimpijczyka? To w Płocku dostrzegli Państwo talent Michała Łogosza.

Nie ma przepisu na sukces i wychowanie olimpijczyka. Stało się tak, że w Płocku trafiliśmy na wspaniałych ludzi, którzy tak jak ja, pokochali badminton. To oni znaleźli utalentowanych młodych ludzi i zarazili ich badmintonem. Obok dużej liczby zdolnych zawodników pojawili się wspaniali trenerzy, którzy sobie zaufali. To oni pracowali w grupach z dziećmi, przekazując sobie najzdolniejszych do klubów o różnym stopniu zaawansowania. Najpierw SKS-y w szkołach podstawowych, później klub młodzieżowy MDK, a na końcu ten najsilniejszy klub seniorski (Stal, Bizon, Masovia). Obok trenerów mieliśmy dużą liczbę wyszkolonych sędziów i bardzo dobrych organizatorów turniejów krajowych i międzynarodowych. To wszystko złożyło się na płocki sukces.

Poza tym wchodząc w dorosły, profesjonalny badminton, musieliśmy pomyśleć o takich uwarunkowaniach, jak: baza – gdzie trenować, kadra trenerska, zawodnicy, czyli trzeba było zbudować piramidę szkoleniową począwszy od szkół podstawowych. Zaczęliśmy od popularyzacji gry poprzez turnieje masowe i rywalizację między szkołami, wysłaliśmy chętnych do trenerki na kursy instruktorskie, tworzyliśmy zaczątek klas sportowych z przewagą badmintona.

Doprowadziliśmy do zdrowej rywalizacji, masowości w szkołach podstawowych i średnich nie bez udziału i zainteresowania rodziców i opiekunów. Duży nacisk położyliśmy na klubowość i przywiązanie do barw klubowych.

Talent Michała Łogosza i jego siostry bliźniaczki dostrzegł nieżyjący już trener i nauczyciel w-f w Szkole Podstawowej nr 6 w Płocku Piotr Byttner. To on bardzo mądrze prowadził ich od pierwszych medali. Więcej konsekwencji i uporu wykazał Michał i jemu było dane cieszyć się z medali w już dorosłym badmintonie. To był wynik dobrej selekcji i panującej sportowej zgody w środowisku. Ciężka codzienna praca treningowa, zdrowa rywalizacja całej grupy szkoleniowej, wsparcie organizacyjne, doprowadziły do sukcesów juniorskich i seniorskich. Szkoda, że Michał nie pojechał jako zawodnik płockiego klubu na pierwsze swe igrzyska do Atlanty, ale to już inna historia.

Najważniejsze dla Pana nazwiska w polskim badmintonie to?

Nazwisk, które tu powinny się znaleźć, jest wiele, ale skupię się na kilku. Początki sportowego badmintona to Jerzy Suski, trener Poloneza Warszawa – dzięki organizowanym przez niego meczom z Polonezem Warszawa uczyliśmy się tajemnic i abecadła badmintona, Ryszard Płonek

i Aleksander Pyć – wykładowca Politechniki Łódzkiej. To oni nam pomogli sportowo, namówili do badmintona w takim wymiarze. Prowadzili pierwsze kursy instruktorskie, pierwsze kursy sędziowskie, pierwsze licencje i umożliwili nam kontakt z Polskim Związkiem Badmintona. Nieoceniona, lecz bardzo doceniona przez nasze płockie środowisko, jest pomoc Juliana Krzewińskiego, wieloletniego przewodniczącego kolegium sędziów badmintona i członka władz PZBad – naszego mentora, doradcy i przyjaciela. Prywatnie ojca Małgorzaty Niemen i teścia Czesława Niemena. Ryszard Borek, trener i wyrocznia kadry Polski. Mimo wieloletniej rywalizacji sportowej na linii Technik Głubczyce – Masovia/MDK/Bizon/Stal Płock zawsze znalazł czas i dobre słowo dla Płocka. Później to już era Andrzeja Szalewicza, Jadwigi Ślawskiej-Szalewicz, Marka Idzikowskiego, Jerzego Wrzodaka, Marka Krajewskiego. I tak mógłbym wymieniać długo. I tym wymienionym i niewymienionym składam serdeczne DZIĘKUJĘ, że pokazali mi, czym jest miłość do badmintona

Zawsze przy mnie była badmintonowa brać z Płocka: Grzesiu Rutkowski, Boguś Gostomski, Wiesiek Chrobot, Tadziu Majewski, Lech Franczak, Piotr Byttner. To wspaniale mieć takich przyjaciół.

Mecz lub turniej, którego Pan nigdy nie zapomni?

Długo się zastanawiałem, bo historii z turniejami było wiele, i tych smutnych, i wesołych. Ale nigdy nie zapomnę meczu o wejście do I ligi we Włocławku z Żyrardowianką Żyrardów. Przeciwnicy, wielkie nazwiska krajowego badmintona, a Płock – mieszanka młodości i „starości", brak doświadczeń na tym

poziomie. Zajęliśmy wtedy 3. miejsce, a występowaliśmy jako mężczyźni dobrze ponad 30-letni reprezentujący TKKF FMŻ w Płocku i TKKF Petrochemia wraz z nastoletnimi uczniami Liceum Ogólnokształcącego im. Władysława Jagiełły. Nie znaliśmy dokładnie regulaminów i doszło do takiej sytuacji, że musiałem zagrać mecz w pożyczonych butach, żeby uniknąć walkowera. Grałem w butach o dwa numery za dużych i pożyczoną rakietą, chyba to była „Łastoczka". MDK Płock sprawił niespodziankę i ograł Żyrardowiankę, co było wtedy dużą sensacją.

Pamiętam też mecz juniora Jacka Jaroszewskiego z MDK Płock z Jarosławem Bąkiem z Technika Głubczyce. Wspaniały mecz z wieloma pomyłkami na korzyść gospodarza i super fair play postawą Jacka i Jarka.

Mam nadzieję, że doczekam się jeszcze tego najlepszego meczu i najwspanialszego turnieju, pomimo szybko upływającego życia.

Adam Cwalina szykuje się do Tokio

Od 15 lat nie zastanawia się, czy mógłby robić w życiu coś innego. Zawodowo gra w badmintona i jak mówi, jest szczęśliwy. Od zawsze kochał sport. Trenował też siatkówkę i koszykówkę, ale w końcu musiał zdecydować się na jedną dyscyplinę. Wybór był oczywisty. Badminton.

Adam Cwalina urodził się w 1985 roku w Częstochowie. Za rakietki na serio wziął się już jako ośmiolatek. W szkole podstawowej, do której chodził, była sekcja. Zajęcia prowadził trener Kolejarza i to też był pierwszy klub, w którym młody, zdolny zawodnik rozwijał talent. Jako 15-latek wyjechał do Głubczyc, by tam uczyć się w szkole mistrzostwa sportowego i szlifować umiejętności na korcie. Kolejnym znaczącym etapem w sportowej karierze częstochowianina była przeprowadzka do Warszawy, gdzie jest badmintonowy Ośrodek Przygotowania Olimpijskiego. Zmienił też barwy klubowe. Trenuje jako zawodnik klubu SKB Litpol-Malow Suwałki.

Adam Cwalina specjalizuje się w grze podwójnej. Pięciokrotnie wygrał mistrzostwa Polski (jego partnerami byli: Michał Łogosz, Przemysław Wacha i Robert Mateusiak). W swoim dorobku ma też 5 srebrnych medali mistrzostw Polski i trzy brązowe. Do jego największych osiągnięć zaliczyć może zwycięstwo w turnieju Dutch Open Grand Prix 2011 w grze podwójnej w parze z Michałem Łogoszem. W turnieju Yonex Dutch Open w 2012 roku zdobył 1. miejsce, grając z Przemysławem Wachą.

Zawodnik z suwalskiego klubu ma też na swoim koncie dwa występy na igrzyskach olimpijskich. W 2012 roku w Londynie musiał zakończyć grę przedwcześnie z powodu poważnej kontuzji deblowego partnera, Michała Łogosza. Natomiast cztery lata później w Rio de Janeiro Adam Cwalina grał z Przemysławem Wachą, odpadli w fazie grupowej po trzech przegranych meczach. Teraz przygotowuje się do igrzysk w Tokio. Jego nowym partnerem w deblu jest Miłosz Bochat. Czy razem wystartują na najważniejszej sportowej imprezie w 2020 roku, czas pokaże.

Mecz, który mocno zapadł w pamięć

Damian Pławecki – wielokrotny medalista mistrzostw Polski, mistrzostw Europy, dwukrotny akademicki wicemistrz świata, międzynarodowy mistrz Węgier i Bułgarii, trener w UKS Plesbad Pszczyna.

Czy dobry trener sam musi być wcześniej zawodnikiem?

Wychodzę z założenia, że niekoniecznie dobry zawodnik musi być dobrym trenerem, a dobry trener musiał być wcześniej dobrym zawodnikiem. Oczywiście, dobrze by było, żeby miał jakiś kontakt z dyscypliną, którą się zajmuje (nie dotyczy to tylko badmintona, ale również innych sportów), ale nie jest to jednoznacznie powiązane ze sobą, że dobry zawodnik stanie się dobrym trenerem. Takie jest moje zdanie.

Bo do obu tych zajęć potrzebne są różne umiejętności.

Tak: elementy psychologii, umiejętność pracy z innymi ludźmi, skupienie się na tych ludziach, a nie tylko na sobie. Zauważyłem, że często osoby, które są bardzo utalentowane sportowo, którym łatwo wszystko przyszło, mają kłopoty z przekazywaniem swojej wiedzy. Nie twierdzę oczywiście, że tak jest zawsze, ale jednak najczęściej tak to wygląda. Natomiast osoba, która musiała dużo ciężkiej pracy włożyć w to, żeby coś dobrze poznać, ma potem większą łatwość w wyjaśnianiu zawiłości technicznych czy taktycznych osobom, które mają z tym problem. Ale nie ma jednej, uniwersalnej reguły.

Jaki swój trenerski sukces uważa Pan za największy?

To zawodnicy, którzy obecnie są w kadrze i cały czas się rozwijają – mam nadzieję, że jeszcze uda im się osiągnąć znaczące wyniki na mistrzostwach Europy, mistrzostwach świata czy na igrzyskach olimpijskich. Moi zawodnicy mają też na koncie medale mistrzostw Polski. Jestem bardzo dumny, gdy moi podopieczni nadal się rozwijają, przeszedłszy do starszej kategorii, do innego trenera.

Otrzymał Pan od sędziów nagrodę Fair Play. Jest o tym wzmianka m.in. w książce Andrzeja Szalewicza „Historia badmintona w Polsce".

Że też się pani udało dotrzeć do tej informacji [śmiech]. Nawet mam w tej chwili tę statuetkę przed oczami.

Wpaja Pan swoim podopiecznym zasadę, że trzeba grać czysto?

Staram się, żeby wartości takie jak fair play czy inne zasady, ważne we wszystkich dziedzinach życia, dzieci wyznawały nie tylko w sporcie wyczynowym, ale

także w życiu. Chyba udaje mi się to zrobić, bo po zgrupowaniach często się zdarza, że w miejscach, w których byliśmy, ludzie gratulują nam, że to fajne dzieciaki. Miło to słyszeć. Chociaż muszę przyznać, że miałem nie tak dawno taki poważny dylemat, którego do tej pory nie udało mi się rozstrzygnąć.

Jaki?

Czy takie podejście fair play do końca, bez wyjątków, zawsze jest potrzebne. Szczególnie w tych młodszych kategoriach, bo w starszych to wiadomo, że już można powiedzieć, że taktyka i wyrachowanie biorą górę. Startowaliśmy kiedyś w najmłodszej kategorii w mistrzostwach Europy. Zawodnicy mieli szansę na podium, ale trzeba by poświęcić grę singlową, żeby ewentualnie w grze deblowej zdobyć medal. I tak się zastanawialiśmy z Jackiem Niedźwiedzkim, czy prosić, żeby ci najmłodsi zawodnicy odpuścili sobie singla, by mogli zachować dużo sił na debla, w którym wcześniej bardzo ładnie się prezentowali.

Jaką decyzję podjęli Panowie ostatecznie?

Postanowiliśmy, że nic im nie będziemy mówić – niech grają na tyle, na ile dadzą radę. Okazało się, że ani nie zdobyli medalu, ani nawet nie powygrywali kolejnych meczów. Do końca nie wiemy, oczywiście, co by się stało, gdybyśmy im zaproponowali odpuszczenie singla. To byli zawodnicy z najmłodszej kategorii wiekowej, w jakiej startowali na mistrzostwach Europy. Sugerowanie im takiego rozwiązania i tak nie gwarantowało, że będzie medal, a wpajanie im od początku czegoś takiego (pewnego rodzaju wyrachowania) nie było dobrym rozwiązaniem. I chyba to przeważyło, czyli aspekt wychowawczy. Nie żałuję decyzji.

Porozmawiajmy chwilę o Pańskiej karierze zawodniczej: 40 dni stażu w Chinach to – jak sądzę – było coś przełomowego? Dużo Panu tej wyjazd dał?

(chwila zastanowienia) Nie wiem, czy to było bardzo przełomowe... Na pewno wiąże się z tym wyjazdem bardzo dużo przeżyć i wspomnień. Czy dał mi on coś sportowo? Bardzo trudno to ocenić. My wtedy mieliśmy w Polsce chińskiego trenera. Trenowaliśmy z nim już wcześniej, potem on nas zabrał do Chin. Czasami bywało tak, że w Polsce trenowaliśmy z nim więcej, niż w czasie wyjazdu do Chin. Wiadomo, że emocje i motywacja były zdecydowanie większe, gdy graliśmy w Azji i to w prowincji, z której pochodzili mistrzowie świata i mistrzowie olimpijscy.

Chce Pan powiedzieć, że nie ma konieczności wyjazdu do Chin, by być dobrym badmintonistą?

Nie wiem, czy dobrze trafiliśmy, bo nie spotkaliśmy się tam z jakąś supergrupą. Z Robertem Mateusiakiem byliśmy akurat wtedy najlepszą polską parą i z większością chińskich rywali wygrywaliśmy. To byli zawodnicy na naszym poziomie. Ale bez wątpienia było to ciekawe doświadczenie – jedyny mój wyjazd do Azji w czasie, gdy byłem zawodnikiem. Mile go wspominam, chociaż nie wiązał się z jakimś wielkim progresem sportowym. Trudno byłoby mi ten wyjazd nazwać

przełomowym. Dziś Chińczycy reprezentują najwyższy światowy poziom, więc trzeba ich podglądać, od nich się uczyć, rywalizować z nimi.

Stosuje Pan w swojej pracy trenerskiej metody zaczerpnięte od chińskiego trenera?

Jasne, jak najbardziej – wszystkie te lata, które jako zawodnik spędziłem na korcie, zarówno pod okiem Chińczyka, jak i polskich trenerów, czy później na szkoleniu trenerskim z Duńczykami oraz oglądane rozmaite treningi i rozgrywki teraz procentują. Moja praca to taka kompilacja tego, czego się nauczyłem od różnych ludzi. Na pewno trzeba się uczyć od Chińczyków, ale zawsze mam na uwadze, że jesteśmy Europejczykami, nie jesteśmy w stanie zrobić wszystkiego jak Azjaci – mamy inną mentalność, inne warunki fizyczne, inne warunki socjalne, inny poziom świadomości badmintona i sportu w Polsce, niż np. w Chinach. Nie wszystko stamtąd da się przełożyć na nasz grunt. Ja jestem bardzo zainteresowany europejskim, a szczególnie duńskim badmintonem. Mam świadomość, że w Danii badminton jest na zupełnie innym poziomie rozwojowym i popularyzacji – tego też nie da się wprost do nas przełożyć. Ale staram się to wszystko powiązać. Jak mi się uda? Czas pokaże...

Przez jakiś czas był Pan zawodnikiem niemieckiego klubu. Różnice, jeśli chodzi o sposób pracy, treningu, są duże między Polską i Niemcami?

Jeździliśmy do Niemiec grać praktycznie tylko na weekendy – rzadko się zdarzało, byśmy tam zostawali na dłużej niż okres rozgrywek. Oczywiście mieliśmy krótkie zgrupowania. Grałem tam dzięki kontaktom Jacka Hankiewicza, który był wtedy trenerem w Hamburgu. Na pewno ważne było też spojrzenie na badminton z innej perspektywy. Pamiętam, że dla mnie dużym zaskoczeniem było, że tam grają czwarte, piąte, szóste ligi, również regionalne. U nas istniał tylko badminton wyczynowy, a amatorskiego grania nie było. Największe wrażenie na mnie zrobiło właśnie to, że każdy może zagrać w badmintona, nie muszą to być od razu rozgrywki na poziomie kadrowym, że nie liczą się tylko medale mistrzostw Polski czy Niemiec, ale że można się też tym bawić i grać sobie amatorsko.

Pamięta Pan jakiś mecz, który – można by rzec – wygrał Pan cudem? Myślał Pan, że to już koniec, ale udało się...

Czegoś takiego nie mogę sobie przypomnieć. Pamiętam za to odwrotną sytuację – w lidze niemieckiej przegrałem taki mecz, który był nie do przegrania. Na tym przykładzie pokazuję moim zawodnikom, że zawsze trzeba się koncentrować do końca. Powiem pani, że bardziej boli i się to pamięta, jak się przegrało taki mecz, niż gdyby się wygrało.

Co się wtedy wydarzyło? Zgubiła Pana pewność siebie?

Być może było tak, jak pani mówi. Dzisiaj powiedziałbym, że jakaś głupota mnie wtedy dopadła [śmiech]. To nawet nie był jakiś bardzo ważny mecz, ale ta porażka mocno zapadła mi w pamięć.

A kiedy Pan myśli o swoich sukcesach, to który jest najważniejszy?

Gdybym się chciał chwalić, to największe wrażenie robi akademickie wicemistrzostwo świata w deblu i mikście na jednych zawodach w Bułgarii, nie pamiętam w tej chwili, w którym to było roku... Ale na tle osiągnięć innych polskich zawodników nie wygląda to zbyt okazale.

Skromny Pan jest.

Realistycznie na to patrzę – żadnych medali mistrzostw Europy (indywidualnie, bo drużynowych nie liczę), mistrzostw świata czy igrzysk olimpijskich. A według mojej hierarchii, właśnie to jest wyznacznikiem sukcesu. Szczególnie wielką traumą są igrzyska olimpijskie – że nie udało nam się na nie zakwalifikować. Ale składam to na karb wieku, bo wtedy z Robertem Mateusiakiem byliśmy stosunkowo młodymi zawodnikami, bez doświadczenia.

O których igrzyskach mówimy?

To się działo przed Atlantą – w 1995–1996 roku. Ale mam nadzieję, że nasze „dokonania" były ważnym krokiem do tego, że później Robert Mateusiak Michał Łogosz zdobywali pierwsze medale. To był taki krok, który pomógł przetrzeć szlak – z jednym i z drugim grałem, więc mogę powiedzieć, że jakiś niewielki udział w ich sukcesie miałem.

Pana największe marzenie sportowe?

Nie wiem, czy to tylko moje marzenie: żeby któryś z Polaków zdobył medal na mistrzostwach świata czy igrzyskach olimpijskich. Niekoniecznie musi to być mój wychowanek, chociaż to byłoby super! Na razie takim bliższym realiów marzeniem jest to, by któryś z moich wychowanków zakwalifikował się na igrzyska olimpijskie – byłoby znakomicie.

Tego Panu życzę!

Dziękuję. Albo lepiej nie dziękuję – żeby nie zapeszać...

Badminton, czyli team spirit od dziecka

O korzyściach, jakie w nauce dają sportowe pasje, rywalizacji z bratem bliźniakiem, marzeniach o pucharach i bólu porażek opowiadają dzieci z Akademii Badmintona. Ich trenerzy, Wiktoria Rudzińska i Zbigniew Jasiulewicz, codziennie udowadniają, że ta dyscyplina kształtuje ciała i charaktery młodych zawodników.

Do Lubina najmłodsi badmintoniści z Warszawy przyjechali w lutym 2017 roku przy okazji pobytu na obozie sportowym w Szklarskiej Porębie. Wzięli udział w rozgrywkach o Puchar Dolnego Śląska w grach pojedynczych w kategoriach: U7, U9, U11 oraz U13. Sportowym zapałem oraz wielkimi ambicjami i duchem zespołu mali zawodnicy mogliby zaimponować niejednemu dorosłemu.

Spotykamy się na trybunach lubińskiej hali widowiskowo-sportowej, gdy na korcie akurat rozgrywa się mecz, w którym naprzeciwko siebie stanęli Michał Rogalski i Pablo Abian. Dzieci z Akademii Badmintona z wielkimi emocjami kibicowały Michałowi. Za moimi plecami co chwilę słychać westchnienia: „Przegramy, przegramy... Mamo, gra Michał Rogalski i chyba przegra, jest źle..." Nie wytrzymuję i odwracam się. Widzę drobnego, rezolutnego chłopca z czarnymi włosami, który opowiada przez telefon, co się dzieje na korcie. To Aleksander Stypuła, 7-latek z Warszawy. Sam gra w badmintona od 3 lat. Kiedy mówię do trenerki Wiktorii Rudzińskiej, że to niesamowite, że te dzieciaki tak bardzo przeżywają mecze, odpowiada:

– Tak się dzieje z dwóch powodów: po pierwsze, oni sami grają i znają się już trochę na grze, więc mocno ją przeżywają. Po drugie, badminton bardzo uczy poczucia wspólnoty, ducha drużyny, czegoś, co określilibyśmy jako team spirit. Mecze są wprawdzie rozgrywane pojedynczo, ale nawet jeśli przegrałem z moim kolegą z klubu, to potem, gdy on gra o finał, muszę mu kibicować. Muszę wyjść ponad to, że z nim przegrałem. Ważniejsze, że on jest ode mnie z klubu. Teraz jest krok dalej i muszę mu kibicować – tłumaczy świetna trenerka i zawodniczka. Jak dodaje, dbanie o ducha zespołu jest tym ważniejsze, że sporty rakietowe charakteryzują się dużym stopniem indywidualności. To są głównie gry pojedyncze.

– Nawet jeśli gra się gry podwójne, to jednak zachowanie zawodnika, jego stan psychiczny, umysłowy i nastawienie, które mają olbrzymie znaczenie, kształtują się na zindywidualizowanych treningach – tłumaczy Wiktoria Rudzińska. Badminton jest wyjątkowym sportem rakietowym. Trenuje się zwykle w grupie, mimo że to jest dyscyplina indywidualna. A to dlatego, że baza

halowa jest w Polsce słabo rozwinięta. Na mniejszych powierzchniach ćwiczy dużo osób. Poza tym są gry pojedyncze i podwójne, więc gra się różnym stylem i, co ciekawe, gra się w gry zarówno męskie, damskie, jak i mieszane, czyli kobieta z mężczyzną. I w przeciwieństwie do tenisa, to nie jest jakaś siódma kategoria meczów – w badmintonie równie ważne są pojedynki indywidualne, jak i podwójne. Zawodnicy więc od dziecka wychowują się w środowisku koedukacyjnym. Uważam, że to ma niebagatelne znaczenie dla rozwoju dzieci i kształtowania w nich społecznego ducha.

Szybkość i dynamika

Po meczu, niestety przegranym przez polskiego zawodnika, dzieci mają chwilę na rozmowę. Aleksander opowiada, że rodzice nie musieli go namawiać na treningi badmintona. Sam chciał na nie chodzić, odkąd zobaczył badmintonowy mecz w telewizji. Za co polubił ten sport?

– W badmintonie najbardziej podoba mi się szybkość, bieganie po korcie. Często biegam. Moja mama biega w maratonach – mówi młody zawodnik. Trenuje trzy razy w tygodniu i ma na koncie pierwsze sukcesy. – Dzisiaj akurat miałem bardzo silną grupę na turnieju i zająłem 6. miejsce, ale grałem z takimi, co trenowali 6 lat.

Aleksander wie, że na zwycięstwa w turniejach pracuje się latami. Opowiada też, że badminton daje wiele korzyści. Efekty pracy na korcie procentują w innych dziedzinach życia. Jakich?

– Na przykład nogi się wzmacniają i prawa ręka od mocnych uderzeń i można przewidzieć, jak przeciwnik zagra. Ja to wykorzystuję czasami, gdy gram w piłkę nożną. Często wiem, jak jeden poda do drugiego – tłumaczy 7-letni badmintonista. Pytany o to, nad czym musi popracować, wysportowany siedmiolatek odpowiada, że tylko nad serwisem z forhendu. Chciałby w przyszłości grać zawodowo w badmintona. Lepiej gra mu się z chłopakami, bo dziewczyny, jak mówi, grają technicznie, a on jest zawsze na obronie. – A chłopaki zawsze ścinają. Po męsku – ocenia Aleksander. Po chwili dodaje, że szybkiej oceny sytuacji uczy się nie tylko, grając w badmintona:

– To wychodzi też z szachów.

A trenerka potwierdza, że badminton rozwija i ciało, i ducha. Od razu odpiera też pojawiający się często zarzut, że badminton, podobnie jak tenis czy squash, jest sportem jednostronnym. Przecież odbija się jedną ręką i bardzo dużo ruchów wykonuje się na jedną stronę.

– Ale zanim zagra się dobry mecz, trzeba się solidnie przygotować. A jeżeli chodzi o przygotowanie ogólne, to bardzo ważna jest dynamika, szybkość poruszania w kierunkach przód-tył i bok-bok. Trening nie może być zatem ograniczony tylko do odbijania rakietką, ale musi być ćwiczona ogólnie motoryka. Często trzeba więc zmieniać kierunki – wyjaśnia obrazowo Wiktoria Rudzińska.

– Osoby, które dużo grają w badmintona, bardzo dobrze radzą sobie też w piłce nożnej. To jest bardzo fajne uzupełnienie. Na przykład dzieci, które przychodzą do nas z piłki nożnej, świetnie od razu sobie radzą, biegając po korcie, bo to jest częsta zmiana kierunku. Mają bardzo dobrze zachowaną koordynację. I jeszcze jedno – zarówno na boisku piłkarskim, jak i na korcie panuje szybkie tempo. Zawodnicy mają fantastyczną kondycję. Olbrzymią zaletą badmintona jako sportu dla dzieci, jest bardzo niska bariera wejścia.

– To znaczy, że zawodnicy mogą grać na poziomie mistrzowskim, ale też każdy amator może wziąć dwie rakietki, lotkę i odbijać na trawie do siebie takim chwytem, jakim chce – mówi trenerka. – Można zacząć przygodę z badmintonem od zera, już po 10 minutach trafiać w lotkę i mieć z tego przyjemność. To jest szczególnie ważne u młodszych dzieci, które bardzo łatwo się zniechęcają.

O tym, że zabawa jest podstawą pierwszych treningów dzieci, świadczą słowa dwóch uroczych sześciolatek. Żadna z nich nie ma problemu, czy przeciwnikiem w grze jest chłopiec, czy dziewczynka, oraz czy wygrywają mecz, czy nie. Basia Falandysz-Żółtowska gra od dwóch lat. Uważa, że z każdym gra się fajnie. A najprzyjemniejsze jest trafianie w lotkę. – Dla mnie wszystko jest łatwe, bardzo lubię odbijać – mówi siostrzenica trenerki Wiktorii Rudzińskiej.

Zabawowo grę w badmintona traktuje też 6,5-letnia Weronika Jasiulewicz, córka trenera Zbigniewa Jasiulewicza.

– Jeżdżę na zawody, fajnie jest, bo się dostaje dyplomy, puchary lub jakieś nagrody i poznaje się nowe koleżanki – wylicza Weronika i dodaje: – Marzę, żeby mieć wszystkie puchary na świecie. Mam w domu półkę z pucharami, stoją tam moje puchary i jeden taty.

Trener Akademii Badmintona w Krakowie, który teraz zajmuje się szkoleniem dzieci, zaczął grać jako 8-latek. Trenował 20 lat, do końca studiów. Wspomina, że przed laty badminton był w Polsce popularniejszy i że trzeba na nowo rozpropagować ten sport wśród dzieci.

– Kiedy ja byłem dzieckiem, w szkole były zajęcia i klub badmintona. Suwalski Klub Badmintona, w którym grałem, jest jednym z większych w Polsce. Zaraziłem się tą pasją w szkole i miałem szczęście, bo zawsze trafiałem na dobrych trenerów – opowiada Zbigniew Jasiulewicz.

– Pierwszym moim szkoleniowcem był Waldek Matulewski, a potem przyjechał do nas z Bukowna Jerzy Szuliński, legenda wśród trenerów i to on długo mnie trenował. Z sukcesami. Zbigniew Jasiulewicz przyznaje, że dziś, gdy sam jest trenerem, wzoruje się na Jerzym Szulińskim.

– On poświęcał nam strasznie dużo czasu. Zawsze miał czas dla zawodników. Dobry trener to jest skarb, ale dobry trener musi mieć czas – zauważa szkoleniowiec dzieci z Krakowa.

– W Polsce brakuje trenerów na etacie. Ja uczę dzieci grać, ale muszę w ciągu dnia iść do pracy, więc wiadomo, że zawodnikom mogę poświęcić mniej czasu niż etatowy trener. A tacy są potrzebni, jeśli chcemy myśleć o sporcie masowym. Dlaczego chodzi o to, żeby badminton był sportem masowym? Zbigniew Jasiulewicz odpowiada:

– Dlatego, że im więcej dzieciaków trenuje, tym więcej talentów się odkrywa. Zawsze wtedy znajdzie się paru dobrych zawodników. Co innego, jak jest stu i jeden załapie bakcyla, a co innego, jak jest pięciu i jest jeden, na którym ciąży wielka presja. Młodzi zawodnicy, jeśli jest ich mało, nie mają okazji pojeździć luźno na turnieje, by się ogrywać. Brakuje sita – tłumaczy były wielokrotny mistrz Polski.

Wygrana z bratem smakuje najlepiej

Badminton jest sportem zbyt mało popularnym – o tym mówią nawet najmłodsi zawodnicy, chociaż dla nich to akurat jest atut. Janek i Franek Gorajowie, 8-letni bracia bliźniacy z Warszawy, wygrywają turniej za turniejem. Na podium często staje też ich brat Piotr. Janek i Franek przyznają, że najbardziej cieszy ich pokonanie największego rywala, czyli brata bliźniaka.

– Dzisiaj zostałem pokonany przez brata, ale głównie to ja go ogrywam – mówi Franek i przyznaje, że ta porażka jest dla niego bardziej bolesna, niż przegrana z innym zawodnikiem. – Z Jankiem wygrywamy na przemian, ale na ostatnich dwóch turniejach to ja wygrałem. Muszę bardziej wygrać z bratem niż z innymi, wtedy się bardziej ucieszę.

Bliźniacy praktycznie wszystko robią razem – oprócz badmintona uprawiają jeszcze piłkę nożną, pływanie, aikido. Z braku czasu zrezygnowali z karate. Treningi mają codziennie. Za co lubią badminton?

– Mało osób w niego gra i można osiągnąć większy sukces, niż w piłce nożnej. Ale i tak piłka nożna przebija u mnie badminton. Jest tam taka praca nóg, ja dosyć lubię pracę nóg. Na basenie też się ćwiczy nogi – tłumaczy Janek Goraj. I dodaje, że uprawianie kilku sportów pomaga osiągać większe sukcesy. – Na przykład na basenie ćwiczy się nogi i w badmintonie potem już ma się lepsze i można szybciej się poruszać po korcie. I skakać wyżej z uderzenia, żeby ściąć. Piłka nożna też poprawia wytrzymałość nóg. I celność.

Wszelkie zawody, na których mogą zagrać bracia Gorajowie, wyszukuje ich tata, który też grywa w badmintona. Janek opowiada, że w przyszłości chciałby być piłkarzem, a badminton zajmuje u niego drugie miejsce. Mimo to bardzo lubi jeździć na zawody i turnieje. Ośmiolatek tłumaczy, że musi jeszcze popracować nad dalekim bekhendem i tym, jak odbiera serw. Cały czas uczy się dobrego ustawienia na korcie. Z kim najbardziej lubi grać?

– Z Antonim Jarczakiem. Już grałem z nim parę razy, on jest ogólnie ode mnie lepszy, ograł mnie trzy razy, a ja jego – raz. Z bratem jesteśmy na takim samym

poziomie. Rzadko gram z dziewczynami, ale też jest fajnie. Moje marzenie? Zdobyć złoto na olimpiadzie – odpowiada.

O medalu i byciu zawodowym badmintonistą myśli też Mateusz Bujnowski z Warszawy, 13-latek, który jest w grupie C. Gra od ponad trzech lat. Zawsze ma ochotę iść na trening. Dlaczego?

– Trenuję dwa razy w tygodniu. Dzięki temu lepiej mi idzie w sporcie, mam lepszą koncentrację, kiedy odrabiam lekcje, łatwiej mi się skupić i uczyć. I po prostu lubię grać. Wszystko jedno, czy gram z chłopakami, czy z dziewczynami – ważne, żeby przeciwnik był dobry – opowiada Mateusz.

Mniej udany start w lubińskim turnieju zaliczył Adam Wróbel z Góry. Trzeba jednak dodać, że ośmiolatek dopiero zaczyna swoją przygodę z badmintonem. – Gram od 5 miesięcy. Kolega mnie namówił i mi się spodobało. Sukcesów jeszcze za bardzo nie mam. Dzisiaj byłem ostatni, ale nie rezygnuję. Zaczęło mi dobrze iść i chociaż trochę mi było żal, jak mnie ograł mój przeciwnik, to i tak będę grał dalej – zapewnia Adam.

Lubimy odbijać...

O tym, że treningi najmłodszych to powinna być zabawa, wie każdy trener, ale rodzice, na których obecnie spadają praktycznie całe koszty rozwijania pasji dziecka, nie chcą tylko zabawy.

– Rodzice, którzy płacą za zajęcia i wyjazdy na turnieje, chcą wyników. Dzieci przychodzą się bawić, a dorośli często chcą, by jak najszybciej się nauczyły gry i wygrywały zawody. Są strasznie wymagający. Mają parcie na wynik. Wcześniej rodzice przyprowadzali dziecko do klubu, gdzie był trener, który wszystko ogarniał, jeździł na turnieje. Teraz przeważnie rodzice jeżdżą na zawody. Pojadą raz, dziecko przegrywa, nic się nie dzieje, ale gdy tak się kończy czwarty, piąty, szósty wyjazd, rodzice zaczynają się zastanawiać, po co wydają pieniądze – opowiada Zbigniew Jasiulewicz.

Wiktoria Rudzińska, która prowadzi Akademię Badmintona w Warszawie ze swoim mężem Janem Rudzińkim, wielokrotnym medalistą mistrzostw Polski i mistrzostw Europy, przyznaje, że nie ma stabilnego systemu szkolenia młodych zawodników. – System powinien działać tak, żeby trener był od trenowania, a rodzic od wspierania. Żeby przywoził dziecko na trening i o nic więcej się nie martwił – uważa trenerka. – Tymczasem teraz trenować badminton zaczyna masa dzieci, ale gdy dochodzą do wieku 13–14 lat, nie mają z kim grać na turniejach, bo na poziomie ogólnopolskim jest jeden czy dwóch takich zawodników. Przez to, że były turnieje wyłącznie krajowe, tacy zawodnicy nie mieli gdzie się sprawdzać. Gdyby były turnieje wojewódzkie, powiatowe – do czego, jak się dowiedziałam, prezes teraz chce wrócić – byłoby więcej okazji do rozwoju. Trener oceniałby zawodnika i decydował, czy jedzie on na turniej powiatowy, wojewódzki czy krajowy. Teraz jest jeden worek, zawsze najlepsi wygrywają, a reszta się frustruje.

Jak to zmienić? Zdaniem trenerów z Akademii Badmintona, trzeba dać dzieciakom czas. Wiktoria Rudzińska uważa, że nie należy kłaść nacisku na wielki wyczyn u zawodników w wieku lat 10 czy 12, bo oni łatwo mogą się spalić i w wieku lat 18 nie chcieć grać. Żeby tak mogło się stać, potrzeba więcej klubów, w których, co podkreśla Zbigniew Jasiulewicz, nie będzie brakowało trenerów na etacie. A potem niezbędny jest system przejścia z juniorów do seniorów, ale to już temat na inną opowieść.

Wróćmy jednak do pytania: dlaczego warto zachęcać do gry w badmintona najmłodszych? Dlatego, że korzyści jest wiele. Ten sport świetnie rozwija nie tylko ciało.

– Dzieci błyskawicznie uczą się liczyć. Poprawia im się refleks, szybkość i jeszcze jedno: badminton uczy radzenia sobie ze stresem. Przecież granie meczu singlowego, szczególnie na korcie, jest olbrzymim przeżyciem – mówi trenerka, która też trenowała od dzieciństwa – najpierw tenis, a już dorosłym życiu badminton. Jak przekonuje, to normalne, że początkowo gdy wychodzi się na kort, nerwy są tak duże, że ręka sztywnieje i człowiek nie jest w stanie zaserwować, nie mówiąc o grze. – Lekarstwo na to jest jedno: trzeba zagrać parę meczów, pojechać na kilka turniejów, żeby się w ogóle oswoić z koncepcją grania. Dzieci, które opanują taki stres, radzą sobie potem ze wszystkim.

Trener ma zawsze rację

Jacek Hankiewicz – świetny badmintonista, wielokrotny medalista mistrzostw Polski, uczestnik igrzysk olimpijskich w Barcelonie, trener, były trener kadry narodowej.

Jacek Hankiewicz to bardziej trener czy badmintonista?

Karierę zawodniczą skończyłem jako 30-latek po ciężkiej kontuzji. Już prawie 20 lat jestem trenerem. Prowadziłem kadrę Polski przez ostatnie 3,5 roku. Teraz prowadzę akademię badmintona pod szyldem Roberta Mateusiaka. Mamy w niej ponad 320 zawodników. Zdecydowanie bardziej jestem trenerem.

Wspomniał Pan o Robercie Mateusiaku. Widziałam rozmowę z nim w telewizji przed igrzyskami w Rio. Dziennikarka zapytała go o trenera, a on odpowiedział krótko: Jacek Hankiewicz. Gdy się zostaje trenerem swojego kolegi z kortu, trudno jest być dla niego autorytetem? Jest się wtedy bardziej szefem czy trenerem-kumplem?

Na pewno nie jest łatwo. Nie chodzi tylko o koleżeństwo. Robert przede wszystkim jest perfekcjonistą i trzeba ze wszystkim uważać, zawsze być dobrze przygotowanym, on zwraca uwagę na każdy szczegół. Oczywiście czasami to, że jesteśmy przyjaciółmi, w sytuacjach małych, nie powiem: spięć, ale niedociągnięć, trochę przeszkadza. Znamy się z kortu, razem trenowaliśmy, byliśmy w kadrze. On jest 10 lat młodszy ode mnie, ale gdy jechałem do Barcelony na igrzyska, już był w ośrodku i trenował z nami. Zawodnik, który zna bardzo dobrze trenera, pozwala sobie na więcej. To na pewno nie ułatwia pracy, ale wszystko jest do uregulowania. Zresztą, nie tylko Robert jest moim kolegą. Gdy zostałem trenerem, bardzo dobrze znałem się też z innymi zawodnikami – Przemkiem Wachą, Michałem Łogoszem. Byłem jeszcze zawodnikiem, gdy oni grali.

A teraz są nowymi trenerami kadry. I też pracują z ludźmi, z którymi jeszcze niedawno spotykali się na boisku. Ma Pan dla nich jakąś radę?

Na pewno od pierwszego dnia trzeba bardzo energicznie pokazać, gdzie jest granica i nie pozwolić jej przekraczać, obojętnie jakie będą tego konsekwencje. To jest, według mnie, najważniejsze. Niestety, na hali trener jest jeden, trener jest szefem i nawet jak się komuś coś nie podoba, musi słuchać trenera. Inaczej wszystko się rozwala.

Dużo swoich doświadczeń z Niemiec przenosi Pan na grunt polski?

Tak. Po przyjeździe starałem się bardzo wiele rzeczy przenosić. Mniej więcej po roku stwierdziłem, że nie da się wprowadzić wszystkiego, co bym chciał.

Dlaczego?

Z prostej przyczyny – mamy w Polsce całkowicie inną mentalność. Do tego stopnia, że zawodnicy robili wielkie oczy i mówili, że niektóre rzeczy są niemożliwe, nigdy nikt tak w Polsce nie robił.

Jakiś przykład?

Najprostszy: chciałem przenieść turnieje, które były organizowane w Niemczech. Tam trenerzy podczas zawodów spali na hali razem z zawodnikami. Tutaj wszyscy to wyśmiali. „Jak to mamy spać na hali?" A chodzi o oszczędności, których my potrzebujemy zdecydowanie bardziej aniżeli potrzebowali Niemcy. Tam podczas zgrupowań trenerzy i zawodnicy spali na materacach.

I korona im z głowy nie spadła...

A oszczędności były takie, że zamiast na jedno mogli wyjechać na kilka zgrupowań. Wiem, że potem niektóre kluby w Polsce, na przykład Bieruń, zaczęły w ten sposób organizować konsultacje. Stwierdzili, że oszczędności są spore, co przy małych budżetach klubów bardzo się liczy. Oczywiście, nie mówię, że to jest idealne rozwiązanie, ale Duńczycy, którzy brylują w Europie i są w czołówce światowej, jeżdżąc z młodymi zawodnikami, notorycznie stosują takie rozwiązanie, mimo że mają dużo pieniędzy. Nie chodzi jednak tylko o pieniądze, ale też o integrację, o to, że ma się wszystkich zawodników na oku. Wiadomo, że są też minusy – jeśli jedna osoba kaszle, to wszyscy to słyszą.

Ale przecież tak samo bywa na koloniach, obozach czy szkolnych wycieczkach.

Właśnie, ale może badmintonowe środowisko w Polsce jest specyficzne. Na kolonii dzieci śpią w klasie i rodzice nie mają nic przeciwko temu, bo wolą zapłacić, strzelam: 700 złotych a nie 1500. Jednak na zgrupowaniu już tak być nie może. Nie umiem tego wytłumaczyć. Po prostu jesteśmy takim narodem, lubimy narzekać, uważamy, że robimy dobrze i jak ktoś chce wprowadzić coś nowego, stawiamy opór. Przykładów jest więcej. Starałem się w trochę inny sposób podchodzić do zawodników, jak to robiłem w Niemczech. Luźniej i spokojniej.

I też się nie powiodło?

Nie. Tam luźniejsze traktowanie nie ma wpływu na autorytet trenera. Tutaj, gdy trochę poluzowałem, mój autorytet zaczął uciekać. W pewnym momencie okazało się, że trudno coś zmienić, bo zawodnicy zaczynają sobie za dużo pozwalać. Uważałem, że jeszcze nie przekroczyli granicy, okazało się, że jednak przekroczyli i zrobił się problem. To kolejna rzecz, której nie udało mi się przenieść. Nie wiem, od czego to jest uzależnione.

Powspominajmy. Największy Pana sukces jako zawodnika?

Igrzyska olimpijskie w Barcelonie, bez dwóch zdań. Pierwsze, na których był badminton. Zawsze powtarzam, że warto trenować 20 lat, żeby choć raz pojechać

na taką imprezę, stanąć na stadionie, mieć orzełka na klatce piersiowej i poczuć się Polakiem jeszcze bardziej niż zazwyczaj się czuje. To było ogromne wrażenie, zwłaszcza że grałem w tym czasie, kiedy na igrzyska przyjechały takie gwiazdy jak Michael Jordan czy Carl Luis. Byłem fanem tych zawodników, fanem Chicago Bulls. Całymi nocami oglądałem finały NBA z udziałem Michaela Jordana, a potem on stał 20 metrów obok mnie na stadionie. Miałem dreszcze z wrażenia. Nie da się tego przeliczyć na jakiekolwiek pieniądze czy inne turnieje. Zdecydowanie udział w igrzyskach to jest coś wyjątkowego, cała otoczka, wszyscy wielcy sportowcy w jednym miejscu, media, kibice, stadiony – tego nie da się porównać z żadną inną imprezą.

A wygrane mecze w Chinach?

Tak, gry z Chińczykami to też była wielka sprawa. Będąc w kadrze, jako pierwsi wyjeżdżaliśmy do Chin na dwa czy trzy kilkutygodniowe wyjazdy. To nie były jeszcze Chiny tak otwarte jak teraz, ale państwo komunistyczne z dyktatorem, więc ludzie tam patrzyli na nas jak na istoty spoza świata. Widzieliśmy bardzo dziwne sytuacje. Mieliśmy w grupie zawodnika blondyna. Pojechaliśmy do pewnej prowincji, gdzie ludzie chyba pierwszy raz widzieli człowieka z jasnymi włosami, więc gdy wchodziliśmy do sklepu, nagle zbiegało się tam 300 osób i wszyscy chcieli go złapać za włosy. To niejedyna zaskakująca dla nas sytuacja. Weszliśmy raz na wielki plac, gdzie na krzesłach siedzieli ludzie, a kobieta patykami czyściła im uszy. Szokowało nas też ubranie dzieci. Pieluchy wyglądały tak, że dziecko chcąc uwolnić się od swojej potrzeby, klękało i robiło swoje, bo spodnie na tyłku miało po prostu rozcięte. Niektóre obrazy stamtąd do dzisiaj mam przed oczami i zastanawiam się, jak ten kraj funkcjonował. Widocznie jednak te okoliczności czynią Chińczyków tak silnymi. Żyli w takich warunkach i nie potrzebowali dużo do szczęścia. A jeśli chodzi o nasze starty tam, to był pierwszy kontakt polskich badmintonistów z chińskimi zawodnikami. Udało nam się parę meczów wygrać, mnie również, i to w specyficznych warunkach. Na hali było po 2–3 stopnie Celsjusza, siedzieliśmy w kurtkach, czapkach, rękawiczkach, potem wchodziliśmy na boisko. Rakiety strzelały nam co chwilę. Trzy tysiące ludzi na widowni, którym leciała z ust para, gdy oddychali. Pamiętam, że objadaliśmy się cytrusami, których wtedy w Polsce brakowało. Przynosili nam ogromne torby mandarynek, więc jedliśmy ich tyle, że potem bolały nas brzuchy. Nie zapomnę wielu różnych sytuacji z czasów, gdy grałem. Potem wszystko przerwała kontuzja, zerwałem więzadła krzyżowe i już nie wróciłem do reprezentacji.

To, co Pan opowiada, pokazuje, że sport zmienia życie, jakkolwiek to banalnie brzmi.

Bez dwóch zdań. Sport zmienia życie, kształtuje charakter, staram się to cały czas przekazywać młodym zawodnikom. Powtarzam im, że tego, co się nauczą,

nikt im nie zabierze i że jak mocni będą w sporcie, potem tak mocni będą też w życiu. Powinniśmy się uczyć panować nad emocjami i wiedzieć, do czego je pozytywnie wykorzystać. Dla mnie sport i badminton stał się po pierwsze pasją, po drugie sposobem na życie. Jestem zadowolony, że nie muszę siedzieć w biurze i jeździć na delegacje, tylko mogę przekazywać młodszym zawodnikom to, czego się nauczyłem. Wciągnąłem w sport swoje dzieci. Zresztą moja żona też była na igrzyskach w Barcelonie jako zawodniczka* (wtedy jeszcze przyszła żona). Córka gra w badmintona, syn w piłkę nożną. Cieszę się, że wybrał coś innego.

Dlaczego?

Bo bardzo trudno jest trenować swoje dzieci, wiem to z własnego doświadczenia. Córka jest u nas w akademii, więc co chwilę mamy spięcia. Jeżeli chodzi o podejście do sportu, to jej wizja i moja często nie idą w parze.

Buntuje się?

Tak, tym bardziej że jest w buntowniczym wieku, ma 16 lat.

Kto wygrywa?

Tata musi wygrać. Cały czas jej tłumaczę, że obowiązują dwa punkty. Pierwszy: trener ma zawsze rację. Drugi: gdy trener nie ma racji, patrz punkt pierwszy. Nie mamy wielkich problemów, a rozbieżności zdań na korcie jakoś rozwiązujemy. Wiem, że nie działa już argument typu: „Jak ja byłem w twoim wieku..." Od razu słyszę: „Tak, tak, wiem, wtedy stały budki telefoniczne co dwa kilometry". Do każdego trzeba znaleźć indywidualną drogę.

Dużo talentów widzi Pan wśród młodych zawodników?

Na pewno widzę kilka takich osób, ale widzę też, jak współczesny świat przez komputery, komórki, tablety, itp. rzeczy odbiera dzieciakom dzieciństwo. Na obozie zabieramy zawodnikom telefony. dostają je na godzinę w ciągu dnia i mogą dzwonić. Oczywiście nikt nie dzwoni, wszyscy grają. Dzieciaki, które są utalentowane, mają bardzo dużo rozpraszaczy; rzeczy, które sprawiają im przyjemność i odciągają je od sportu. Potrafią się spóźnić na trening, ale po odbiór komórki nigdy. Wiadomo, że nie ma się co obrażać na to, jaki jest świat, ale na ile to możliwe, trzeba dzieci chronić i pokazywać im inne wzorce niż tylko siedzenie ze wzrokiem wbitym w telefon. Dlatego często czytam zawodnikom świetną książkę Dawida Piątkowskiego „Obsesja doskonałości" o motywacji, o tym jak jak jemu też się raz chciało, raz nie chciało, gdy miał 17 lat. Czytamy, dyskutujemy, staram się, by mówili o swoich marzeniach i wiedzieli, że aby je osiągnąć, muszą ciężko

---

* Beata (Syta) Hankiewicz – mistrzyni Polski w grze pojedynczej i podwójnej w roku 1990, sześciokrotna wicemistrzyni Polski w grze podwójnej, zdobyła też brązowe medale: dwa w grze pojedynczej i po jednym w podwójnej oraz mieszanej. Na igrzyskach olimpijskich w 1992 roku startowała w grze podwójnej w parze z Bożeną Haracz. Polki odpadły z rywalizacji po porażce w pierwszej rundzie z deblem z Indonezji.

pracować, że potrzebne są wyrzeczenia. Polecam tę książkę wszystkim, bo każdy z nas w niej jest i znajdzie tam coś dla siebie.

Na koniec: Pana największe trenerskie marzenie?

Zawsze to samo, czyli zdobycie medalu na igrzyskach olimpijskich. Byliśmy blisko w Rio, bo zajęliśmy 5. miejsce, czyli do wejścia do półfinału brakowało nam jednego meczu. Nie udało się. Teraz staram się przekonać młodych zawodników, że talent nie wystarczy, potrzebna jest ciężka praca. I jeszcze jedno – należy być optymistą. Nie można się skupiać na negatywnych emocjach, tylko każdego ranka myśleć, co można dziś zrobić, żeby być o krok bliżej spełnienia swojego marzenia. To jest trudne, bo ja widzę się z zawodnikami kilka godzin w tygodniu, a resztę czasu oni spędzają ze swoimi rodzicami, kolegami, znajomymi, a ludzie są różni, niektórzy bardzo dołujący – to wszystko nie ułatwia pracy. Czy przebiję się ze swoim głosem w gąszczu różnych innych, nie wiem, ale będę szczęśliwy, jeżeli chociaż niektórym pomogę odnaleźć ich drogę i sposób na życie.

Osiągnięcia, o których nawet nie marzyłem

Lech Szargiej – prezes Uczniowskiego Klubu Sportowego Hubal Białystok i Podlaskiego Okręgowego Związku Badmintona, działacz Polskiego Związku Badmintona.

Zanim porozmawiamy o Hubalu Białystok, proszę powiedzieć, jaki był Pana pierwszy kontakt z badmintonem.

Dobre pytanie! [śmiech] Był rok chyba 1991 albo 1992. Do Szkoły Podstawowej nr 32, gdzie byłem dyrektorem, przyszedł Czesław Szwabczyński, pracownik białostockiej elektrociepłowni. Usiadł u mnie w gabinecie i powiedział: „Panie dyrektorze, ja bym chciał u pana zrobić badminton". Zapytałem, jak on chce zrobić ten badminton, skoro nie mamy warunków. I w ogóle – co to jest badminton? A on na to: „Nigdy pan nie grał w kometkę?". To co innego, oczywiście znałem kometkę. Zapytałem więc, jakie ma kwalifikacje, bo te są potrzebne do pracy z dziećmi w szkole. Nauczyciel czy jakakolwiek inna osoba, która chciałaby pracować w szkole, musi mieć przygotowanie pedagogiczne plus wykształcenie kierunkowe. Powiedział, że jest tylko instruktorem badmintona. Nie pasowało mi to, ale w końcu mnie przekonał do tego badmintona. Przydzieliłem mu anioła stróża w postaci nauczyciela wychowania fizycznego i w małej salce gimnastycznej o wymiarach boiska do siatkówki wymalował zielony kort do badmintona. Przeszedł się po klasach trzecich w szkole, wybrał ośmioro dzieci (cztery dziewczyny i czterech chłopaków) – więcej nie zmieściłoby się na jednym korcie. I zaczął z nimi pracować. Po dwóch latach już miał medal w Mistrzostwach Miasta Białegostoku w Badmintonie. Od tego się zaczęło. W międzyczasie rozpoczęliśmy rozbudowę szkoły. W planie mieliśmy również salę gimnastyczną. Wtedy kuratoria dawały zgodę na sale gimnastyczne o zmniejszonych wymiarach – jeśli dobrze pamiętam: 14 na 24 metry. Byłoby za mało miejsca na korty, więc on tak długo chodził do kuratorium, aż projektanci zmienili projekt tak, żeby zrobić minimalną halę sportową o wymiarach 18 na 30 metrów. W 1995 roku oddaliśmy do użytku tę halę. Budowaliśmy ją za swoje pieniądze. Miasto, ani kuratorium, ani państwo nie pomagało. Budowaliśmy ją sami jako szkoła. Pod koniec maja 1995 roku jeszcze nie wszystko było zrobione, ale pan Szwabczyński już zorganizował pierwszy turniej asów. Sprowadził najlepszych polskich badmintonistów i rozegrał zawody w nowej hali. Boiska nie były jeszcze namalowane, więc powyklejał je taśmami na świeżutkim parkiecie. Tak to się zaczęło.

A potem mogło już być tylko lepiej...

Potem już było przyzwoicie.

Teraz Białystok święci triumfy, jest rewelacyjnym ośrodkiem, jeśli chodzi o badminton. W Hubalu grają czołowi zawodnicy, ale był trudny moment, kiedy brakowało pieniędzy i władze nie chciały słyszeć o szkole sportowej, a Pan myślał, że w ogóle nie będzie już prezesem...

Dwa razy składałem już dymisję, a nawet trzy razy. Wie pani, w pracy społecznej, czy charytatywnej, czy wolontariacie – jakkolwiek będziemy ją nazywać – ma się grupę fascynatów, którzy nie patrzą na swój czas i nie na to, czy dostaną pieniądze. I jeżeli taka grupa jest, to wszystko sprawnie działa, ale gdy ta grupa się wykruszy, pojawiają się problemy. Po prostu nie ma kto pracować. A ponieważ od razu zakładaliśmy, że klub ma być uczniowski, zatem pracujemy społecznie, a nie dla zysku, interesuje nas szeroko pojęta rekreacja. Jeżeli z rekreacji wyjdzie wyczyn, to będzie fajnie. Wyczyn wyszedł, tyle że w międzyczasie zostałem prawie sam w tej pracy. A samemu trudno jest poradzić sobie z klubem, który ma drużynę w ekstraklasie, dobrych czy nawet bardzo dobrych zawodników, liczących się w Pucharach Polski, zarówno w badmintonie, jak i narciarstwie. Pojawili się też łucznicy, tancerze... I w takim momencie zostałem sam, będąc dyrektorem dwóch szkół. Doraźna pomoc była prawie niezauważalna.

Jednak ostatecznie Pan został.

Ostatecznie zostałem. Nie przyjęto mojej dymisji, ale nadal nikt zdecydowanie nie chciał tego wozu ciągnąć ze mną. Postawiłem swoje warunki i jakoś się dogadaliśmy, bo prawdę mówiąc, nie trzeba było jakoś szczególnie dużo pomagać, wystarczyło pomagać z głową. I tak ciągniemy ten wózek już wspólnie.

Te momenty braku wsparcia czy inne wskazałby Pan jako najtrudniejsze chwile w pracy w badmintonie?

Moment, kiedy zostaje się samemu i wszyscy oczekują, że wszystko się im pozałatwia, a ludzie, którzy dotychczas współpracowali, przestają być społecznikami i stają się konsumentami jest najtrudniejszy dla prezesa klubu. Natomiast w międzyczasie były również problemy finansowe. Wynikały z tego, że samorząd, który może dofinansowywać czy wspomagać zadania związane z kulturą fizyczną, nie chce tego robić, bo nie musi. Większość samorządowców rozumie, że to jest ich statutowy obowiązek, ale nie wszyscy. Był czas, kiedy zabrano nam 90 tysięcy złotych dofinansowania na szkolenie dzieci i młodzieży. To był bardzo duży i poważny powód, by odejść, ale poradziliśmy sobie.

Bo pieniądze zawsze da się załatwić, natomiast jak zabraknie ludzi do pracy, to jest większy problem.

Tak, bez ludzi jest gorzej. Początki Hubala to przede wszystkim praca trenera Szwabczyńskiego, który bardzo szybko skaperował do siebie drugą osobę do pomocy, bo nie podobał mu się anioł stróż ze szkoły, bo był nauczycielem, ale nie trenerem. Należało więc wyznaczyć człowieka, który byłby i instruktorem,

i nauczycielem. Czesław Szwabczyński bardzo szybko znalazł kogoś takiego. To był Waldemar Grzegorzewski, mający troje dzieci grających w badmintona. Oni we dwóch prowadzili tę sekcję przez wiele lat. Mieli możliwość zorganizowania pięciu treningów w tygodniu po dwie godziny lekcyjne. To musiało wystarczyć, bo hala była zajęta na inne potrzeby szkolne. I proszę sobie wyobrazić, że przy tych pięciu dwugodzinnych treningach potrafili wychować wielu znakomitych badmintonistów grających do dzisiaj. To jest dobrze działający model trenerski. Bez względu na to, czy trener jest wysokiej klasy czy niskiej, jeżeli pracują we dwójkę, to jeden drugiego wspiera, motywuje i pomaga. I to daje efekty. W ten sposób można prowadzić naprawdę bardzo dobrych badmintonistów, grających na wysokim poziomie. Razem można ich czegoś nauczyć. Niestety, najczęściej jest tak, że gdy szkoleniowiec znajdzie utalentowanego zawodnika na poziomie 3–4 klasy szkoły podstawowej, który z czasem zaczyna wygrywać krajowe zawody i zdobywa medale na mistrzostwach Polski młodzika młodszego, trener uważa, że jest wielki i że powinien prowadzić tego zawodnika do końca życia i może jeszcze o jeden dzień dłużej. Tymczasem tak nie jest. Tyle że bardzo trudno przekonać młodych trenerów czy młodych instruktorów do współpracy z innymi. Jednak my ten temat mamy już za sobą i wiemy, jak należy pracować.

Czterdziestolecie Polskiego Związku Badmintona to dobra okazja, by mówić przede wszystkim o sukcesach. Z czego jest Pan najbardziej dumny, jeśli chodzi o badminton?

Nigdy sobie nie wyobrażałem, żeby drużyna uczniowskiego klubu sportowego mogła grać w ekstraklasie. Byliśmy pierwsi w Polsce, którzy zagrali w ekstraklasie i najciekawsze, że zdobyliśmy parę medali. To jest chyba taki sukces, który przerósł moje najśmielsze oczekiwania. A największy to oczywiście dwa 5. miejsca na igrzyskach olimpijskich Roberta i Nadii, złoty ich medal w mistrzostwach Europy. Myślę, że pierwsze miejsce przez tydzień czy nawet osiem dni na światowych listach rankingowych w grze mieszanej to też jest ogromne osiągnięcie.

O którym nawet Pan nie marzył?

Tak, nawet nie marzyłem, a okazuje się, że jednak można.

Gdy patrzy Pan z perspektywy swojego podwórka na polski badminton, jakie perspektywy Pan widzi? Jest szansa na medal olimpijski?

Obserwuję wszystkich młodych zawodników w Polsce. Przede wszystkim patrzę na hubalczyków czy białostoczan, którzy wywodzą się z małej populacji. Do klasy sportowej trafia dwadzieścioro dzieciaków. Dziesięciu gra w badmintona, a dziesięciu jeździ na nartach. Ta dziesiątka niekoniecznie jest wyselekcjonowana tak, jak by się chciało – często przyjmujemy chętnych, a ci nie zawsze są utalentowani. I jeżeli w takiej małej grupie pojawia jakiś medalista mistrzostw Polski, to jest to ogromne osiągnięcie. Natomiast gdy patrzę ze

swojej perspektywy na całą Polskę, to widzę, że w ostatnim czasie pojawiła się grupka fajnych dzieciaków. Mają po 17–20 lat i duże talenty. Myślę, że ktoś z nich może zdobyć medal olimpijski, jeżeli Polski Związek Badmintona mądrze poprowadzi szkolenie. Na razie tej mądrości, niestety, nie widzę, ale mam nadzieję, że Przemysław Wacha i Michał Łogosz to jest świeża krew. Może inaczej, mądrzej podejdą do treningu i nie zmarnują ich potencjału. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że potrzeba nam azjatyckiej myśli trenerskiej albo duńskiej czy angielskiej. Trudno powiedzieć, której dokładnie, na pewno innej niż nasza. Przydałoby się, by ktoś z zewnątrz popatrzył na możliwości polskiego sportu, polskiego badmintona i podpowiedział, co z tego da się zrobić. Przede wszystkim trzeba szukać, szukać i jeszcze raz szukać talentów, które będą spełniały określone wzorce, określony model polskiego badmintonisty. Ktoś kiedyś głośno mówił, że najwyższy czas opracować taki model. Na razie jednak nikt nie jest w stanie tego dokonać. Trzeba więc korzystać ze światowych osiągnięć. Określić, jakie kryteria powinno się spełniać, żeby zostać wielkim sportowcem. A potem pomagać utalentowanym zawodnikom rozwijać talent i wspierać ich, by chcieli być tymi wielkimi sportowcami. Praca jest niezwykle ważna, bo nawet z najbardziej zdolnego nieroba nic nie zrobimy. U nas najczęściej jest tak, że do pewnego momentu się pracuje, a potem patrzy się, czy będą ze sportu korzyści, pieniądze. Do akcji często wkraczają mamusie, tatusiowie, ludzie oczekujący efektów finansowych i wszystko psują. Młody człowiek w wieku 19 czy 20 lat przestaje się rozwijać, bo tylko patrzy, by jechać na turniej i zarobić parę groszy. Nie na tym sztuka polega. Kolejna rzecz to mentalność. Ją bardzo trudno zmienić. Czy się uda? Nie wiem. Wierzę w to, że Łogosz i Wacha wiedzą, na czym polega sukces sportowy i że tym, których mają w tej chwili pod opieką, wbiją do głowy, że bez pracy, bez pełnego zaangażowania, bez poświęcenia się dyscyplinie, bez sportowego trybu życia nie będzie szansy nawet pojechać na igrzyska olimpijskie, nie mówiąc już o zdobyciu medalu.

Sportowiec powinien myśleć cały czas o celu i nie rozpraszać umysłu?

Tak. Trzeba jednak pamiętać również, że alternatywą dla profesjonalnego, zawodowego uprawiania sportu jest kwit na rozum. Tylko bardzo inteligentne jednostki mogą osiągnąć sukces. Te, które rozumieją to wszystko. Zatem nie można robić tak, jak to jest w Azji, że liczy się tylko i wyłącznie trening. Tam się nie myśli, co dzieciak, który trenuje, będzie robił później, gdy przestanie trenować albo gdy złapie kontuzję. Ja wyznaję zasadę, że bardzo dobry zawodowy sportowiec musi również mieć kwit na rozum. I szansą w momencie odpoczynku czy relaksu powinna być nauka. Zawodnicy poza treningiem powinni mieć drugą pasję i zdobyć jakiś zawód. Niestety, jestem jedynym albo jednym z niewielu prezesów klubu

sportowego, który tak myśli. Bez względu na to kim są moi sportowcy – badmintonistami, narciarzami, łucznikami czy tancerzami – motywuję ich i pilnuję do drugiego roku studiów włącznie. Potem muszą radzić sobie sami.

Kwit na rozum – bardzo dobra puenta.

Zatrzymany przez Achillesa

Michał Łogosz jest jednym z najlepszych polskich badmintonistów. Jego karierę sportową nagle przerwała dramatyczna kontuzja. Podczas igrzysk olimpijskich w Londynie w 2012 roku zerwane ścięgno Achillesa sprawiło, że on i jego deblowy partner Adam Cwalina musieli przerwać udział w zawodach. Łogosz pogodził się z myślą, że na kolejnych igrzyskach już nie wystartuje. Co nie znaczy, że nie pojedzie na nie i nie przyczyni się do zdobycia medalu. Od maja 2017 roku pełni bowiem wspólnie z Przemysławem Wachą funkcję trenera kadry narodowej elity.

Przygodę z badmintonem, jak wielu świetnych zawodników, Michał Łogosz rozpoczął w szkole podstawowej na lekcjach wychowania fizycznego. Urodzony w 1977 roku w Płocku pierwsze sportowe sukcesy zdobywał w tenisie stołowym. Zaczął grać jako 7-latek i trenował cztery lata. Był przekonany, że tenis stołowy to jego największa pasja. Wszystko się jednak zmieniło, gdy jego trener musiał wyjechać. Do pracy w klubie przyszedł nowy szkoleniowiec, Piotr Byttner. Człowiek z pasją, tyle że szkolił w innej dyscyplinie. Dziesięcioletni chłopak nie zachwycił się badmintonem od razu. Po latach wspomina, że nowy trener musiał go trochę namawiać do innej dyscypliny, nawet kilka razy odwiedził jego rodziców i przekonywał, że chłopak ma talent i powinien ćwiczyć. W końcu wszystko zagrało i cztery lata później Michał Łogosz grał już w badmintonowej kadrze narodowej juniorów. Od tamtej pory całe jego życie związane jest z tym pięknym sportem, jak mówi o badmintonie. Kilkakrotnie zmieniał barwy klubowe, od 2001 roku reprezentuje SKB Litpol-Malow Suwałki.

Najpierw odnosił sukcesy juniorskie, potem seniorskie. Sześć razy zdobył mistrzostwo Polski w grze pojedynczej i 15-krotnie w grze podwójnej. Ma też 13 srebrnych i 8 brązowych medali MP. Zresztą, powtarza często, że interesuje go tylko debel. Największe osiągnięcia związane z grą podwójną odnosił w parze z Robertem Mateusiakiem. Razem zdobyli cztery brązowe medale mistrzostw Europy: w Glasgow (2000), Malmoe (2002), Uppsali (2004) i Dan Bosch (2006). Z mistrzostw Europy w Hernin w 2008 Michał Łogosz przywiózł brąz w grze mieszanej w parze z Nadieżdą Kostiuczyk. W duecie z Mateusiakiem wywalczył też dwukrotnie tytuł międzynarodowego mistrza Polski – w latach 1999 i 2003.

Czterokrotnie reprezentował Polskę na igrzyskach olimpijskich. W Sydney w 2000 roku Michał Łogosz i Robert Mateusiak zatrzymali się na 1/8 finału, zajmując 9. miejsce. Cztery lata później w Atenach duet zakończył udział

w najważniejszej sportowej imprezie na tym samym etapie. Najlepszy wynik olimpijski para ta osiągnęła w 2008 roku w Pekinie. W grze podwójnej mężczyzn zajęła 5. miejsce ex aequo z Malezyjczykami. Nie wiadomo, jak ostatecznie zawodnik z Płocka wypadłby na swoich ostatnich igrzyskach w Londynie w 2012 roku, gdzie grał w parze z Adamem Cwaliną. Obaj mieli duże ambicje i nadzieje na dobre występy. Niestety, przeszkodziła im kontuzja Michała Łogosza. Zerwane ścięgno Achillesa zakończyło nie tylko olimpijskie występy, ale karierę sportową badmintonisty.

Po kilku miesiącach intensywnej rehabilitacji, ambitny i bardzo pracowity zawodnik na krótko wrócił na kort, jednak o dawnych wynikach i formie sprzed kontuzji nie było już mowy. Załamanie nie byłoby jednak w jego stylu. Pogodził się z losem i szybko postawił na trenerstwo. Jego historia wzruszyła firmę Adidas, która zaproponowała, by został jej ambasadorem w Polsce. Nagrali wspólnie wzruszający spot reklamowy o znamiennym tytule: „You fall to become stronger" („Upadasz, by stać się silniejszym").

Michał Łogosz – jeden z najlepszych polskich badmintonistów, wielokrotny mistrz Polski, medalista mistrzostw Europy, czterokrotnie reprezentował Polskę na igrzyskach olimpijskich, obecnie trener kadry narodowej elity.

Powołanie na trenera kadry narodowej seniorów to duże wyzwanie?

Bardzo duże. I ogromna nobilitacja dla mnie. Po zakończeniu przygody ze sportem zawodniczym od razu założyłem swoją akademię badmintona i zacząłem pracować jako trener i organizator. Chciałem zajmować się tym sportem. Dostałem od Polskiego Związku Badmintona możliwość prowadzenia reprezentacji Polski. To wielka przyjemność, ale też ogromna odpowiedzialność i wielkie wyzwanie. Wspaniale, że mogę to robić! Trwa to już czwarty miesiąc, moje zaangażowanie jest (tak mi się wydaje) równie wielkie jak pierwszego dnia; zawodników – tak samo. Na razie wszystko idzie zgodnie z planem i wszyscy są zadowoleni.

Jaki cel Pan postawił sobie jako trener kadry narodowej?

Najważniejszy cel krótkoterminowy to mistrzostwa świata, które zostaną rozegrane za trzy tygodnie i mistrzostwa Europy, które mamy za rok. Zależy mi, żeby młodzi ludzie, z których składa się kadra, podnieśli swój poziom tak pod względem technicznym, jak taktycznym i fizycznym. Myślę, że tak się stanie, jeśli miałbym szansę prowadzić ich jeszcze przez 2–4 lata. Drzemie w nich ogromny potencjał. Oczywiście to dotyczy wszystkich, którzy są w reprezentacji, młodych i doświadczonych zawodników. Ważne, by jak najlepiej wykorzystać ich doświadczenie. Oni cały czas normalnie trenują i mają szanse na bardzo dobre wyniki na arenie światowej. Uwagę skupiam jednak głównie na młodych ludziach, którzy

niedawno trafili do ośrodka. Moim celem jest, by znaleźli się w czołówce europejskiej albo nawet pukali do drzwi światowej. Szansa jest ogromna, bo dostaję naprawdę zdolnych zawodników i zaufanie Związku. Czeka nas więc spokojna praca – oczywiście bardzo wymagająca, ale spokojna, systematyczna, konsekwentna.

Nie przyszedłem, żeby coś ratować i np. w ciągu 3–4 miesięcy dokonać cudu, ale żeby właśnie spokojnie pracować i pozwolić młodym zawodnikom się rozwijać. Zrobię wszystko, co w mojej mocy i jestem pewny, że nie zabraknie mi determinacji i zaangażowania. O to się nie martwię. Moim największym marzeniem jest to, żeby zawodnicy, którzy mają teraz 18 lat, a za 7 będą mieć 25 lat (to optymalny wiek dla badmintonisty), zdobywali regularnie medale na mistrzostwach Europy i skutecznie walczyli o laury na igrzyskach olimpijskich – tak, jak my to robiliśmy kilka lat temu. Ocieraliśmy się o najwyższe laury. Chciałbym nie tylko to powtórzyć, ale też zrobić krok do przodu. Zależy mi na tym, żeby polski badminton wrócił do elity europejskiej i światowej. Wierzę, że to się uda, bo sam przez to przechodziłem, byłem bardzo blisko... Wiem, jak niewiele mi zabrakło do medalu na igrzyskach. Celem długoterminowym są natomiast medale na najważniejszych turniejach mistrzowskich, głównie na igrzyskach olimpijskich.

Bardzo ambitne plany... Co może przeszkodzić w ich realizacji?

Najbardziej boję się poważnych kontuzji zawodników, bo obciążenia związane z intensywnym treningiem naprawdę są ekstremalnie duże. To dla nas tym ważniejsze, że nie mamy tak wielu zawodników w reprezentacji jak najsilniejsi rywale. Np. w kadrze Indonezji jest 80–90 świetnych badmintonistów. Oni mają większy wybór. My mamy wąską elitę składającą się z około 20 zawodników w każdej grze (w singlu, deblu i mikście). Musimy więc na nich chuchać i dmuchać.

A pod względem organizacyjnym?

Widzę przestrzeń dla pracy Polskiego Związku Badmintona, który już wykonuje dobrą robotę – żeby młodzież, która do nas trafia, była coraz lepsza, żebyśmy my, trenerzy kadry, dostawali naprawdę dobrych zawodników – w pełni ukształtowanych i żebyśmy mogli już inaczej z nimi pracować. Mam nadzieję, że cały system szkolenia zawodników zmienia się i idzie w odpowiednim kierunku, dzięki czemu będziemy „produkowali" – że tak powiem nieładnie – badmintonistów na najwyższym poziomie. Mieliśmy teraz juniorów, którzy zdobywali medale na mistrzostwach Europy. Oni przejdą do grona seniorów – są w przejściowym okresie, gdy trzeba bardzo ciężko pracować. Co do tego jednak nie mam obaw. Boję się, jak już mówiłem, takich rzeczy, na które nie mam wpływu, jak urazy, kontuzje. Mam nadzieję, że Polskiemu Związkowi Badmintona nie zabraknie środków na finansowanie wszystkich projektów. Nie mamy jakichś wielkich wymagań, ale wiem, że pieniądze są w sporcie strasznie ważne. Jeśli ich brakuje, nie można

zrealizować wszystkich zadań. Oczywiście teraz mamy wszechstronną pomoc: fizjoterapeutów, psychologa, fizjologa – niczego nam nie brakuje. Życzę sobie, by funkcjonowało to nadal tak, jak teraz. Poza tym bardzo odważnie podchodzę do sprawy – czuję się pewnie. Zresztą, w tej dziedzinie trzeba mieć dużo pewności siebie i wierzyć w to, co się robi. Jako zawodnik wierzyłem w cuda i czasem one się zdarzały, więc myślę, że to jest mój atut. W sporcie każdy powinien być nieco krnąbrny i pewny siebie w dobrym tego słowa znaczeniu. Przeszkody są po to, żeby je rozwiązywać. Pewnie one też się pojawią nie raz i nie dwa, ale będziemy sobie z nimi radzili najlepiej, jak potrafimy. Podsumowując, patrzę w przyszłość bardzo optymistycznie.

Ma Pan swój wzór trenera, kogoś, na kim się Pan wzoruje?

Pracowałem z wieloma dobrymi trenerami – zarówno polskimi, jak i spoza naszego kraju – z Europy i Azji, w tym z Chińczykami. Mam taki model trenera, który sobie sam zbudowałem i on ma cechy różnych trenerów, z którymi się zetknąłem. Mam też własną wizję tego, co mam robić. Składa się na nią doświadczenie zbierane na wielu zgrupowaniach, z różnymi kadrami. Każdy trener, z którym pracowałem w Polsce, miał coś, co można wykorzystać. Byli oczywiście lepsi i gorsi, każdy miał swoją koncepcję (wiele ich poznałem), każdy promował różne rozwiązania taktyczne i techniczne. Ja staram się mieć własny sznyt zbudowany na tych doświadczeniach. Korzystam z tego, czego się nauczyłem u innych – nie staram się wymyślić wszystkiego na nowo. Mówiąc krótko: mam swój model trenera, jakim chciałbym być, ale korzystam z doświadczeń tych, z którymi pracowałem w przeszłości.

Rozmawiamy przy okazji 40-lecia Polskiego Związku Badmintona. Musimy więc też trochę powspominać. Nie od pierwszej chwili pokochał Pan tę dyscyplinę.

To prawda, nie od razu. Uprawiałem tenis stołowy – już jako 7-latek, o ile pamiętam. Lubiłem ten sport, nawet nieźle mi szło, ale sekcja została rozwiązana. Kazano nam (trochę inne to były czasy niż dzisiaj) odtąd grać w badmintona. I bez dyskusji! Oczywiście był wielki bunt, tak samo byłoby, gdyby po czterech latach grania w badmintona ktoś przyszedł do mnie i powiedział: „Teraz masz grać w koszykówkę". Dzisiaj to jest nie do pomyślenia... Ale z perspektywy czasu mogę powiedzieć, że w moim przypadku dobrze się stało. Trochę się na początku męczyłem z tym badmintonem, ale mój nauczyciel był pod pewnymi względami fenomenalny dla mnie jako sportowca, choć niektórych jego cech nie chciałbym przejmować. Pilnował mnie bardzo. Nie ma już takich ludzi, którzy potrafią o 6. rano trenować dzieci, iść do ich rodziców, żeby zmusić małych zawodników do wstawania z łóżka, żeby uprawiali sport. Oczywiście, niektóre jego metody nie były idealne – ja akurat dałem radę, ale nie wszyscy je wytrzymywali: on był dość srogi, ostry dla ludzi, szorstki. Mnie to nie przeszkadzało. Piotr Byttner – to on

rozwinął mnie jako sportowca. Jego podejście było niezwykłe – nie patrzył na niepowodzenia, szedł jak burza, nie odpuszczał. Myśmy się bali nie przyjść na trening, ale dzięki temu już jako 15-letni zawodnik miałem świadomość, że sam muszę iść pobiegać. Nikt mnie nie musiał pilnować. Teraz czasy się zmieniają – trzeba zawodników często pilnować. Nie mam na myśli tych z kadry, których trenuję, bo to są bardzo świadomi ludzie, ale to, co się dzieje w klubach. Obserwuję, jakie tam teraz działają rozpraszacze. Wiem, że taka twarda postawa trenera przed laty bardzo mi pomogła. Tych pierwszych 5–6 lat treningu z tamtym człowiekiem dało mi podstawy. Oczywiście, to muszę podkreślić, to była osoba robiąca wszystko bezinteresownie – prawdziwy pasjonat. Pewne jego cechy próbuję przejąć. Potem był trener Borek, Dołhan i inni... Było też sporo Azjatów, trochę też pracowaliśmy z trenerami z Anglii i z Danii. Nazbierało się tego sporo i teraz z Przemkiem próbujemy to przełożyć tak, żeby kadra miała jak najlepsze warunki do treningu na jak najwyższym poziomie.

Po wielu latach gry nazbierało się Pana zawodniczym życiu wiele szczególnych chwil. Czy może Pan wskazać jakiś mecz, set, jakieś zagranie, które szczególnie zapadły w pamięć?

Oczywiście, że takie są! Teraz muszę sobie taką chwilę wydobyć z pamięci – to był dla mnie taki szok, że ostatniej lotki tego spotkania nawet nie zapamiętałem dobrze! Miałem wtedy 21 lat. To był mecz o pierwszy w historii medal mistrzostw Europy w Glasgow w Szkocji. Grałem w parze z Robertem Mateusiakiem i ograliśmy numer 1 na świecie, Duńczyków. To była sensacja światowej rangi, mecz, który przełamał stereotyp, że Polska to kraj badmintonowy wyłącznie do bicia. Potem najwięksi zaczęli nas szanować i zapraszać do siebie. My natomiast poznaliśmy swoją wartość. To był przełomowy mecz. W tamtej chwili weszliśmy do czołówki i praktycznie do momentu, gdy przestaliśmy grać, nie wyszliśmy z niej. To był dokładnie mecz o półfinał, czyli przynajmniej brązowy medal mistrzostw Europy – bardzo ciężki, bardzo wyrównany, wynik był na styk – mieliśmy dwa punkty przewagi po 90 minutach walki. Ja byłem wtedy młodym chłopakiem.

Ale są też inne takie momenty, jak choćby ten, gdy graliśmy wspaniały pojedynek z mistrzami olimpijskimi, zdobywcami mistrzostwa świata. Pamiętam też oczywiście bolesne porażki, ale z tych starałem się zawsze wyciągać pozytywne wnioski. Na ostatnich igrzyskach dopadła mnie kontuzja ścięgna Achillesa. Stało się – nie miałem na to wpływu. Ryzyko, że coś złego się wydarzy, jak się uprawia sport wyczynowy, jest zawsze duże. Ale z perspektywy czasu mogę powiedzieć, że więcej było fajnych rzeczy. To była naprawdę wspaniała przygoda!

Nie chcę Pana zamęczać pytaniami o kontuzję w Londynie, ale wzruszyłam się do łez, oglądając spot reklamowy „Upadasz, by stać się silniejszym". Znakomity jest!

Mówiąc między nami, to wpadłem na taki pomysł po paru latach. Postanowiłem coś takiego zrobić, bo chciałem podsumować tę całą moją przygodę z badmintonem, ze sportem.

Ten spot pokazuje coś, co może być przekonujące dla innych, jako wzór postawy sportowca. W pierwszej chwili wydawało się, że to koniec, wielka tragedia, ale Pan przecież niewiarygodnie szybko (co podkreślają nawet lekarze) wrócił do sportu.

Wie pani, stało się – oczywiście, że było mi z tym źle, że było mi przykro. Chciałem przecież, żeby to wszystko inaczej wyglądało... Ale na drugi dzień wstałem i myślałem, co tu zrobić, żeby jak najszybciej wrócić do normalnego życia, do grania. Życie pisze takie scenariusze, jakie pisze – dzisiaj staram się tamte chwile tłumaczyć tak, że ludziom zdarzają się znacznie gorsze rzeczy niż mi wtedy. Ja mam sobie z tym radzić: mam rodzinę, świetne dzieci, mam wszystko, co potrzebne, by być szczęśliwym człowiekiem. Stało się, nie można mieć wszystkiego. Może to zdarzenie miało jakiś ukryty cel? Zacząłem się realizować w innych sprawach. Już miałem 36 lat, więc to była i tak końcówka mojej sportowej przygody. Mogło się to wszystko inaczej skończyć, ale... Tak naprawdę już tego nie pamiętam zbyt dobrze.

Szansa na medal ciągle jest: w roli trenera.

To powiedziałem wyraźnie już na początku: chciałbym, żeby moi zawodnicy zdeklasowali mnie pod względem sportowych osiągnięć! Żeby osiągali znacznie większe sukcesy – oczywiście krok po kroczku. Szansę na medal oczywiście ciągle mam – mogę się przecież zrealizować jako trener. Tylko nie chcę, by tak to wyglądało, że nie zrealizowałem się jako sportowiec, więc teraz zrealizuję się jako trener. To nie tak – czuję się człowiekiem sportowo zrealizowanym jak na możliwości, które mieliśmy wtedy, gdy grałem. Mogło być oczywiście lepiej, ale mogło też być znacznie gorzej. Wiem, jakie błędy popełniłem, jestem bogatszy o tę wiedzę. Nie ma co narzekać. Na razie oczywiście jestem początkującym, niespełnionym trenerem, ale liczę na to, że jak się spotkamy za pięć lat, inaczej będziemy mogli rozmawiać.

Nie obrażam się za kontrowersyjność

Marek Idzikowski – znawca tematyki sędziowskiej i regulaminowej, specjalista do spraw współzawodnictwa sportowego w Polskim Związku Badmintona.

Gdy się myśli: regulaminy, przepisy, otoczka prawna, sędziowanie, to Pana nazwisko jest pierwsze, które się z nimi kojarzy.

Słusznie. Wcale się tego nie wypieram.

Gdy powstał Polski Związek Badmintona, trzeba było wszystkie przepisy stworzyć od zera. Na czym się Pan wzorował, pisząc regulaminy?
Zanim odpowiem na to pytanie... Jest taka książka...

„Historia badmintona w Polsce" Andrzeja Szalewicza?

Tak jest. Dokładnie. To jest kopalnia wiedzy o początkach. Na czym się wzorowałem? Polski Związek powstał z TKKF-u, więc faktycznie trzeba było stworzyć wszystkie regulaminy. Przede wszystkim sprawdzaliśmy to, co było w TKKF-ie – co było dobre, a co wymagało poprawki, bo okazało się amatorskie, nieprofesjonalne. W zamian należało sformułować profesjonalne zapisy, takie jakie mają inne polskie związki sportowe. Dookoła głęboki PRL, co nie ułatwiało zadania. Próbowaliśmy znaleźć sensowne rozwiązania w innych związkach, które już wtedy działały – tenis, tenis stołowy i temu podobne dyscypliny. Próbowaliśmy podejrzeć, co się u nich dzieje. Oprócz tego każdy z nas miał swoje przemyślenia, własny rozum i wiedzieliśmy, co w TKKF-ie działało, a co trzeba było udoskonalić.

Dużo z opracowanych wtedy ustaleń trzeba było potem zmieniać? Czy to była od razu droga, którą z drobnymi zmianami Polski Związek Badmintona nadal podąża?

Zmieniało się wiele i bardzo często. Z reguły w początkowym okresie co kadencję. To nie jest złe, dlatego że życie szło naprzód. Badminton z dyscypliny podwórkowej stawał się olimpijską. I co kadencję następowały zmiany w kierunku coraz większego profesjonalizmu. Przy czym, nie wszystkim się to podobało i do tej pory się nie podoba. Niektórzy po prostu nie lubią profesjonalizmu, uważają, że są męczennikami kometki, gdy muszą coś zrobić profesjonalnie. Tym niemniej konsekwentnie, małymi kroczkami udoskonalaliśmy przepisy. Przyznam, że w tej chwili po czterdziestu latach, jeżeli jakaś ważna impreza nie spełnia pod jakimiś względami standardów, to ludzie są bardzo niezadowoleni, że poziom organizacyjny turnieju nie jest taki, jaki powinien być i na jaki badminton zasługuje. Systematycznie, małymi kroczkami doprowadziliśmy do tego, że przynajmniej najważniejsze imprezy są na profesjonalnym poziomie.

Często zdarzają się „trzęsienia ziemi" pod wpływem zmian w europejskim czy światowym badmintonie, po których trzeba wszystko zmieniać?

Powiem tak: światowy badminton też nie ma co robić i wymyśla różne rzeczy, przy czym niektóre są bardziej a niektóre mniej udane. Bardzo często Światowa Federacja Badmintona eksperymentuje. Jedną z takich poważnych zmian, które nastąpiły w ciągu czterdziestu lat, jest zmiana systemu punktowania gry. Kiedyś mężczyźni grali do piętnastu w singlach, kobiety do jedenastu i zdobywało się punkty tylko z własnego serwu. Taki mecz trwał niesamowicie długo, godzinami i do niczego dobrego to nie prowadziło. Generalną rewolucją, którą wprowadzono, był system dwudziestojednopunktowy, setowy. Teraz każda wymiana przynosi punkt. I to jest najważniejsza przełomowa zmiana. Oczywiście, był też szereg różnych drobniejszych, ale ta jest najważniejsza. Sprawiła, że badminton stał się bardziej telewizyjny – sety są krótsze, przerwy na reklamy i tak dalej.

Pomówmy o sędziowaniu. Nie da się wszystkiego ująć przepisami, nie da się wszystkiego przewidzieć. Czy dużo jest sytuacji tak zwanych kontrowersyjnych, które wymagają rozstrzygnięcia na poziomie najwyższych władz sędziowskich w Polskim Związku Badmintona?

Nie. Akurat badminton jest stosunkowo łatwym sportem do sędziowania. Przepisy dosyć dokładnie określają sytuacje i co z nimi trzeba robić. Margines oceny, interpretacji tego, co się zdarzyło na boisku przez sędziego prowadzącego jest nieduży. Aczkolwiek istnieje. Ale problemów nie ma. To jest mierzalny sport. Nie ma oceny artystycznej ani niczego takiego. W badmintonie wszystko, albo prawie wszystko można zbadać, zmierzyć i tak dalej. Tym bardziej że technologia mocno się rozwinęła i teraz już na najlepszym, światowym poziomie jest ona używana do pomocy. Wszelkie doraźnie kontrowersyjne sprawy zostają rozstrzygane przy pomocy najnowszej technologii.

Pamięta Pan sytuacje na korcie, po których nastąpiła zmiana przepisów?

Trudno powiedzieć. Chociaż był taki przypadek. Istotna zmiana przepisów polegała na tym, że przy serwie lotkę należy uderzyć w podstawę, czyli w korek, jeżeli chodzi o lotkę piórową.

Dlaczego?

Dlatego, że jak tego przepisu nie było, to kombinatorzy serwowali po piórach i lot lotki był tak losowy, że przeciwnik w ogóle nie wiedział, co z nią zrobić. To jest najbardziej spektakularny przykład.

Nadal Pan gra? Grywa w turniejach?

Zależy od okoliczności. Oczywiście, ma pani rację. Grywam. Dopóki zdrowie pozwala i okoliczności, to chociażby dla zdrowia trzeba się ruszać.

Jednak przede wszystkim jest Pan sędzią. Gdy Pan jest na boisku i gra mecz, myśli Pan bardziej jak zawodnik, czy jak sędzia?

To jest pewne nieporozumienie. Ja od wielu lat nie jestem sędzią prowadzącym. Zakończyłem sędziowanie prowadzące kilkadziesiąt lat temu. Natomiast jestem sędzią głównym i liniowym, więc nie wczuwam się w rolę sędziego prowadzącego. Powiem więcej, nawet nie jestem już ekspertem – w ścisłym tego słowa znaczeniu – od funkcji sędziego prowadzącego. Natomiast ma pani rację, jeżeli jest się na boisku, to jakoś podświadomie nawet, obserwuje się, jak sędzia prowadzący daje sobie radę. Ale tylko na zasadzie luźnego myślenia bez żadnych awantur czy incydentów.

Proszę się nie obrazić, ale muszę o to zapytać. W wielu artykułach albo rozmowach przeczytałam czy usłyszałam: „Marek Idzikowski bardzo ważna postać w Polskim Związku Badmintona, ale... kontrowersyjna, podejmująca decyzje autokratycznie". Faktycznie często się z Panem spierają? Jest Pan kontrowersyjny?

Nie. I się nie obrażam. Po prostu, są różni ludzie, jak w każdym środowisku, którzy mnie znają i wiedzą, że jeżeli oni są w porządku wobec prawa, przepisów i tego, co jest z nimi związane, to ode mnie złego słowa nie usłyszą. Natomiast, jak w każdym środowisku są pseudo kombinatorzy, którzy usiłują załatwiać coś dookoła, nie wprost, niezgodnie z procedurą. W takich przypadkach nadziewają się na mnie. Ale takich przypadków już jest coraz mniej, dlatego że oni wiedzą, że jeżeli chcą coś załatwić u mnie i są w porządku, to będą załatwieni natychmiast i bez problemu. A jeżeli chcą kombinować, to już się do mnie nie zwracają. Ja się nie obrażam za kontrowersyjność.

To dzisiaj modne słowo. Wszystko, co jest niezgodne z oczekiwaniami, staje się „kontrowersyjne".

O właśnie. Wszystko, co jest niezgodne z oczekiwaniami... Na początku naszej rozmowy wspomniałem, że są tacy, którzy się mienią męczennikami. Jeżeli coś się od kogoś wymaga, to on jest obrażony na cały świat. Na przykład o to, że zawodnik musi mieć określoną koszulkę, spodenki i napis na nich musi być, więcej, musi odpowiadać przepisom. Na określonym turnieju musi być na koszulce nazwisko zawodnika. Ci, którzy są męczennikami, od razu powiedzą: „Co ten głupi Idzikowski wymyślił? Ja muszę wydawać pieniądze na to, żeby zawodnik miał na koszulce nazwisko". A to jest wymóg pod kątem publiczności, mediów, telewizji i tak dalej.

Polski badminton boryka się z problemem wyrwy pokoleniowej. Jakie Pan widzi perspektywy rozwoju tej dyscypliny w Polsce?

To jest niejednoznaczne i skomplikowane. Do tej pory jeszcze ciągle, tak jak było na początku w PRL-u, badminton musi walczyć o swoje. To jest klasyka. Żeby grać w badmintona, to jest prosta sprawa – potrzeba hali, w której można grać. Najlepiej widać na poziomie samorządów, jak badminton ciągle jeszcze jest

tępiony jako dyscyplina niepoważna. Jeżeli jest na przykład nowo wybudowana hala w szkole, w powiecie czy w mieście i chce się wymalować boiska do badmintona, to trzeba o to stoczyć wojnę. Burmistrz, starosta, dyrektor pozwoli na wymalowanie boisk do siatkówki, koszykówki, tenisa... Ale do badmintona? Martwią się nagle, że tyle tych linii będzie, że nikt nie będzie wiedział, o co chodzi. Efekt jest taki, że nie wolno wymalować linii do badmintona. Z takimi postawami musimy ciągle jeszcze walczyć. I dopóki nie będzie tak, jak na Zachodzie, gdzie w każdej wiosce jest hala sportowa do wszystkich możliwych dyscyplin, to nie za wiele się zmieni.

Mimo że to jest dyscyplina olimpijska...

Tak. Badminton jest dyscypliną olimpijską, ale ważniejsza jest siatkówka, piłka ręczna, itp. Natomiast w tych miejscach, gdzie udało się – bo są już takie miejsca w Polsce, gdzie udało się wybudować specjalnie dla badmintona obiekty do treningu, już jest oczywiście spokój.

Nawiązując do tego, co Pan powiedział o wojnach z samorządami – czy gdyby pojawił się medal olimpijski, byłby taki efekt jak po Małyszu, że dzieciaki chciały skakać, a władze budować skocznie?

Tak. Byłby taki efekt. Najbliżej tego efektu mogliśmy być dwa razy. Na igrzyskach olimpijskich w Londynie nasi mistrzowie Europy w grze mieszanej Robert Mateusiak i Nadieżda Zięba grali z Chińczykami o wejście do strefy medalowej i mieli nawet lotki meczowe. Niestety, nie potrafili wygrać tego meczu i zajęli miejsca 5–8. W Londynie była największa szansa na medal olimpijski. Druga, mniejsza, była w Rio, no ale cztery lata później. W najbliższej przyszłości takich szans nie widać. Trzeba wychować nowych zawodników... A to są lata pracy i ogromne trudności. Po pierwsze, trzeba znaleźć talent, który musi być dobrze prowadzony przez sensownych trenerów. Konieczna jest ciężka praca. Robert Mateusiak jest klasycznym przykładem osoby, która była bardzo uzdolniona ruchowo. Pamiętam go jako małego chłopaka, który przychodził na treningi. On odstawał od pozostałych swoją sprawnością ruchową. Piłka nożna chciała go skaperować do jakiejś drużyny, ale oczywiście w piłce nożnej by nie zaznał takich warunków jak w badmintonie. Wybiliśmy mu z głowy piłkę nożną i dzięki solidnej pracy osiągnął mistrzostwo Europy, wiele medali na mistrzostwach Europy i innych oraz te miejsca w ósemkach na igrzyskach. Nadieżda Zięba jest Białorusinką, więc tutaj przejęliśmy ją z dobrodziejstwem inwentarza. Czekają nas lata pracy na medal.

Urodził się w stolicy badmintona

W Głubczycach króluje badminton. Na lekcjach wuefu zamiast piłki dzieci dostają do rąk rakiety, a nauczyciele w niejednym początkującym zawodniku zauważają smykałkę do odbijania lotki. Ale talent to nie wszystko. Do osiągnięcia sukcesu na korcie potrzeba jeszcze zapału do ciężkiej pracy, charakteru i wytrwałości. Wszystkie te cechy ma Przemysław Wacha, najlepszy polski singlista.

Sukcesów na swoim koncie obecny trener kadry narodowej elity ma wiele. Do tych wspominanych z największym sentymentem należą pierwsze medale mistrzostw Polski i mistrzostw Europy. Tylko w grze pojedynczej wychowanek Technika Głubczyce zdobył tytuł mistrza Polski 13-krotnie. Do tego dodać trzeba cztery złote, 7 srebrnych i cztery brązowe medale w grze podwójnej, a także jeden brązowy w grze pojedynczej.

Wielokrotnie reprezentował Polskę na turniejach międzynarodowych. W 1999 roku zdobył brązowy medal w grze pojedynczej, a z Piotrem Żołądkiem srebrny medal w deblu na mistrzostwach Europy juniorów w Glasgow. W 2007 roku dotarł do półfinału na prestiżowym turnieju Super Serii China Masters, gdzie ostatecznie uległ reprezentantowi Malezji. W tym samym roku doszedł też do finału Dutch Open. W 2008 roku zdobył indywidualnie brązowy medal mistrzostw Europy w Herning. Wrócił z brązowym medalem mistrzostw Europy drużyn mieszanych w 2008 roku i w 2009 roku (Liverpool). Natomiast na mistrzostwach Europy drużyn męskich w Warszawie w 2010 roku razem z Michałem Łogoszem i Hubertem Pączkiem wywalczył srebro.

Przemysław Wacha czterokrotnie reprezentował Polskę na olimpiadzie. Na igrzyskach zadebiutował w Atenach w 2004 roku. Klubowym podopieczny olimpijki Bożeny Haracz wtedy zajął 17. miejsce. Cztery lata później, w Pekinie poszło mu zdecydowanie lepiej. Doszedł do 1/8 finału. W Londynie w 2012 roku powtórzył swój wynik z Aten. W nowej roli – deblisty w duecie z Adamem Cwaliną o medal walczył w Rio de Janeiro w 2016 roku. Duet odpadł w fazie grupowej, a Przemysław Wacha postanowił zakończyć karierę sportową. Nie rozstał się jednak z ukochanym badmintonem. W maju 2017 roku został powołany przez Polski Związek Badmintona na stanowisko trenera kadry narodowej elity.

Przemysław Wacha – najlepszy polski singlista, wielokrotny mistrz Polski, wicemistrz Europy, pięciokrotnie reprezentował Polskę na igrzyskach olimpijskich. Obecnie jest trenerem kadry narodowej.

Czy można powiedzieć, że miejsce, gdzie się Pan urodził, określiło Pana życie?

Jak najbardziej. Głubczyce są miastem badmintona. Gdy się wjeżdżało do Głubczyc, widać było wielki mural z napisem „Głubczyce miastem badmintona". U nas na wuefie nie dostawało się piłki do kopania tylko rakiety i lotki. Mnóstwo moich starszych kolegów grało w badmintona. W tym mieście każdy gra w badmintona, a przynajmniej każdy zna tę dyscyplinę i wie, co to jest.

Czyli można powiedzieć: dobrze, że Przemysław Wacha urodził się w Głubczycach!

Tak, można tak powiedzieć.

A nie na przykład w Lubinie...

Może wtedy byłbym piłkarzem. Żartuję. Gdybym się miał urodzić na nowo, chciałbym iść tą samą drogą. Każdy mnie o to pyta i wszystkim odpowiadam to samo – znowu wybrałbym badminton.

Zawsze Pan podkreśla, że jest z Głubczyc. Ale też niezmiennie od lat Pana trenerką klubową jest Bożena Haracz.

Już teraz nie, bo skończyłem karierę, ale wcześniej tak było. Na początku moim trenerem był Karol Hawel, tato Rafała Hawla. Miał taki epizod w swoim życiu, potem skończył z badmintonem. Następnie szkolił mnie Ryszard Borek i po nim Bożena Haracz. Ona była moją klubową trenerką, ponad 20 lat. W kadrach trenowałem pod okiem innych trenerów, m.in. Chińczyka, Koreańczyka, Klaudii Majorowej, wspomnianego Ryszard Borka. Nazbierało się trochę nazwisk przez 20 kilka lat grania.

Niedawno zakończył Pan karierę. To dobry moment, by zapytać o największy sukces. Z czego się Pan czuje najbardziej dumny?

Z rodziny tak naprawdę, z syna.

A sportowo?

Miałem trochę sukcesów, ale nie takich wielkich, jak bym sobie życzył. Medali olimpijskich nie zdobyłem.

Za skromny Pan jest! Najlepszy polski singlista na pewno ma kilka niezapomnianych sportowych przeżyć.

Oczywiście, że mam. To przede wszystkim igrzyska olimpijskie, 9. miejsce w Pekinie czy medal mistrzostw Europy indywidualny w 2008 roku i drugi drużynowy w tym samym roku, wicemistrzostwo Europy w Polsce w 2010 albo 2011, Sudirman Cup w 2009 roku, kiedy drużynowo zdobyliśmy wicemistrzostwo Europy. Mniejszych turniejów było bardzo dużo, ale do wielkich sukcesów bym ich nie dołączył. Przede wszystkim turnieje Super Series, najważniejsze na świecie, czyli China Open, Korea Open, Swiss Open i Denmark Open, to były największe, w których byłem w półfinale. Nie ma tego dużo [śmiech].

Wspomniał Pan o synu. Czy on też gra w badmintona?

Kopie. Ma 7 lat, jest fanem Legii Warszawa i Bayernu Monachium, cały czas jest na stadionie przy Łazienkowskiej w Warszawie. Staram się chodzić z nim na badmintona, ale cały czas wygrywa piłka nożna. Gdy jesteśmy na hali, to 40 minut gra w piłkę i 20 w badmintona. Takie są proporcje. Może ma dość tego sportu przez tatę, całe dzieciństwo biegał po halach, siedział w termobagu z rakietą. Może mu się znudziło. Nie zmuszam go do odbijania, jeśli woli piłkę, niech kopie.

Jak się Pan czuje w roli trenera kadry?

Dziwnie [śmiech]. Zawsze byłem po drugiej stronie barykady. Gdy moi koledzy do mnie: „Trenerze", dziwnie się czuję, muszę się przyzwyczaić do nowej sytuacji. Jestem zadowolony z nowej pracy, chociaż na początku miałem pewne opory.

Dlaczego?

Chciałem sobie zrobić dłuższą przerwę od kadry, od ciągłych wyjazdów, ale ponieważ jest taka fajne ekipa, z którą można działać, zdecydowałem się skorzystać z propozycji. Teraz czeka nas ciężka praca, bo niczego nie da się naprawiać w pół roku. Trzeba lat. Powoli idziemy do przodu.

Jaki cel Pan sobie stawia w pracy trenerskiej?

Celem jest przede wszystkim ciężka praca. Na sukcesy trzeba poczekać przynajmniej 3–4 lata. Młodzi zawodnicy, którzy mają teraz po 18–19 lat, potrzebują co najmniej 3–4 lat solidnej pracy. Krok po kroku, a sukcesy same przyjdą.

Trener, czyli ojciec, matka, przyjaciel i menedżer w jednym

Paweł Lenkiewicz – trener I klasy badmintona, trener kadry narodowej do lat 19. i 17., trener szkoły mistrzostwa sportowego w Białymstoku, społecznik, były zawodnik i medalista mistrzostw Polski i Europy.

Zanim został Pan trenerem, długo był Pan zawodnikiem i to z dużymi sukcesami.

Przez 17 lat byłem zawodnikiem. Od początku reprezentuję Białystok i klub UKS Hubal Białystok. Skończyłem szkołę mistrzostwa sportowego w Słupsku. Moją trenerką była tam wtedy Klaudia Majorowa z Rosji. W Słupsku mieszkałem ponad cztery lata, moja kariera fajnie się tam rozwinęła. Później trafiłem do ośrodka olimpijskiego w Głubczycach. Mam parę sukcesów na arenie międzynarodowej, na przykład drużynowy medal mistrzostw Europy. Gdy przestałem grać, wróciłem do Białegostoku i zacząłem budować od strony trenerskiej nasz klub UKS Hubal Białystok. A następnie ośrodek szkolenia sportowego młodzieży, który prowadzimy od 5 czy 6 lat, a od roku także szkołę mistrzostwa sportowego. Rozwój idzie więc w dobrym kierunku. W tym roku oddaliśmy do użytku piękne obiekty badmintonowe. Nie byłoby to możliwe bez pomocy pana Lecha Szergieja, prezesa Podlaskiego Okręgowego Związku Badmintona i prezesa UKS Hubal Białystok – moim zdaniem, najlepszego klubu badmintonowego w Polsce.

O czym świadczą nazwiska zawodników...

Robert Mateusiak, Nadia Zięba, Mateusz Dubowski, Michał Rogalski, Adrian Dziółko są zawodnikami klubu UKS Hubal Białystok. Mamy młodych reprezentantów Polski: Wiktorię Dąbczyńską i Olę Goszczyńską oraz całą kadrę juniorów. W dużej mierze opiera się ona o zawodników, którzy na co dzień uczą się, mieszkają i trenują w Białymstoku, aczkolwiek są z całego kraju. Sprowadzili się do nas, żeby się rozwijać i poświęcać badmintonowi.

Na czym polega fenomen Białegostoku, dlaczego akurat tam jest tak dużo sukcesów? Macie jakiś specjalny przepis?

Przede wszystkim mamy bardzo dużą pomoc i wsparcie od władz miejskich i wojewódzkich. Białystok bardzo mocno promuje się poprzez sport. Miasto przeznacza coraz większe pieniądze na ten cel. Oprócz tego, że mamy potężny klub, jakim jest Jagiellonia Białystok, nie zapomina się o innych, mniejszych ośrodkach.

Docenia się badminton, tenis stołowy czy lekkoatletykę. Z roku na rok polepsza się infrastruktura sportowa. Jak wspomniałem, wybudowaliśmy za pieniądze od miasta i Ministerstwa Sportu nową, piękną halę badmintonową na 5 kortów z całym centrum i zapleczem odnowy biologicznej w postaci gabinetu rehabilitacji, fizjoterapii, sauny, jacuzzi. Mamy też najpotrzebniejszy sprzęt. Wielu ludzi na to pracuje. Razem z prezesem Szargiejem i Marcinem Dernogą, który też jest trenerem, rozwijamy szkołę i klub. Otworzyliśmy też niedawno szkółkę, gdzie chcemy przyjmować małe dzieci. Oddajemy badmintonowi całe serce, bo to nasz sposób na życie, któremu poświęcamy bardzo dużo czasu. Oczywiście, utrzymujemy się z tego. Marcin i ja znamy badminton od podszewki, bo sami byliśmy zawodnikami. Wiemy, jakie są problemy i czego nam brakowało w młodej karierze. Staramy się zapewnić naszym podopiecznym wszystko to, czego potrzebują.

Dzieci w jakim wieku mogą przychodzić do szkółki?

Pięciolatki zapraszamy na podstawowe zabawy i ćwiczenia oswajające z badmintonem. Natomiast takie typowe treningi skierowane są do 6- i 7-latków. Nie zależy nam na wąskiej specjalizacji, ale dążymy do tego, żeby od początku to były prawdziwe treningi badmintonowe.

Dlaczego?

Część zawodników przechodzi do nas z różnych klubów, każdy trenuje ich troszeczkę po swojemu. Później my staramy się oduczać ich przeróżnych błędów, nawyków, a to jest bardzo ciężkie i trudne. Sama pani wie, że w każdej dyscyplinie łatwiej jest nauczyć czegoś niż oduczać jakiegoś błędu. Wprawdzie teraz jest już bardzo dużo młodych trenerów, byłych zawodników, którzy wypracowali prawidłowy sposób nauczania i każde następne młode pokolenie jest coraz lepiej przygotowywane technicznie. W badmintonie bardzo ważna jest powtarzalność – tysiące, miliony uderzeń, zagrań, żmudna, ciężka praca, setki godzin poświęconych na treningach. Cała grupa pracuje tak naprawdę czasami na sukces jednej czy dwóch osób. W naszej grupie juniorskiej mamy świetne nazwiska: Paweł Śmiłowski – zawodnik z pierwszej piątki mistrzostw Europy. Są: Wiktoria Dąbczyńska, Ola Goszczyńska, Wiktoria Adamek, Adam Szolc, Robert Cybulski, czyli ścisła kadra narodowa, która ma możliwość pracy, treningów i sparowania ze starszymi zawodnikami. Grają u nas również: Piotr Wasiluk – młodzieżowy mistrz Polski, Dominik Ziętek, Maciej Dąbrowski. Oni wszyscy są medalistami mistrzostw Polski seniorów. Zatem młodzież ma się od kogo uczyć. Czasami ktoś z tych starszych zawodników jest w stanie sprowadzić młodszych na ziemię, bo wiadomo, że w młodym wieku nieraz wydaje się człowiekowi, że pozjadał wszystkie rozumy i taki zimny prysznic bywa potrzebny.

Mówi Pan, że nie ma sukcesów bez ciężkiej pracy. Jak często trenuje młoda kadra?

Dwa razy dziennie. Codziennie zaczynamy zajęcia o 7 rano, kończymy o 9. Dzieciaki idą do szkoły i później od 15 do 17–18 znowu pracują na hali. Poza tym bardzo często wyjeżdżamy na turnieje, mistrzostwa, zawody, obozy, zgrupowania.

Dużo tego...

Tak to mniej więcej wygląda. Odpowiadając na pytanie o fenomen, powtórzę: po pierwsze, ciężka praca, po drugie, oddajemy badmintonowi całe serce, po trzecie, cały czas się uczymy, szkolimy, rozwijamy. Ostatnio w moim przypadku to jest troszkę trudniejsze, bo mam dwójkę małych dzieci. Moje córki mają 1,5 i 3,5 roku, więc przy takiej liczbie wyjazdów nieraz trudno pogodzić pracę z rodzinnymi obowiązkami, ale się staram.

Pana żona jest cierpliwa?

Na szczęście tak, ale każda cierpliwość się kiedyś kończy.

Czy ona też gra w badmintona?

Nie, moja żona jest architektem, z badmintonem nie ma nic wspólnego poza hobbystycznym odbijaniem.

Wspomniał Pan, że jako trenerzy starają się Panowie dać młodym zawodnikom wszystko to, czego Wam brakowało, czyli co?

Na pewno teraz jest o niebo lepiej, jeśli chodzi o starty zagraniczne. Za naszych młodych lat sytuacja Związku była dosyć trudna, musieliśmy wydawać swoje pieniądze na wyjazdy na turnieje zagraniczne, a to jest konieczne, żeby ogrywać się z najlepszymi zawodnikami w Europie. Natomiast obecnie Polski Związek Badmintona przy współpracy z Podlaskim Okręgowym Związkiem Badmintona zapewniają nam środki finansowe i możemy wysłać zawodników na 8–10 turniejów zawodowych, ale również na zagraniczne konsultacje. Dysponujemy świetnym sprzętem do pracy treningowej. Jest też coraz więcej dobrych trenerów. Nie mówię, że kiedyś ich nie było, chodzi mi bardziej o to, że panuje dobra atmosfera i są zdecydowanie większe możliwości finansowe do uprawiania sportu w ogóle i badmintona. Młodzież ma to, czego my nie mieliśmy. Ma dostęp do fizjoterapeuty, masażysty, do odnowy biologicznej. Tego kiedyś nam brakowało. Mamy również wystarczającą ilość lotek i innych podstawowych rzeczy. W naszym ośrodku wydajemy miesięcznie w granicach 6–7 tysięcy złotych na same lotki. Oczywiście, dzięki wsparciu Polskiego Związku Badmintona. Proszę policzyć, jak dużo kosztuje 12 miesięcy szkoleniowych. To są ogromne pieniądze. Pracuje u nas dwóch trenerów, fizjoterapeuta, trener przygotowania motorycznego, fizycznego, więc możliwości są naprawdę bardzo duże, aczkolwiek do ideału brakuje jeszcze sporo.

Wybudowaliśmy halę z centrum odnowy biologicznej przy szkole. W przyszłym roku chcemy złożyć projekt budowy części zakwaterowania, czyli małego hotelu sportowego, mamy na miejscu bardzo dobre wyżywienie. Cały czas staramy się rozwijać infrastrukturę. Staramy się też zapewnić zawodnikom dodatkowe

stypendia i nagrody. Wiadomo, że środki finansowe nie są priorytetem, ale są ważne. Poza tym, zgłosiliśmy nasz ośrodek do rozgrywek ekstraklasy badmintona. Walczymy o brązowy medal, choć nasi zawodnicy mają po 16, 17, 18 lat. Wspiera nas miasto Białystok i będzie możliwość ufundowania zawodnikom następnych stypendiów. Ekstraklasa to też okazja do ogrywania się z najlepszymi. Wiktoria i Ola, czyli trzon naszej drużyny, są wicemistrzyniami seniorek w deblu mimo tak młodego wieku. Już w wieku 16 lat były wicemistrzyniami. Z jednej strony to jest fenomen, ale z drugiej strony taka sytuacja też świadczy o słabości konkurencji kobiecych w naszym kraju. Brakuje dobrych kobiet seniorek. Owszem, Wiktoria niespełna 18-letnia dziewczyna jako zawodniczka zasługuje na te tytuły w pełni, dla niej to jest świetna promocja, ale przecież powinny być starsze zawodniczki, dużo lepiej ograne, a takich brakuje.

Dlaczego?

Szwankuje system przejścia z wieku juniora do seniora. Ciężko jest zatrzymać dobrego zawodnika długo w sporcie, jeżeli on nie ma perspektywy, by się z tego zajęcia utrzymywać. Można żyć z badmintona, ale trzeba być naprawdę bardzo dobrym.

A na średnim poziomie trzeba łączyć sport z pracą, co jest strasznie trudne. Zwłaszcza, gdy założy się rodzinę. I kobietom pewnie jest jeszcze trudniej niż mężczyznom.

Tak. Niestety, tak jest i stąd te trudności w zatrzymaniu seniorek. Zresztą, mężczyzn też powinno być w seniorach więcej.

Trener to mentor, nie tylko uczy umiejętności technicznych, ale tak naprawdę kształtuje całą osobowość młodego zawodnika, musi więc być też dobrym psychologiem... Ojcem, matką, menedżerem, trenerem, przyjacielem, a niestety czasami też wrogiem. Wiadomo, że trener to jest ten, który powie ci całą prawdę, w trudnym momencie musi cię podnieść na nogi, ale czasami musi cię też sprowadzić na ziemię. To jest ciężka wychowawcza praca. Jestem trenerem już 12 lat, trenerem kadry narodowej czwarty czy piąty rok.

A wygląda Pan, jakby dopiero studia skończył.

Mam 33 lata. Skończyłem dwa kierunki podyplomowe, ale jak już mówiłem, stale się uczę. Na razie kocham to, co robię. Ze wszystkimi, z którymi pracuję, chcemy rozwijać swoją pasję, bo to jest przede wszystkim pasja i nią zarażać młodych. Chociaż to jest ciężki kawałek chleba, bo dzisiaj trener kadry jest nie tylko kierownikiem drużyny i trenerem, ale musi być menedżerem, psychologiem, ojcem, matką. Nie może być inaczej, skoro spędzam z zawodnikami średnio 200–250 dni w roku.

Czyli to także emocjonalnie duże wyzwanie.

No oczywiście, że tak. Bardzo stresujący typ pracy. Zawody, jest gra, a później są analizy, przemyślenia, wyciąganie wniosków, planowanie kolejnych treningów,

praca po nocach, pisanie wniosków o stypendia, nagrody dla zawodników po to, żeby też ich motywować. Dużo stresu i dużo zajęć poza treningiem, często nieprzespane noce, ale nie narzekam. Taki tryb życia wybrałem, nikt mi tego nie każe robić, kocham to, spełniam się w tym, choć to trudne.

Jakie są najbardziej satysfakcjonujące momenty w tej pracy, a jakie najtrudniejsze?

Na pewno najbardziej bolą takie chwile, gdy wiemy, ile z danym zawodnikiem przepracowaliśmy, ile poświęciliśmy mu czasu, a on rezygnuje. Sukces sportowy bardzo cieszy, to nasz cel. Kiedyś małymi radościami były medale mistrzostw Polski, zdobywaliśmy ich setki, dzisiaj to jest już pewien wyznacznik – normalne jest, że jesteśmy najlepsi w Polsce. Teraz staramy się być coraz lepszymi w Europie, gdzie konkurencja jest bardzo duża. Niedawno wróciliśmy z mistrzostw świata, gdzie byliśmy piętnastą drużyną, indywidualnie zajęliśmy 9. miejsce. Jest to sukces, tym bardziej że był to pierwszy start kadry narodowej juniorów w mistrzostwach świata od wielu, wielu lat. Startowaliśmy w mistrzostwach Europy, zdobyliśmy 9. miejsce drużynowo, indywidualnie dwa razy 5. Mało nam brakuje, żeby wskoczyć na podium medalowe, to jest nasze wspólne marzenie. Wspólna ciężka praca powinna zakończyć się fajnym wynikiem, dużo nam nie brakuje*. Czasami dużą rolę odgrywają też niuanse, jak regeneracja, dieta, odpowiednie podejście, praca zawodnika na treningu, ale też poza treningiem. Wiele ważnych czynników składa się na sukces, nie tylko praca z trenerem, ale też indywidualna praca samego zawodnika. Albo się jest na 100 procent badmintonistą, albo tylko na treningu. Życie poza treningowe jest również bardzo ważne.

Tyle o radościach, a bolesne momenty?

Na pewno szkoda, jak dany zawodnik, z którym długo się pracowało, dochodzi do określonego wieku, osiąga swój wynik i zaczyna dostrzegać inne priorytety. Skupia się bardziej na nauce niż na sporcie, bo czuje, że nie do końca z badmintona będzie mógł się utrzymać. Moim marzeniem jest stworzyć taką ścieżkę rozwoju, żeby dany zawodnik po osiągnięciu wieku juniora był na tyle zmotywowany i nie musiał się martwić, że mu brakuje na pójście z dziewczyną do kina czy do restauracji albo na niezbędne zakupy. Chciałbym, żeby taki zawodnik miał odpowiednie podstawowe stypendium, które zachęci go do dodatkowej pracy, a raczej harówki obliczonej na lata, by osiągnął to, na co go stać. Jako trener staram się wspomagać zawodników, mam swoje pomysły, jak to realizować. Pyta pani o bolesne momenty... Nie miałem jeszcze wielkich rozczarowań, jestem młodym trenerem, na razie cierpliwym. Jestem

---

* Kilka tygodni później, na Mistrzostwach Europy w Mulhouse we Francji, marzenie trenera się spełniło. Brązowe medale zdobyli: Paweł Śmiłowski w parze z Magdaleną Świerczyńską, Aleksandra Goszczyńska z Wiktorią Dąbczyńską oraz Paweł Śmiłowski z Robertem Cybulskim.

najmłodszym trenerem kadry narodowej. Na razie mam dużo samozaparcia i chęci do pracy. Więcej mogę mówić o fajnych momentach w naszej karierze.

Zostały stworzone młodzieżowe igrzyska olimpijskie, które odbywały się już w 2014 roku w Nanjing, a za rok będą w Buenos Aires. I właśnie dwójce moich zawodników z Białegostoku udało się zakwalifikować na te w 2018 roku. Kwalifikacje były niesamowicie trudne – trzeba było zagrać w 10 turniejach międzynarodowych i uzyskać bardzo wysoką pozycję w rankingu singlowym, trzeba być w pierwszej 30. rankingu światowego juniorów wśród chłopców i dziewcząt. Dwójka moich zawodników z Białegostoku spełniała te wymagania. Spędziliśmy trzy tygodnie w Chinach, to było niesamowite przeżycie. Moim marzeniem jest zdobycie medalu mistrzostw Europy z tymi zawodnikami. Wiem, że na to zasługują.

Z kim się trudniej pracuje? Z dziewczętami czy z chłopcami?

Nie odczuwam różnicy w pracy z chłopakami czy dziewczynami. Od wszystkich dużo wymagam. Mam bardzo fajną grupę dziewczyn, odpowiednio zmotywowaną, zdeterminowaną. Lubię pracować z kobietami, aczkolwiek wydaje mi się, że czasami moi zawodnicy mnie nienawidzą za te wysokie wymagania. Ale takie jest zadanie trenera – wyciągać z zawodników maksimum możliwości. Nie możemy być tylko dobrymi wujkami, czasami musimy być katami, tylko ciężka praca gwarantuje sukces. Z chłopakami pracuje się fajnie, z dziewczynami też. One mają silne charaktery, czasami myślę, że są mocniejsze niż faceci, mają więcej jaj na korcie. Mam nadzieję, że to się przełoży na dobry wynik. Polskiemu badmintonowi jest potrzebny medal mistrzostw Europy, żebyśmy mogli dalej budować to, co do tej pory budowaliśmy. Polski Związek Badmintona zaczyna się rozwijać, tworzą się nowe możliwości. Jak będzie sukces sportowy, to Związek będzie miał w nim swój udział, bo przecież wyjazd na turniej to praca masy ludzi, m.in. nad organizacją wyjazdów, rezerwacją hoteli, transportów, itd.

Patrząc z perspektywy Białegostoku na resztę klubów całej Polsce. Czego potrzebują, by też osiągać sukcesy?

Na pewno zapału ludzi i finansów. W wielu miejscach to już jest. Tworzy się fajny ośrodek w Bieruniu, gdzie zaczęli organizować duże imprezy i postawili na szkolenie dzieci, jest oczywiście mocny ośrodek w Głubczycach, a także w Pszczynie, Suchedniowie – stamtąd przychodzi do kadry narodowej wielu mocnych zawodników. Jest coraz więcej mocnych ośrodków i ludzi, którzy chcą działać, a to jest ważne.

Nie ma na tej liście wielkich miast.

No nie. Nie ma wielkich miast, bo tak naprawdę najwięcej talencików rodzi się w tych małych. Może tam łatwiej ich wychwycić, może mają lepsze charaktery. Dzisiaj dzieci więcej czasu spędzają na telefonach komórkowych,

Facebookach niż na rozmowie ze sobą. To jest większy problem, dzisiaj nawet robiąc nabory do klubów czy szkółek, widzimy, że jest mniej dzieci chętnych do chodzenia na zajęcia niż do tej pory. Nie chodzi o to, żeby z każdego zrobić mistrza, ale o to, by wyciągnąć ludzi z domów, zachęcić ich do ruchu, do aktywności ruchowej. Temu między innymi służy świetny program Shuttle Time, którego jestem koordynatorem w województwie podlaskim. Przeszkoliliśmy około 150 nauczycieli wychowania fizycznego, wprowadziliśmy badminton do szkół jako zajęcia dodatkowe, nauczyciele dostali podręczniki i sprzęt do prowadzenia zajęć. Staramy się aktywizować dzieci, bo jest dużo talentów, tylko trzeba je wyłapać.

Kiedyś dzieciaki po szkole na podwórku grały, biegały, skakały, a dziś często siedzą w domu. Jak to zmienić?

Dzisiaj dzieci nie ćwiczą na wuefach, unikają aktywności, a rodzice bardzo mocno im w tym pomagają, mają za mało czasu dla dzieci i stąd problemy. Dlatego powstają w Polsce różne programy, zachęcające dzieci do aktywności. Pracujemy na wspólne dobro. Wiele klubów pracuje społecznie, bo zdobycie pieniędzy często jest trudne. Jednak możliwe, pamiętam nasze początki: zachodziliśmy do urzędu, gdzie patrzyli tam nas bardzo dziwnie, a dzisiaj badminton jest wiodącym sportem w Białymstoku i województwie podlaskim. Mamy dwie drużyny ekstraklasy badmintona, dziś miasto bardzo nas wspiera, dotuje wszystkie mistrzostwa, które organizujemy. Bez środków finansowych nie da się tego budować. Bardzo się cieszę, że reprezentuję Białystok, bo moje miasto lubi sport i widzi sens pomocy, zachęcania ludzi do aktywności. Takich warunków szkoleniowych, jak mamy dziś w Białymstoku, nie ma nikt w Polsce.

I to jest dobra puenta.

Nadia reprezentuje Polskę

Nadieżda (Kostiuczyk) Zięba to jedna z najważniejszych postaci w polskim badmintonie.

W tej dynamicznej dyscyplinie zakochała się dużo wcześniej niż w... Polsce. Urodzona w 1984 roku w Brześniu w dzieciństwie nie przypuszczała, że kiedyś zmieni obywatelstwo. Z badmintonem zetknęła się na lekcjach wuefu w szkole podstawowej. Szybko okazało się, że do odbijania ma wielki talent – jakby urodziła się z rakietką. Wygrywała kolejne zawody i jako 12-latka po raz pierwszy przyjechała na turniej do Polski. Początkowo nie spodobało jej się nad Wisłą, ale przyjeżdżała jeszcze wiele razy. Zdążyła się zaprzyjaźnić z Kamilą Augustyn, zawodniczką słupskiego Piasta. Wpadła też w trenerskie oko Klaudii Majorowej, która wówczas była szkoleniowcem polskiej kadry narodowej. Nos trenerki nie mylił – Kamila i Nadia świetnie się rozumiały i uzupełniały na korcie. Tworzyły rewelacyjną deblową parę, dlatego wkrótce władze Polskiego Związku Badmintona zaproponowały Białorusince, by zmieniła barwy narodowe. Formalności nie były łatwe: o polskie obywatelstwo dla Nadii, jak mówi o niej całe polskie środowisko badmintonowe, zabiegali szefowie klubu SKB Suwałki i Polskiego Związku Badmintona. Starania wspierał też Polski Związek Olimpijski. W końcu udało się i w 2001 roku ówczesny prezydent RP Aleksander Kwaśniewski podpisał nadanie obywatelstwa świetnej badmintonistce.

Zbliżały się igrzyska w Atenach. Dla wszystkich w Polsce oczywiste było, że o kwalifikację na nie będzie się starała także para Kamila Augustyn/Nadieżda Kosiuczyk. Niestety, mimo świetnych wyników, duet ten musiał zostać w domu, gdy reszta polskiej ekipy wyjeżdżała walczyć o medale w stolicy Grecji. Na drodze do Aten stanęła polityka... Nadieżda Kostiuczyk była obywatelką Polski od niecałych trzech lat. Tymczasem IFB, czyli Międzynarodowa Federacja Badmintona przysłała informację, że zgodnie z przepisami, by reprezentować jakiś kraj na igrzyskach, trzeba mieć jego obywatelstwo od co najmniej trzech lat. Nadii zabrakło trzech miesięcy... Można było odstąpić od spełnienia tego wymogu, gdyby zgodę na jej start w polskich barwach narodowych wyraził Białoruski Komitet Olimpijski. Ten jednak odmówił, a pod dramatyczną dla Nadii i Kamili decyzją podpisał się sam Aleksander Łukaszenka – prezydent Białorusi, będący jednocześnie szefem Białoruskiego Komitetu Olimpijskiego.

Były łzy, nerwy, ale dzielna Nadia nie zamierzała się poddawać. Igrzyska w Atenach ona i jej partnerka z kortu obejrzały w telewizji. Trenowała jak szalona i cztery

lata później Nadieżda Kostiuczyk nie musiała już nikogo pytać o pozwolenia na start w igrzyskach olimpijskich. Do Pekinu w 2008 roku poleciała już jednak nie z Kamilą Augustyn, ale z Robertem Mateusiakiem. Okazało się bowiem, że tworzą najlepszą parę mieszaną w historii polskiego badmintona. To właśnie w mikście Nadieżda Zięba odniosła największe sukcesy. W Pekinie para dotarła do ćwierćfinału. Z takim samym wynikiem para wracała też z igrzysk w Londynie w 2012 roku i z Rio de Janeiro w 2016 roku.

Grająca obecnie w klubie UKS Hubal Białystok trzykrotna olimpijka ma na swoim koncie między innymi złoty medal mistrzostw Europy zdobyty w 2012 roku w Karlskronie w mikście z Robertem Mateusiakiem. Para ta doszła też do ćwierćfinału mistrzostw świata seniorów w grze mieszanej w 2007 roku w Kuala Lumpur i w 2013 roku w Gunagzhou. Zdobyła też dwukrotnie wicemistrzostwo Europy seniorów w grze mieszanej – w 2008 roku w Herning i w 2010 w Manchesterze. Zięba wywalczyła także dwa brązowe medale mistrzostw Europy seniorów w grze mieszanej – w 2006 roku w Den Bosch oraz w drużynie mieszanej w 2008 roku w Herning. Trzy razy w grze podwójnej docierała do ćwierćfinałów mistrzostw Europy – w 2004 w Genewie, w 2006 w Den Bosch i w 2008 roku w Herning.

Ma też 13 tytułów mistrzyni Polski: 7 w grze podwójnej, 6 w grze mieszanej, dwa srebra zdobyte indywidualnie i jedno wicemistrzostwo Polski zdobyte z mężem. W 2010 roku Nadieżda poślubiła Dariusz Ziębę, wielokrotnego medalistę mistrzostw Polski a obecnie trenera.

W wywiadach prasowych 33-letnia zawodniczka zapowiedziała, że jesienią 2017 roku kończy karierę. Powody ma dwa: nadwyrężone zdrowie i chęć urodzenia drugiego dziecka. Dodaje jednak, że ani kontuzje, ani macierzyństwo nie zniechęcą jej do badmintona. Po latach gry zamierza zaszczepiać sportowe pasje i miłość do badmintona najmłodszym zawodnikom – planuje zostać trenerką dzieci.

Córka spełnia marzenia mamy

Najlepsza w Polsce juniorka Wiktoria Dąbczyńska i jej mama – trenerka Aleksandra Dąbczyńska żyją badmintonem. Córka ma wielkie szanse spełnić marzenie mamy. A pani trener chciałaby zobaczyć na szyi córki olimpijski medal. 18-letnia Wiktoria mówi ze spokojem: – Szanse są zawsze.

Aleksandra Dąbczyńska, świetna trenerka Orlicza Suchedniów o swoich dokonaniach opowiada oszczędnie. Zdecydowanie więcej woli mówić o nieprzeciętnym talencie córki. Zresztą w pełni słusznie. Osiągnięcia młodziutkiej juniorki chwalą też trenerzy i Marek Zawadka, prezes Polskiego Związku Badmintona. Ale przecież talent Wiktorii nie rozwinąłby się tak doskonale, gdyby przed laty nie zauważyła go pani Aleksandra. Ona sama z badmintonem zetknęła się dość późno, bo dopiero w liceum. Od zawsze miała sportowe serce, uprawiała lekkoatletykę. Mimo swojego niskiego wzrostu, który zresztą odziedziczyła po niej Wiktoria, grała we wszystkie gry zespołowe.

– Po prostu byłam bardzo sprawną osobą i zapraszano mnie na wszystkie gry zespołowe. Kiedyś koledzy, którzy grali w siatkówkę w Suchedniowie w TKKF-ie, czyli Towarzystwie Krzewienia Kultury Fizycznej, stwierdzili, że skoro gram w piłkę nożną, siatkową i ręczną, to na pewno zagram też w badmintona. I tak się zaczęła przygoda na całe życie – wspomina Aleksandra Dąbczyńska. Właściwie od razu okazało się, że koledzy z TKKF-u mieli rację. Drugoklasistka Ola wzięła rakietę do ręki i od razu całkiem dobrze szło jej odbijanie. Szybko poczuła, że badminton to świetny sport i przede wszystkim odpowiedni do jej warunków fizycznych. Śmieje się, że znacznie bardziej się do niego nadawała niż do koszykówki czy siatkówki. Na korcie radziła sobie dobrze. Była w pierwszej szesnastce w Polsce, ale mimo wielu osiągnięć nigdy w życiu nie wygrała na przykład z Bożeną Wojtkowską, ówczesną mistrzynią.

– Grałam dosyć dobrze, lubiłam to, ale takich sukcesów jak moja córka nie miałam – przyznaje mama Wiktorii.

Mieszkała w Ursusie. Największym jej sukcesem było piąte miejsce w lidze. Lata 80. to czasy, gdy w polskim badmintonie niepodzielnie rządził LKS Technik Głubczyce, klub ten był nie do pobicia. Mocnymi ośrodkami były też: Koszalin, Gdańsk, Wrocław, Bukowno, Warszawa i Olsztyn. Piąte miejsce Ursusa było więc wielką rzeczą, a mecze, które do niego prowadziły – pani Aleksandra wspomina jako najbardziej emocjonujące. Jako 20-latka przeniosła się z Suchedniowa do

Ursusa, by tam rozwijać karierę. Niestety, niedługo potem doznała poważnej kontuzji stawu kolanowego. Po operacji wielokrotnie wracała jeszcze na kort, ale to już nie było to samo. Nigdy nie mogła osiągnąć formy sprzed kontuzji i zagrać na takim poziomie jak wcześniej potrafiła. Serce sportowe jednak pozostało. Młodej zawodniczce żal było rozstawać się ze sportem, ale nie zamierzała się załamywać. Postanowiła, że mimo wszystko zwiąże swoje życie z badmintonem, który zdążyła już pokochać na dobre i na złe. Poszła na kurs instruktorski, a później trenerski i została w sporcie, który kocha wciąż niezmiennie. Od tamtej pory pracuje z dziećmi i młodzieżą. Pytana o przepis na zawodowe sukcesy, odpowiada:

– Przede wszystkim kocham dzieci. Jeżeli się ich nie kocha, nie ma co brać się za tę pracę, bo to jest zajęcie, któremu trzeba poświęcić całe swoje życie. W tej pracy, bardzo długiej i mozolnej, wymagającej podporządkowania, trzeba zapomnieć, że idzie się na osiem godzin, a potem wraca do domu – mówi Aleksandra Dąbczyńska. – Wytrenowanie badmintonisty, którego można wysłać na takie zawody jak mistrzostwa Europy, trwa minimum 10 lat. Należy więc być bardzo cierpliwym, bo na efekty czeka się latami, a poza tym przetrwają tylko najmocniejsi.

Doświadczona trenerka dodaje, że w jej branży niecierpliwi nie dojdą do sukcesów, tym bardziej że na co dzień trenowanie dzieci może się wydawać mało atrakcyjnym zajęciem, choć oczywiście tak nie jest.

– Przede wszystkim jest mozolne. Przychodzi się dzień w dzień na salę, nieraz nawet jak w szkole sportowej dwa razy dziennie i tysiące, miliony razy powtarza się jedno uderzenie, żeby doprowadzić je do perfekcji – tłumaczy trenerka. To zajęcie, z którym poradzą sobie tylko ludzie cierpliwi. – Dlatego właśnie mówię o wytrwałości i o tym, że to praca dla pasjonatów – przypomina Aleksandra Dąbczyńska. – Wszystko robi się dla jednej chwili w życiu, dla ciekawego meczu, dla wygranego turnieju. Poza tym trener raczej nie ma wolnych weekendów i wakacji, bo wtedy zazwyczaj są jakieś zawody albo obozy. Nawet jeśli już raz na jakiś czas trafi się wolny weekend, prawdziwy trener myśli wtedy, że powinien pójść na salę, bo może coś jeszcze podszlifuje ze swoimi zawodnikami. – Takim trzeba być człowiekiem w tej pracy, ale myślę, że w każdej dziedzinie życia jest podobnie – jeśli się chce coś osiągnąć, to trzeba tyrać, tyrać i jeszcze raz tyrać, żeby były efekty. I nie zrażać się upadkami – przekonuje trenerka z Suchedniowa.

Zamiłowanie do ciężkiej pracy oprócz miłości do badmintona po pani Aleksandrze odziedziczyła jej córka. Gdy pytam ją, czy mama, która była jej pierwszą trenerką, wymagała od niej więcej, odpowiada, że nie było takiej potrzeby. – Nie musiała, bo ja zawsze sama chciałam dawać z siebie więcej niż inni – mówi zawodniczka kadry narodowej juniorów. Nie musi dodawać, że nie wyobraża sobie życia bez badmintona. Wystarczy popatrzeć choćby tylko na jeden mecz z udziałem tej drobnej dziewczyny, by widzieć, że w niedużej posturze kryje się wielki

talent. Pani Aleksandra zauważyła go, gdy mała Wiktoria miała zaledwie kilka lat. Ponieważ wychowuje córkę sama, zawsze zabierała ją ze sobą na salę. Nie wiadomo kiedy, bawiąc się rakietką i lotkami, mały brzdąc nauczył się odbijać. Wiktoria miała trzy latka, gdy pani Aleksandra wznowiła pracę jako trener w klubie. Dzielna dziewczynka od początku jeździła z mamą na zawody po całej Polsce. Mała miała swoje miejsce w samochodzie albo u zawodników na kolanach. Trudno sobie wyobrazić, by nie grała.

– Był taki moment, kiedy się bałam, że córka będzie miała do mnie jakieś pretensje, że ją wepchnęłam na tę sportową drogę – przyznaje mama trenerka. – Ale nie ma. To, że Wiktoria gra, wyszło naturalnie. Jako trener od razu widziałam, że ma talent. Miała cztery latka, gdy byłyśmy na turnieju w Sofii. Grałam tam w mistrzostwach świata weteranów, czyli dziś powiedzielibyśmy: seniorów. Wiktoria już wtedy przebijała lotkę przez siatkę. W przerwie między meczami grałyśmy sobie razem i ona dostawała owacje od całej hali. Za każdym razem trafiała w lotkę. Bardzo szybko była najlepszą młodziczką w Polsce, a teraz jest najlepszą juniorką.

Na poważnie Wiktoria Dąbczyńska rozpoczęła treningi w wieku 9 lat. Na początku pod okiem mamy w klubie Orlicz w Suchedniowie, potem jej trenerem został pracujący tam ze starszymi rocznikami Stefan Pawlukiewicz. W wieku 15 lat młoda zawodniczka opuściła dom i przeprowadziła się do oddalonego o 400 kilometrów Białegostoku, gdzie trenuje w szkole mistrzostwa sportowego. Należy do kadry narodowej juniorów i rozwija swój talent u trenera Pawła Lenkiewicza. Jest świetnie zorganizowana, sumienna i charakterna. Doskonale przygotowana do życia w ciągłej podróży. Tym bardziej że im lepsze osiąga wyniki, tym częściej wyjeżdża na zgrupowania, turnieje, obozy, mistrzostwa. Nigdy jednak nie narzeka, bo jak sama mówi, badminton to jej miłość od urodzenia.

– Od dzieciństwa, gdy bywałam z mamą na sali, bardzo mi się podobał ten sport. Gram już 11 lat i chcę ciągle trenować więcej – mówi młoda ambitna juniorka.

Talent i pracowitość to bez wątpienia główne mocne strony zawodniczki Orlicza Suchedniów i reprezentantki ośrodka szkolenia sportowego młodzieży w Białymstoku, ale Wiktoria ma w sobie coś jeszcze, co pozwala widzieć w niej przyszłą mistrzynię olimpijską. Tym czymś jest ogromna ambicja. I świadomość swoich mocnych i słabszych stron. Bardzo zwinna i szybka, ma fantastyczne wyniki mimo niskiego wzrostu. Przyznaje jednak, że czasem w grze pojedynczej przydałoby się jej parę centymetrów więcej, ale zaraz dodaje:

– Bardziej stawiam na gry podwójne, w których w sumie ten mój wzrost nieraz nawet pomaga.

Z Wiktorią i panią Aleksandrą spotkałyśmy się w Lubinie w lutym 2017 roku podczas Mistrzostw Europy Drużyn Mieszanych w Badmintonie. Wiktoria nie

miała jeszcze wtedy skończonych 18 lat. Na miejscu dowiedziała się, że zagra mecz z Hiszpanką Caroliną Marin, mistrzynią olimpijską.

– Starałam się nie myśleć, że gram z taką zawodniczką, ale jednak miałam to ciągle z tyłu głowy. Czułam stres, ale też wielką radość. Bardzo się cieszyłam, że mogłam z nią zagrać. I ugrać parę punktów – przyznaje rewelacyjna juniorka, która chociaż przegrała, nie oddała meczu łatwo. Doświadczona, utytułowana Hiszpanka musiała popracować nad wygraną z młodziutką Polką. Jak po meczu stwierdziła pani Aleksandra, to spotkanie było dla Wiktorii wielką nagrodą za dotychczasową pracę. I motywacją do dalszego wysiłku.

Mama i córka o wielu sprawach mówią podobnie. Obie przyznają, że dużo rozmawiają o badmintonie.

Wyrażamy swoje opinie, analizujemy razem mecze, ja jej piszę wskazówki, żeby pomóc. Nie mamy spięć. Wspieram Wiktorię, ona chętnie słucha, bo wie, że mam duże doświadczenie. Nie pracuję wprawdzie na szczeblu kadry, ale uwagi trenera mniejszego klubu też mogą pomóc. Czasami z dołu lepiej widać – uśmiecha się pani Aleksandra. – Okazuje się często, że po jej meczu, opinie moja i jej trenera się zgadzają.

Wiktoria o relacji z mamą opowiada podobnie: – Analizujemy razem mecze, dobrze się dogadujemy nie tylko jako matka i córka, ale także jako trenerka i zawodniczka. Teraz trenuję w szkole mistrzostwa sportowego pod okiem trenera kadry, ale mama nieraz jeszcze pomaga mi na turniejach w Polsce, tak poza kortem.

Utalentowana zawodniczka na razie gra wszystkie rodzaje gier. Nie ukrywa jednak, że najbliższe jej sercu są debel i mikst. Podkreśla, jak ważna jest dla niej współpraca z innymi zawodnikami.

– Badminton jest sportem indywidualnym, ale przez to, że gra się również w parach, sprzyja rodzinnej atmosferze – opowiada Wiktoria. – Poza kortem jako drużyna bardzo dobrze czujemy się razem. Musimy sobie pomagać nawzajem, bo jakby nie było partnera za siatką, przeciwnika, to nie mielibyśmy jak trenować, osiągnąć tego, co chcemy.

Ma już za sobą wiele meczów w Polsce i za granicą. Mówi, że choć badminton, który jest bardzo szybki, wymaga ogromnego skupienia, nie wyobraża sobie grania w pustej hali.

– Głosy z widowni bardzo pomagają. Doping ciągnie zawodnika. Super się wtedy gra i czuje na boisku. Wprawdzie niezbyt słychać, co krzyczą, zwłaszcza, że staram się myśleć tylko o tym, co się dzieje na korcie, ale to wsparcie widowni i tak jest bardzo ważne. Ważne, że słychać, że ludzie są, pomagają, wspierają – mówi Wiktoria, która w trakcie gry stara się odizolować od wszystkiego i robić swoje. Przede wszystkim nie dopuszcza do głosu emocji. – Czasem się nie udaje, różnie bywa, ale staram się nie pokazywać niczego na zewnątrz i jakoś wszystko

idzie do przodu – dodaje skromnie. I nie ukrywa, że myśli o starcie na igrzyskach olimpijskich.

Pytana o sportowe marzenie, Aleksandra Dąbczyńska uśmiecha się i chwilę milczy, a potem przyznaje, że ma jedno.

– Teraz jestem skupiona na córce i na jej wynikach. Marzę o tym, by wszystko układało jej się szczęśliwie. Po mojej kontuzji, drżę o nią na każdych zawodach. A marzenie? Może nie powinnam go ujawniać, ale przecież wiadomo, że chodzi o igrzyska. Ona ma szansę na nie pojechać. W tej chwili jest najlepszą juniorką – pani Aleksandra nie kryje, że jest dumna z Wiktorii. – Jeżeli wszystko się dobrze ułoży i będzie mogła się przez te cztery lata przygotowywać, powinno się udać. A jeśli nie za cztery lata, to za osiem, przecież jest tak młoda, że ma czas. Marzeniem każdego sportowca jest udział w igrzyskach. To byłoby ukoronowanie całej mojej życiowej kariery. I moja córka może tego dokonać, nawet nie jeden raz.

Zawsze na olimpijskim poziomie

Adam Słomka – trener młodzików i juniorów w KS Chojnik Jelenia Góra, wcześniej przez lata zawodnik tego klubu, trener w szkole mistrzostwa sportowego w Szklarskiej Porębie.

Był taki etap w historii jeleniogórskiego badmintona, że jego trzon stanowiła rodzina Słomków.

Pierwszą sekcję badmintona, najpierw jako sekcję kometki, w Jeleniej Górze założył Michał Kostek już pod koniec lat 60. My zaczęliśmy przygodę z tym sportem znacznie później. Najpierw na początku lat 80. grał mój brat, od którego się wszystko zaczęło. To on przypadkiem wciągnął mnie do tej dyscypliny, a potem siłą rzeczy dołączyła do nas nasza młodsza siostra. Kilka lat później zaczął grać również bratanek.

Czyli cała rodzina żyje badmintonem.

Tak, to nasz rodzinny sport. Uważam, że jest fantastyczny. W klubie też panuje rodzinna atmosfera. Mamy dosyć dużo członków, w chwili obecnej około 60–70 zawodników. To jest już co najmniej drugie pokolenie grające w badmintona w Jeleniej Górze. Moi koledzy, z którymi grałem, przyprowadzają swoje dzieci. I trzeba dodać, że one zachodzą zdecydowanie wyżej niż my.

W Pana rodzinie nadal wszyscy grają?

Brat był cały czas związany ze sportem. Niestety, nie żyje, zginął w wypadku. Natomiast siostra jak najbardziej, wciąż gra. Może nie zawodowo, ale gra. Obecnie mieszka w Chinach, gdzie odbijają niemal wszyscy. Bardzo czynnie uprawia ten sport. Zawsze przyjeżdża na mistrzostwa Polski i wtedy razem gramy w miksta. Rewelacyjnie się bawimy. Wciągnęła też w ten sport swojego męża, który zakochał się w badmintonie po uszy. Aż czasem to on nas zamęcza tym tematem. W domu zrobił sobie tablice, rakietki, siatki i każdą wolną chwilę spędza z badmintonem. Jest totalnie zakręcony na tym punkcie.

Pana siostra przywozi z Chin azjatyckie nowości badmintonowe? Czy szkoły grania w badmintona w Azji i Europie różnią się jakoś?

Oni tam grają cały czas. Badminton jest bardzo popularny, jak u nas piłka nożna. Siostra ze swoim mężem chodzą do 11 czy 12 hal sportowych i klubów, które istnieją w tym mieście. Nie odwiedzili jeszcze wszystkich. Dodam, że jak na Chiny to jest niewielkie miasto, liczące 4,5 miliona osób. Justyna i jej mąż grają w drużynie złożonej z ludzi, którzy przychodzą się pobawić, zrelaksować po pracy. Nie są

to zawodowi gracze. Popularność badmintona w Azji jest tak ogromna, że można zobaczyć różne, zabawne sytuacje. Siostra na przykład widziała kobietę, która na boisku odbijała w butach na obcasach, albo mężczyznę, który palił papierosa i odbijał, a więc dla nich to jest przede wszystkim zabawa. Chińczycy grają wszędzie, mają czasami boiska wyrysowane w zakładach pracy. Natomiast ze sportem wyczynowym, który znamy z telewizji, moja rodzina nie ma tam do czynienia, poza tym że byli na kilku największych turniejach.

Wróćmy do czasu, gdy był Pan młodym zawodnikiem, wygrywał jedne, drugie, trzecie mistrzostwa, zdobywał kolejne medale... Kiedy przyszedł moment, że postanowił Pan związać swoje życie zawodowe z badmintonem?

U mnie to stało się troszeczkę z musu, dlatego że dosyć szybko nabawiłem się kontuzji. Miałem poważne problemy z kolanami i już w wieku 21 lat nie mogłem kontynuować gry. W Jeleniej Górze w tamtym czasie badminton całkiem nieźle funkcjonował. To były czasy TKKF-u, gdy do klubu pograć przychodziło dużo ludzi, głównie 20-, 30-latków. Ja byłem wtedy młodszy. Przychodziłem z kolegami na salę i patrzyliśmy, jak oni grają. Byliśmy samoukami. Mimo że w czasie tych ich „treningów" nigdy nawet sobie nie poodbijaliśmy, oni zaszczepili w nas pasję badmintona. W momencie gdy ja, niestety, musiałem przerwać grę ze względów zdrowotnych, wpadłem na pomysł, że warto zająć się trenowaniem dzieci. Sporo wtedy przychodziło ich grać. I tak powoli, krok po kroku, zacząłem od trenowania mojej siostry i jej rocznika. Przez wiele, wiele lat to była tylko moja pasja, która zabierała mi więcej czasu niż praca, ale wciąż jednak tylko i wyłącznie pasja. Dopiero od pewnego czasu mogę powiedzieć, że łączę pasję z pracą, chociaż nie chcę tego zajęcia tak traktować.

Dlaczego?

Jestem po prostu zakochany w badmintonie, ale przede wszystkim w młodzieży. Praca z nimi to niesamowita przygoda – od wielkiej radości po łzy, ale to jest fantastyczne. Przestałem oglądać sport w telewizji, dlatego że gdy gra jakieś moje dziecko na boisku, to wyzwala to we mnie ogromne emocje, nieporównywalne z tymi przy oglądaniu reprezentacji piłki nożnej czy siatkówki przed telewizorem. Bardzo lubię swoją pracę i przez to chyba czuję się młodszy niż jestem. Cały czas bujam w obłokach. Niestety, pewnie trochę cierpi na tym moja żona, ale jest wyrozumiała i jakoś się dogadujemy. Moje dzieci również grają w badmintona, nie z musu, ale dlatego że same chciały. Cieszę się, że też lubią ten sport. Starszy syn jest sędzią liniowym, a 7-letnia córka na razie odbija sobie rekreacyjnie i łapie bakcyla.

Żona też gra?

Nie, próbowała parę razy, nawet chciała, ale w związku z tym, że ja musiałem iść na trening, a ona musiała zostać w domu z dziećmi, nie gra. To moja wina.

Jakich zawodników Pan trenuje?

Zajmuję się trenowaniem osób od pierwszej klasy gimnazjum, którego już za chwilę nie będzie, do 20-latków. To jest dosyć duża grupa. Wcześniej wszystkie siły poświęcałem dla klubu, teraz większość energii wkładam w pracę w szkole mistrzostwa sportowego w Szklarskiej Porębie, gdzie jestem trenerem. Najlepsi zawodnicy z klubu są w tej szkole.

Zawodnik, z którym się pracuje non stop przez kilka lat, staje się bliski jak własne dziecko.

Tak też ich traktujemy. A jak oni nas traktują? Pewnie bardzo różnie, jak to w życiu. Jedni się dogadują lepiej, drudzy gorzej. Wydaje mi się, że jestem wymagający. Jeżeli coś robimy, to wymagam, żeby podchodzili do tego poważnie. Nie na zasadzie, że zawsze każdego dnia każdy musi dać z siebie sto procent, bo to jest niemożliwe, wszyscy miewają czasem gorszy dzień. Bardziej chodzi o to, żeby faktycznie żyli sportem, żeby dawali z siebie tyle, ile w danym momencie mogą. Stąd nieraz są też jakieś spięcia, może nie o wszystkich wiem, ale ja ich traktuję równo. Każda osoba może przyjść porozmawiać. Czy przychodzą? Myślę, że to jest ich wybór, wiedzą, że mogą przyjść, jeżeli będą chcieli.

Najbardziej satysfakcjonujące chwile w pracy trenera to pewnie sukcesy sportowe zawodników, ale czy zawsze chodzi o medale? Czy są też inne powody do radości niż stanie na podium?

Są. Do takich radości spoza podium zaliczam sytuacje, gdy widzę zawodników, którzy już odeszli z klubu czy ze szkoły, pojechali na studia, poszli do pracy, założyli rodziny i wracają do badmintona. Niektórzy próbują pracować z dziećmi, inni znajdują się świetnie w pracy zawodowej, a w badmintona grają dla relaksu albo przyprowadzają na treningi swoje dzieci. Wydaje mi się, że to jest fajne, że zaszczepiliśmy im pasję do sportu. Niekoniecznie musi być to akurat ta dyscyplina, chodzi o to, żeby się ruszali, byli w towarzystwie, nie siedzieli pozamykani w domach. Dobrze, że wychodzą do ludzi. Jeszcze bardziej cieszy mnie to, że oni dają sobie radę w życiu. Pomimo że czasami było im ciężko, szli na trening, nawet jak im się nie chciało. I teraz to przynosi efekty, procentuje. Ta młodzież potrafi walczyć o siebie, jest zahartowana. Drobne porażki ich nie rozkładają.

A do tego jeszcze wiodą zdrowy tryb życia.

Tak, dla mnie to jest największa radość. Spotykam się z wieloma moimi byłymi zawodnikami. Niekoniecznie osiągali wielkie sukcesy sportowe, ale świetnie radzą sobie w życiu. Sami teraz próbują przemycić badmintona w swojej rodzinie czy wśród kolegów.

A pod względem sportowym to oczywiście medale sprawiają wielką radość. Wygrane zawody to jest najpiękniejsze, co może być, spełnienie przede wszystkim zawodnika, który po ciężkiej pracy coś zdobył, ale także trenera. My tak naprawdę tylko im pomagamy. Chodzi głównie o radość dziecka, bo wprawdzie z naszą

pomocą, ale to ono samo zapracowało na sukces. Od zawodników w głównej mierze zależy, co osiągną, od ich zaangażowania, trochę też od tego, co im Pan Bóg dał, od talentu, bo przecież nie wszyscy, którzy pracują i są mocno zaangażowani, wygrywają. Badminton jest sportem indywidualnym i niewiele osób w nim dochodzi wysoko. Jeżeli mówimy o radościach, to jest też radość z tego, że zawodnicy potrafią zrozumieć, że to, że nie zdobyli medalu, nie znaczy, że zmarnowali czas. Po prostu spróbowali, zrobili, co mogli. Jeżeli oni to zrozumieją w momencie, kiedy im nie wyszło, uważam to za duży sukces. Bo w sporcie nie wszyscy wygrywają.

A są chwile, gdy serce trenera boli?

No boli, kiedy na przykład jakiś zawodnik odchodzi, bo ma chwilowe złamanie albo z powodu jakiegoś nieporozumienia kończy grę. Trudno na to pytanie odpowiedzieć, bo najwięcej chwilowych porażek przeżywa się w zwykłej codzienności, w kontaktach indywidualnych. Może dlatego że one są bardziej osobiste, ciężko o nich opowiedzieć. Nie tyle porażką, ile ogromnym smutkiem jest, gdy zżywamy się z zawodnikami, którzy trenowali u nas od malutkiego, obserwowało się, jak wyrastają na mężczyzn i kobiety, i przychodzi czas, gdy musimy się rozstać. To normalne, bo oni idą studiować, pracować, zakładają rodziny, zakochują się, mają swoje życie, a my nagle przestajemy dla nich istnieć. I oni przestają dla nas istnieć w codziennym wymiarze.

Trenerzy wtedy czują się jak rodzice, gdy dziecko wyfruwa z gniazda i zaczyna samodzielną drogę.

To są chyba najbardziej trudne chwile, bo porażki na korcie są wpisane w sport. Jedni wygrywają, drudzy przegrywają. Kiedyś strasznie takie rzeczy przeżywałem, a teraz rozumiem, że po prostu tak jest i nie ma się nad tym tak bardzo użalać.

Kiedyś dzieci więcej się ruszały, mnóstwo czasu spędzały na podwórku, dziś częściej siedzą w domach przed komputerami. Czy jeżeli już przyjdą na trening, widać że są z tego mniej rozruszanego pokolenia?

Ja nie mam do czynienia z maluszkami. W naszym klubie Adam Cimosz zajmuje się naborem i pracą z najmłodszymi. Może on mógłby więcej na ten temat powiedzieć. Ja pracuję z osobami, które są już na pewnym poziomie sportowym. Nie uważam jednak, żeby teraz młodzież była gorsza niż kiedyś.

Nie, nie chodzi o to, że jest gorsza, tylko że się mniej rusza. Mnóstwo dzieci ma zwolnienia z wuefu.

No dobrze, ale kto wymyślił zwolnienia z wuefu i kto pozwolił na takie rzeczy? To my dorośli pozwalamy dziecku, które nie za bardzo czuje sportowego ducha, by miało zwolnienie. A na lekcjach wuefu nie chodzi o to, żeby wychować zawodników, tylko żeby się poruszać. Jeżeli na lekcjach wuefu nauczyciel nie da odczuć dziecku, które gorzej rzuca piłką, jest może tęższe niż inni, tylko wciągnie je do zabawy, to to dziecko będzie chciało ćwiczyć. A jeżeli nauczyciel będzie to dziecko

wyśmiewał, wytykał je palcami i po prostu będzie chciał się go pozbyć z lekcji wuefu, to poprosi rodziców o zwolnienie lekarskie. Myślę, że w dużej mierze to my, dorośli pomogliśmy dzieciom zasiąść na kanapie. Myślę, że kiedyś jeśli dzieci miałyby wybór i mogły usiąść i nic nie robić, to wiele z nich wybrałoby nicnierobienie.

Czyli najważniejszy jest przykład, zachęta?

Tak mi się wydaje. Nie można generalizować, że jest jakaś jedna przyczyna. Na pewno komputery, które są z jednej strony czymś fantastycznym, bez czego już chyba nie możemy żyć i nie chcielibyśmy, mogą odciągać od sportu. Ale te same komputery są świetną pomocą. Na przykład młodzież, która żyje badmintonem, czerpie ogromne korzyści z internetu, gdzie może oglądać mecze, podpatrywać inne sposoby trenowania. Chodzi o zachowanie właściwych proporcji. Teraz jest ogromna konkurencja dla sportu, ale to nie jest zła sprawa.

Z drugiej strony można stwarzać jak najwięcej okazji, by do sportu zachęcać. Na przykład do badmintona.

Oczywiście. Polska była zawsze „zasiedzianym" krajem, choćby w porównaniu do Czech. Tam już wiele lat temu, jak jeździliśmy na obozy sportowe, znalezienie wolnego obiektu sportowego w sobotę czy niedzielę, graniczyło z cudem. Wszystko było zajęte. Ludzie po prostu przychodzili sobie pograć, odprężyć się, zabawić. Na szczęście teraz w Polsce wiele się zmienia, dlatego trafia do nas też dużo ludzi w starszym wieku. Przychodzą do klubów, siłowni, bardzo popularny jest teraz squosh, substytut tenisa, który jest sportem dla ludzi bardzo bogatych i badmintona, który z kolei jest bardzo wymagający i szybki. Squosh jest czymś pomiędzy. Ludzie jeżdżą na rowerach, biegają. Zaczynają rozumieć, że jak siądziemy po pracy na kanapie, to się szybciej zestarzejemy, szybciej będziemy uciekać z tego świata.

Jakby Pan miał krótko powiedzieć, dlaczego pokochał Pan tak bardzo akurat badminton, a nie piłkę nożną, pływanie, czy skoki w dal, to co by Pan powiedział?

Bo to jest badminton. A nieco szerzej – bo to jest sport indywidualny, a ja jestem troszeczkę indywidualistą i wolę sam się winić za porażkę i sam się cieszyć z sukcesu. A poza tym jest to sport, który łączy wiele elementów. Nie można być utalentowanym badmintonistą pod jednym kątem, w tej dyscyplinie liczą się motoryka, świetny refleks, szybkość. To jest sport bardzo niedoceniany. Na przykład w Stanach Zjednoczonych badminton nie istnieje, albo w bardzo małym procencie istnieje, jako sport zawodowy, natomiast jest traktowany jak „gimnastyka korekcyjna" i uprawia się go w każdej amerykańskiej szkole. Tam bardzo szybko dostrzeżono, że badminton rozwija tak wiele elementów w człowieku, że wart jest uprawiania.

Poza sprawnością fizyczną, jest też wymagający intelektualnie.

Oczywiście, trzeba się nauczyć taktyki, strategii, umieć szybko analizować i podejmować decyzje.

Krótko mówiąc: sport dla inteligentnych.

Chciałbym, żeby badminton był tak postrzegany. Nie zastanawiałem się nad tym, dlaczego pokochałem akurat ten sport. Trafiłem do niego przypadkiem i bardzo mi się spodobał. Na początku był to sposób na spędzanie czasu z kolegami i wspólną paczką, mniej może chodziło o samą grę, ale potem jak pojawiła się rywalizacja, zakochałem się w badmintonie.

To jest sport dla wszystkich, czy trzeba mieć do niego predyspozycje? Jeśli tak, to jakie?

Zależy, co chcemy osiągać. Jeżeli chcemy się bawić, to badminton jest absolutnie sportem dla wszystkich. Jeżeli chcemy osiągać sukcesy sportowe, to następuje selekcja. Już, niestety, liczą się pewne wrodzone predyspozycje, które musi mieć dziecko chcące osiągnąć mistrzostwo. Można się jednak bawić, tak jak w Chinach, gdzie odbijają wszyscy. Najważniejsze, żeby mieć partnera do tej zabawy na takim samym poziomie. Nieważne, czy jest to poziom olimpijski czy podwórkowy. Jeżeli dwie osoby będą na podobnym poziomie, to ich mecze będą zawsze na olimpijskim poziomie, jeżeli chodzi o emocje.

Sport i medycyna

Bartosz Szafran – lekarz kardiolog, sędzia piłkarski, sędzia badmintonowy, redaktor portalu igrzyska24.pl

Co było pierwsze: sport czy medycyna?

Sport był pierwszy. Jako nastolatek kibicowałem piłce nożnej, nawet trochę grywałem jako bramkarz w Śląsku. Trenowałem też szermierkę, imałem się różnych sportów, ale ostatecznie zwyciężyła piłka. Nie miałem jeszcze 17 lat, gdy mój kuzyn powiedział: „Słuchaj, ja kiedyś sędziowałem. Jest kurs sędziowski, pojedź sobie na ten kurs". Posłuchałem go i pojechałem. W 1990 roku zacząłem sędziować mecze piłki nożnej. I tak sędziuję już ponad 25 lat. Na różnym poziomie. Przez kilka lat sędziowałem nawet drugą ligę. W karierze przeszkodziła mi choroba – na przełomie wieków zachorowałem na nowotwór. Na szczęście, to wszystko jest już pozamiatane. Jestem zdrowy, ale jako efekt została obniżona kondycja, miałem przerzuty do płuc. W sumie może i dobrze się stało, bo pod koniec lat 90., gdy byłem dosyć wysoko i miałem szansę wejść jeszcze wyżej, zaczęły się pojawiać wiadome tematy: korupcja, Fryzjer, itd. Niewykluczone, że choroba nowotworowa uratowała mnie przed występowaniem w „Gazecie Wrocławskiej" z czarnym paskiem na oczach [śmiech]. To jedno można uznać za dobre w złym. Po 25 latach w pewnym momencie zaczęło mi brakować kondycji, więc dałem sobie spokój. Stwierdziłem, że lepiej zostanę obserwatorem w trzeciej lidze, niż żeby mi powiedzieli w drugiej: „Chłopie, daj sobie spokój, nie dajesz rady". Wytrzymałem rok bez sędziowania.

Zatęsknił Pan za emocjami?

Powiem szczerze, że bycie obserwatorem to jest nuda. Jedzie się, żeby siedzieć na trybunach, a ja byłem przyzwyczajony do biegania na boisku. Nie lubię nawet patrzeć na piłkę w telewizji, bo mnie to nudzi. Sędziowałem w życiu 1300 zawodów. Dla mnie piłka jest na boisku. Przed telewizorem mogę zobaczyć tylko jakieś naprawdę dobre mecze. Polskiej ekstraklasy nie jestem w stanie oglądać w telewizji. Zaczęło mi brakować aktywniejszego sędziowania i tak z głupia frant, pojechałem na kurs sędziowski badmintona. Zdałem egzamin i jestem od ponad roku sędzią badmintona.

Ale Pana przygoda z badmintonem zaczęła się od pisania?

Tak, od pisania na portalu igrzyska24.pl. Owszem, wcześniej interesowałem się badmintonem, ale bardziej jako niedzielny kibic. Potem założyliśmy

z kolegami portal i siłą rzeczy podzieliliśmy się dyscyplinami. Było nas czterech, od B do F dostał jeden, od H do L dalej drugi... Oczywiście żartuję, a już poważnie – zacząłem się strasznie wciągać w badmintona, pisząc. Od tego się zaczęło sędziowanie. Kolejnym krokiem było nawiązanie – zupełnym przypadkiem – współpracy z Markiem Zawadką. On kiedyś trafił na nasz portal, a ja napisałem o pierwszych turniejach organizowanych w Lubinie. To były Polish Open czy International, już nie pamiętam. Napisałem do organizatorów z pytaniem, czy chcieliby patronat prasowy i tak to ruszyło. Wtedy jeszcze nie myślałem o sędziowaniu badmintona, sędziowałem piłkę nożną. Piłka i portal to były dwie zupełnie niezależne rzeczy. Naturalną konsekwencją pisania o badmintonie, poruszania się w tym środowisku, było, że w końcu zostałem sędzią. W zasadzie o badmintonie w Polsce mało kto pisze, dwa portale: BadmintonZone Janusza Rudzińskiego i my.

Czyli jest to nisza do zagospodarowania.

Straszna nisza. Badminton jest w Polsce zupełną niszą, czego kompletnie nie rozumiem. Nie wiem, dlaczego ta naprawdę niesamowita dyscyplina nie jest w Polsce popularniejsza. Tym bardziej że mamy ją na tak wysokim poziomie.

I jest to sport ogólnorozwojowy. Teraz zapytam lekarza, kardiologa: badminton jest wskazany dla serca?

Dla zdrowego serca. Dla chorego serca to za duże obciążenie. Badminton jest sportem bardzo rozwijającym, liczy się dynamika i wytrzymałość, refleks i koncentracja. Często polecam swoim pacjentom aktywność ruchową w postaci badmintona. Ponieważ jednak jest to sport wymagający, nie mówię o nim ciężko chorym, ale takim po „drobnych" zawałach. Badminton rewelacyjnie nadaje się do rehabilitacji kardiologicznej.

Przy Euro 2012 był Pan lekarzem odpowiedzialnym za bezpieczeństwo na stadionach. Jak do tego doszło? I po drugie, jak rozumiem, badmintoniści już się nie muszą martwić o lekarza?

Myślę, że nie muszą. A z Euro 2012 to, jak zwykle, był przypadek.

Przypadki bardzo Pana lubią.

Oj, lubią mnie, lubią. To się stało przez sędziowanie. Kiedyś, gdy już dostaliśmy te mistrzostwa, powiedziałem naszemu ówczesnemu prezesowi Dolnośląskiego Związku Piłki Nożnej a obecnemu wiceprezesowi PZPN-u Andrzejowi Padewskiemu, że jakby czegoś potrzebowali, to ja chętnie pomogę. Minęło kilka miesięcy i Andrzej zadzwonił. Mówi: „Słuchaj, zadzwoni do ciebie taki pan, Jarek Maroszek, ma jakąś funkcję dla ciebie". I zadzwonił Jarek Maroszek, a ja oczywiście wtedy nie kojarzyłem, że to jest jedna z ważniejszych postaci w Urzędzie Marszałkowskim.

Od zdrowia.

Tak *[śmiech]*. Zaprosił mnie na spotkanie, powiedział, żebym przysłał wcześniej krótkie CV. Wysłałem, poszedłem. To była prezentacja zespołu organizującego Euro

2012 we Wrocławiu. Patrzę i oczom nie dowierzam: „Bartosz Szafran, koordynator zabezpieczenia medycznego stadionu". Myślę sobie: „O ku..., no to pięknie". Myślałem, że pobiegam sobie z jakąś torebką podczas meczów, a tu coś takiego. To była straszna, niesamowita robota, bo myśmy tak naprawdę uczestniczyli w projektowaniu stadionu. Trzeba było odpowiednio zaprojektować pomieszczenia medyczne. Ale też niesamowita przygoda – zjeździłem kawał świata jako organizator. Byliśmy na Euro 2008, w RPA na mistrzostwach świata, w Anglii. Po to, żeby zobaczyć, jak zabezpieczenie medyczne funkcjonuje na wielkich światowych stadionach. Jeździłem i uczyłem się. Wzorem, na którym opieraliśmy się we Wrocławiu, jest angielska organizacja. Zaprzyjaźniliśmy się z ludźmi z Arsenalu Londyn. Jeździliśmy tam kilka razy, patrzyliśmy, jak oni organizują zabezpieczenie medyczne. Najpierw byłem koordynatorem tylko we Wrocławiu, a potem jakoś tak wyszło, że zaproponowano mi, żebym został koordynatorem wszystkich stadionów w Polsce. No i koniec końców nagle się stałem pierwszą osobą, jeśli chodzi o zabezpieczenie medyczne stadionów w Polsce. To mnie kompletnie zaskoczyło. Najważniejsze, że teraz zupełnie inaczej wygląda kwestia bezpieczeństwa na imprezach masowych. Kiedyś na mecze Śląska na Oporowskiej przyjeżdżała jedna karetka, czasem dwie. Obie były wtedy „wyjęte" z systemu. Teraz wszystko jest zorganizowane jak trzeba, są standardy – na określoną liczbę widzów odpowiednia liczba karetek i patroli medycznych. To jest wielki sukces Euro 2012. Jako komitet organizacyjny to my współtworzyliśmy rozporządzenie zwane BIM, czyli ustawa o bezpieczeństwie imprez masowych w zakresie zdrowotnym. Myślę, że jest teraz bezpiecznie zarówno dla zawodników, jak i kibiców. Jak już się powiedziało A, trzeba było powiedzieć B. Zaczęły się kolejne propozycje związane z różnymi imprezami: Pucharem Świata w biegach narciarskich w Szklarskiej Porębie, mistrzostwami świata w jujitsu, a teraz zaproponowano mi nową fuchę, czyli głównego lekarza World Games.

A przy tym wszystkim normalnie pracuje Pan jako lekarz w przychodni i działa w Polskim Towarzystwie Kardiologicznym.

Tak, jestem w zarządzie największej sekcji PTK. Tam też mam trochę pracy, szczególnie, że jestem odpowiedzialny za organizację drugiego co do wielkości Polskiego Kongresu Kardiologicznego.

Pan w ogóle śpi?

Śpię. Mam dwójkę dzieci: 5-letniego syna i roczną córkę. Pawełek mówi do mnie „tato", a nie „proszę pana", tak więc nie jest źle. Zresztą, naprawdę trochę odpuściłem i mniej rzeczy robię. Zajmuję się jeszcze medycyną sportową, ale to zupełny dodatek i naturalna konsekwencja zainteresowań.

Medycyna sportowa to głównie kontuzje?

Kwalifikacje, dopuszczanie zawodników, szczególnie tych nieletnich do sportu, żeby nie było nagłych zgonów na boisku.

Jak Pana żona przyjmuje te wszystkie zajęcia?

Muszę powiedzieć, że wiedziała, z kim się wiąże. Poznała mnie w okresie największej „zadymy" związanej z Euro. Zawsze powtarzała, że lubi ludzi, którzy mają swoje pasje, ale śmieje się, że ja z liczbą pasji przesadziłem. Ale spokojnie, moja rodzina nie cierpi z powodu moich zajęć.

Plany związane z badmintonem?

Szczerze? Powiem tak: mój cel, jak zaczynałem być sędzią, był taki: powiedziałem żonie, że jadę na kurs po to, żeby w 2028 roku pojechać na igrzyska. I taki mam plan.

Zapewne tak będzie.

Gdyby to tylko ode mnie zależało, to pewnie bym dał radę, ale o tym decyduje więcej osób. Tak naprawdę jestem początkującym sędzią, wiele zawdzięczam Markowi Zawadce. Dzięki niemu sędziowałem kilka turniejów, których w normalnych warunkach bym nie sędziował. Mam nadzieję, że niedługo zdobędę kolejny stopień. I będę spokojnie realizował plan. Oczywiście, jak nie pojadę na igrzyska, to się nie obrażę, ale na pewno bym chciał. A w związku ze zmianą zarządu w Polskim Związku Badmintona mam pole do popisu. Przede wszystkim od strony medialnej. Już zaproponowałem, że mogę pisać, tworzyć teksty na stronę Polskiego Związku Badmintona. Przecież to żaden problem, skoro i tak piszę o badmintonie. Jeden artykuł więcej czy mniej? Żadna różnica. Zobaczymy, jak będzie. Marek Zawadka na razie ma trochę inny pomysł. Jego koncepcja to stworzenie strony Badminton Polska, a strona Polskiego Związku Badmintona ma być stricte komunikatowa. Ja się nie do końca z tym zgadzam. Inne związki mają wszystko połączone. Uważam, że tworzenie dwóch stron oficjalnych o badmintonie, rozmyje sprawę, ale to są rzeczy do dyskusji. Spotkam się z nim i będę chciał rozmawiać.

Gra Pan w badmintona?

Nie. W ramach przygotowania do Euro, komitet się spotykał w różnych miejscach Polski i zawsze robiliśmy turnieje badmintonowe. Ja oczywiście grywałem w tych turniejach badmintonowych, ale wszyscy mi mówili, że wygrywałem dlatego, że stylem gry rozśmieszałem przeciwników tak, że nie byli w stanie grać. Widziałem się kiedyś na filmie z takiego turnieju, rzeczywiście mogłem zabijać rywali niekonwencjonalnym sposobem gry. Pozostanę przy sędziowaniu i pisaniu o badmintonie.

Lotka jest kobietą

Lotka, a konkretnie Lotka Lubin jest kobietą, a mówiąc jeszcze precyzyjniej grupą kobiet. Ale od początku...

Jest rok 2012. Pięć młodych dziewczyn, z których każda zawodowo zajmuje się czymś innym, postanawia działać razem na rzecz badmintona. Właściwie należałoby powiedzieć: na rzecz sportu – przede wszystkim badmintona – i... kultury. Ambitnie, ale twórczynie Lotki Lubin są ambitne. Prywatnie od dawna się przyjaźnią. Ważny jest jeszcze jeden szczegół – znają człowieka, któremu, jak mówią, zawdzięczają umiejętność organizacji, zapał do ciężkiej pracy i przede wszystkim wiedzę o badmintonie. Według nich, to on jest spiritus movens grupy. Marek Zawadka, dyrektor Ośrodka Kultury Wzgórza Zamkowe w Lubinie i prezes Polskiego Związku Badmintona, bo o nim mowa, pytany o początki organizacji z typowym dla siebie poczuciem humoru, mówi: – Nikt nie wie, jak to się stało.

Ale to niezupełnie prawda. Dziewczyny, które stworzyły Lotkę Lubin, czyli: Ewa Danilewicz (prywatnie córka Marka Zawadki), Zorika Mikołajczak (wtedy jeszcze Tysiak), Ewelina Haduch, Joanna Kulik i Aneta Bilewicz, jak na kobiety przystało, doskonale pamiętają początki formacji, która w tym roku w zdobyła nagrodę Badminton Europe w kategorii „Women in badminton".

– Lotka Lubin najpierw była nieformalną grupą ludzi. Powstała, by organizować eventy. Pierwszym z nich był Polish Open 2012 – wspomina Zorika Mikołajczak. – Zorganizowaliśmy ten turniej pod nadzorem dyrektora. To on nas nauczył wszystkiego o badmintonie. Wprawdzie graliśmy wcześniej rekreacyjnie, ale nikt z nas nie przypuszczał, że będziemy się zajmować tą dyscypliną na większą skalę.

Turniej Polish Open 2012 odbył się w Lubinie. Został wysoko oceniony nie tylko przez zawodników i trenerów, ale także przez Polski Związek Badmintona. Właściwie dla wszystkich było oczywiste, że nie są to ostatnie badmintonowe zawody w tym mieście. Kiedy na horyzoncie pojawiła się szansa organizowania większych turniejów, także międzynarodowych, Lotka Lubin musiała nabrać formalnych kształtów. W 2014 roku powstało Stowarzyszenie Sport-Art, którego celem jest upowszechnianie kultury fizycznej, zdrowego stylu życia (stąd w nazwie słowo „sport") i kultury w ogóle, wszelkich działań artystycznych (stąd cząstka „art").

Lotka Lubin to w 90 procentach kobiety, którym pomagają mężczyźni. Panie zajmują się właściwie wszystkim oprócz pracy fizycznej.

– Logistyka, dokumentacja, finanse, grafika, tłumaczenia, programy, cała organizacja to zadanie kobiet. Na mężczyznach spoczywa praca fizyczna, jak

rozstawianie kortów czy sceny – wyjaśnia Zorika Mikołajczak, do niedawna prezes Stowarzyszenia Sport-Art, a obecnie prezes Dolnośląskiego Związku Badmintona.

Dziś Lotka Lubin liczy od 30 do 40 osób, ale jej żelazny trzon jest mniej więcej 15-osobowy. Tworzą go poza wymienioną już piątką także: Kamila Tworek, Agata Bończak, Ilona Wieczorek, Olga Spiak, Izabela Grygiel, Małgorzata Biadala czy Joanna Czyż.

W ciągu kilku lat ekipa kryjąca się za nazwą Lotka Lubin zdążyła już zorganizować w mieście kilka Festiwali Kwiatów i Festiwali Piwa, licznych koncertów i przede wszystkim takich imprez sportowych, głównie badmintonowych, jak wspomniane już Polish Open Championships w 2012 roku, Polish International Championships (2013), Babolat Polish International Junior Championships (2014), Li-Ning Polish International Junior Championships, European Junior Championships, za które Marek Zawadka jako szef przedsięwzięcia dostał wyróżnienie. Pod jego kierunkiem lubińska grupa rewelacyjnie przygotowała też Amatorski Turniej Badmintona i Mistrzostwa Dolnego Śląska Dzieci i Młodzieży (2015). Równie bogate w badmintonowe turnieje były kolejne lata. W 2016 roku Lotka Lubin zorganizowała Artengo Polish International Junior Championships, Badminton European U17 Championships, Kawasaki Grand Prix Młodzików, Li - Ning Grand Prix Juniorów i Amatorski Turniej Badmintona.

Lubińskie stowarzyszenie od dłuższego czasu organizuje zawody w imieniu Polskiego Związku Badmintona. Tym bardziej że Marek Zawadka, inicjator Lotki Lubin, w grudniu 2016 roku został jego nowym prezesem. Największą jak dotąd imprezą zorganizowaną przez dziarskie dziewczyny pod wodzą szefa PZBad były European Mixed Team Championships, czyli Mistrzostwa Europy Drużyn Mieszanych. Równolegle do tych zawodów w Lubinie odbyły się też Polish U17 International Championships – Sport – Art. A to nie wszystko. Równolegle odbyły się wtedy także Puchar Dolnego Śląska w grach pojedynczych w kategoriach: U7, U9, U11, U13, U15.

Pytane o przepis na sukces, członkinie Lotki odpowiadają:

– Nerwy ze stali, dużo jedzenia, bo przygotowując zawody, pracujemy po 18–19 godzin. Zajmujemy się wszystkim, od planowania, zapraszania uczestników, wynajmowania dla nich hoteli, po rozstawianie i mycie kortów oraz robienie kanapek – wylicza Zorika Mikołajczak. – Dyrektor Marek Zawadka od początku uczył nas, że jak coś robimy, to mamy to robić porządnie i strasznie rugał za błędy. Dziś robimy ich znacznie mniej. Poza tym, każdy kolejny turniej uczy nas czegoś nowego.

– Wszyscy pracujemy na sukces i gramy do jednej bramki – dodaje Ewelina Haduch, nowa prezes Stowarzyszenia Sport-Art. – Spędzamy ze sobą tak dużo czasu, że jesteśmy już jedną wielką rodziną.

– Chodzi nam nie tylko o dobrą organizację, ale też o dobrą atmosferę. Chcemy, żeby wszystko działało bez zarzutu, ale też, żeby ludzie, którzy przyjeżdżają na turnieje, dobrze się u nas czuli – dorzuca Joanna Kulik.

Lotka Lubin – prawdziwa historia

Ewa Danilewicz – założycielka Lotki Lubin.

Ewa Danilewicz: Czy Lotka Lubin jest kobietą? Hmmm.. W jakichś 80 procentach tak (chociaż jakbym poprosiła męża, to wyliczyłby dokładnie za pomocą jakiejś całki). Myślę, że jeśli chodzi o kwestię organizacji, ale takiej logistycznej, to Lotka Lubin jest kobietą. Nie oszukujmy się jednak – nie dałybyśmy rady rozłożyć wszystkich kortów itp. To znaczy, pewnie poradziłybyśmy sobie, ale nie ma potrzeby niczego udowadniać ;) Prawdą jest, że wszystko zaczęło się w 2012 roku. Wtedy nikt nawet nie pomyślał, że przy okazji Polish Open 2012 powstanie mityczna organizacja zwana „Lotką Lubin".

Zaczęło się niewinnie. Od telefonu. „To będziesz odbierała i odpisywała na maile, ok?" „Ano będę" – odpowiedziałam. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, jak bardzo ludzie potrafią być męczący. Z pierwszej imprezy pamiętam niewiele, ale chyba do końca życia będę miała przed oczami, jak księgowa Asia Czyż biegnąc, zmieniała szpilki na trampki po to, aby podkleić kort. Taka była sytuacja, bo przecież było wtedy kameralnie – Wzgórze Zamkowe robiło trzy imprezy w jednym czasie i tak wyszło, że zostałyśmy same.

Po pierwszym turnieju okazało się, że ciężko jest organizować takie zawody z garstką ludzi odpowiedzialną za transport, logistykę i promocję imprezy. I tak jak kula śniegowa zaczęła rosnąć liczba ludzi, która pracowała przy turniejach. Niektórzy sprawdzili się, a niektórzy mniej. Wydaję mi się, że każdy od każdego nauczył się jakichś nowych umiejętności, przez co z turnieju na turniej wyglądało to coraz lepiej i tak nastał moment, w którym mogliśmy wskoczyć na wyższy poziom.

Jak zwykle w przypadku Zawadki, zaczęło się niewinnie: „A może zapytasz, czy nie moglibyśmy zorganizować Mistrzostw Europy Juniorów?" Zapytałam. Kto pracował z Zawadką, wie, że wyjścia nie miałam. Zaproszono nas na rozmowy do Danii. Pojechaliśmy... Gdyby tylko dało się opisać miny Badminton Europe, kiedy prezes (jeszcze wtedy chyba nie myślał, że nim zostanie. Albo myślał, ale się nie przyzna) powiedział: „To może zrobimy cztery turnieje?" Jak to w twardych negocjacjach, nie zgodzili się od razu. Że niby zarząd... Że zobaczą... Ale, że jesteśmy fajni, to raczej tak. No i dostaliśmy.

Wtedy zaczął się roller coaster i w jakiś naturalny sposób wyklarowały się grupy odpowiedzialne za każdą z kwestii organizacji. I faktycznie, jeśli chodzi

o organizację, dziewczyny zajmują się lwią częścią – od planowania, zapraszania uczestników, wynajmowania hoteli, rozmów ze sponsorami, zawodnikami, gośćmi aż po robienie kanapek na kolację (nie można w tym momencie nie wspomnieć o chłopcach, którzy przygotowują turnieje od strony technicznej).

Więc kim jest dokładnie ta Lotka Lubin? Jeśli trzeba wymienić z nazwiska, to jest to kilka kobiet. Zorika Mikołajczak (kiedyś Tysiak, ale nie wiadomo, bo jeszcze nie zmieniła nazwiska na fejsie), która początkowo zajmowała się transportem uczestników po to, aby w przyszłości awansować na prezesa Stowarzyszenia Sport-Art, a teraz Dolnośląskiego Związku Badmintona. Joanna Kulik odpowiedzialna za zakwaterowania, aktualnie pracuje w Polskim Związku Badmintona. Ewelina Haduch, która pojawiła się znienacka i swoją pracowitością zasłużyła sobie na wielokrotne bycie dyrektorem turnieju/mistrzostw. Aneta Bilewicz, Asia Czyż, które cały czas podziwiam, za skrupulatne liczenie i wypełnianie KP (dowodów wpłaty), co dla mnie jest czarną magią. Do tej pory myślę, że należy im się duże uznanie za to, że w kwestiach finansów umieją się dogadać w każdym języku. Oczywiście, trzeba również powiedzieć o dziewczynach z artystyczną duszą – Agacie Bończak, Kamili Tworek, Izie Grygiel, bez których nie powstałaby tak piękna oprawa graficzna żadnego z eventów. Myślę, że to w dużej mierze dzięki oprawie graficznej turnieje odbierane są jako bardzo profesjonalne. Dobrą robotę robią również dziewczyny odpowiedzialne za dekorację, czyli Ilona Wieczorek czy Małgorzata Biadala. Można by tak jeszcze trochę powymieniać i wspomnieć o dziewczynach, które wiele razy jeżdżą na lotnisko, do hoteli, mopują korty, pilnują porządku na hali treningowej oraz niestrudzone do późnej nocy sprzątają halę. Faktem jest, że są to dziewczyny. Ciężko stwierdzić, dlaczego tak się zadziało. Ale żeby nie było tak słodko. Jak to z babami – czasami świrujemy, dlatego trzyma nas żelazna ręka prezesa. Pewnie dzięki niej z imprezy na imprezę, pomimo wielu wylanych łez, nie załamywałyśmy się i rozwiązywałyśmy problemy nie do rozwiązania. A nie od dziś wiadomo, że nic nie działa bardziej mobilizująco jak dobra reprymenda. Więc nie ma co wciskać kitu, że Lotka Lubin to tylko girls power, chociaż na pewno on to wszystko napędza.

Badminton i muzyka mają wiele wspólnego

Sonia Wachowska - trenerka STB Energia Lubliniec, pianistka, absolwentka Akademii Muzycznej w Katowicach, nauczycielka w szkole muzycznej w Lublińcu, z powodzeniem łączy muzyczne i sportowe pasje.

Jest Pani pianistką, nauczycielką, trenerką badmintona, a wcześniej zawodniczką. Badminton pojawił się w Pani życiu w szkole?

Właściwie nigdy nie byłam zawodniczką. Moja przygoda z badmintonem zaczęła się od grania w salce z jednym boiskiem z grupą pasjonatów, do których przyłączałam się raz w tygodniu, gdy przyjeżdżałam do domu na sobotę i niedzielę z liceum muzycznego z Katowic. Najczęściej w niedzielę wskakiwałam na tę salkę, by sobie poodbijać. Z początkowo rekreacyjnego grania później wzięła się liga, bo to były tamte czasy, gdy były cztery ligi. Zaczęliśmy od czwartej, dobrze nam szło, dostaliśmy się do trzeciej, a nawet awansowaliśmy do drugiej, ale to już były nasze najwyższe osiągnięcia. A poza tym w pewnym momencie zaczęłam mieć dylemat, co ważniejsze – szkoła czy sport, bo badminton kolidował mi troszkę z nauką w liceum muzycznym.

Przecież zarówno fortepian, jak i badminton wymagały wielogodzinnych ćwiczeń.

Tak, tym bardziej że w liceum robiłam dwa kierunki: fortepian jako główny i rytmikę, a to są dwa niezależne działy. I jeszcze, jakby mało tego było, to wymyśliłam, będąc w klasie maturalnej, że zacznę uprawiać taniec towarzyski.

Który też wymagał czasu i zaangażowania...

Tak, i gdy uświadomiłam sobie, że miałam trochę za dużo na głowie, zaczęły się dylematy, czy jechać na mecz ligowy, czy startować w turnieju tańca towarzyskiego, czy ewentualnie poćwiczyć na fortepianie do egzaminu. Jednak dosyć długo jakoś godziłam te wszystkie pasje.

Ale w pewnym momencie z czegoś musiała Pani zrezygnować i padło na badminton?

Ja nigdy nie byłam zawodniczką, w pełnym tego słowa znaczeniu, prowadzoną od początku przez trenera. Nigdy nie miałam trenera! Nasza grupa była zróżnicowana wiekowo, ja tam byłam jedną z młodszych osób. Graliśmy kilka lat, ale w pewnym momencie samoistnie to się skończyło. Druga liga to już były trochę za wysokie progi dla naszych umiejętności. Poza tym ludzie poszli do pracy, pożenili się, mieli dzieci i wszystko naturalnie się rozeszło.

Ale po latach badminton znów zagościł i to już na dobre w Pani życiu.

Po 15 latach przerwy. Przez ten czas w ogóle nie miałam do czynienia z badmintonem. Zajęłam się studiami muzycznymi i podyplomowymi. Najpierw studia na Wydziale Teorii Muzyki, Dyrygentury i Kompozycji Akademii Muzycznej w Katowicach, a potem podyplomówka na Akademii Muzycznej w Warszawie – specjalność teoria muzyki. Już nawet miałam zaczętą pracę doktorską, gdy mój najmłodszy synek Jędrzej zaczął przejawiać talent do gier „rakietowych". Jako 3-, 4-latek naprawdę świetnie sobie radził. Wtedy na nowo zrodził się pomysł, żeby ci ludzie, którzy grali 15 lat wcześniej, znów się „skrzyknęli" i wrócili do badmintona. I udało się. Znów zaczęliśmy od jednej salki, później były dwa boiska, a z czasem zarejestrowaliśmy się jako klub. Zrobiłam uprawnienia instruktorskie u pani Bożeny Wołkowyckiej na Akademii Wychowania Fizycznego w Katowicach, i rozpoczęły się prawdziwe treningi. Obecnie trenujemy na hali z sześcioma kortami.

Postanowiła Pani trenować dzieci.

Zaczęło się bardzo niewinnie – dzieci amatorów badmintonistów, mój własny syn... Pierwsze starty w Grand Prix Adeptów Badmintona w Częstochowie. I jak to się mówi – głupi ma zawsze szczęście...

Czyli?

Rewelacja! Trafiła mi się szóstka zawodników, z których każdy ma medale mistrzostw Polski, i indywidualne i drużynowe. Obecnie pięciu moich zawodników jest w kadrze narodowej.

Pani syn też nadal gra?

Tak, jest już juniorem. Mój syn jest rodzynkiem. Zawsze mówię, że jako kobieta instruktorka badmintona przyciągam raczej dziewczyny. Zdecydowana większość moich zawodników to dziewczyny.

Ich sukcesy stawiają przed Panią większe wymagania? Mobilizują do pracy?

Oczywiście. Muszę wkładać w przygotowanie treningów więcej pracy, bo spoczywa na mnie większa odpowiedzialność. Tym większa, im wyższy wynik osiągają moi zawodnicy. Jestem bardzo otwarta i lubię posyłać swoich podopiecznych do innych trenerów na konsultacje, kadry, obozy. Staram się również podpatrywać cały czas swoich kolegów i się od nich uczyć, zwłaszcza że sama nie byłam zawodniczką prowadzoną przez trenera. Może ma to taki plus, że nie idę jednym torem.

I nie jest Pani zaborcza.

[śmiech] Na pewno nie, nie jestem. Staram się nie być toksyczną osobą ani kobietą bluszczem w stosunku do zawodników. Z roku na rok widzę coraz więcej związków muzyki ze sportem i sportu z muzyką. Zresztą, bardzo często jak mamy luźniejsze okresy, robimy sobie treningi przy muzyce. I nawet kroki dostosowujemy do utworów, do ich tempa.

To pomaga?

Uczy wyczucia czasu, które jest w badmintonie niesamowicie potrzebne, podobnie jak kwestia zsynchronizowania swojego ruchu, pokonania odległości do danej lotki, itd. To wszystko ma dużo wspólnego z rytmem, a rytm to muzyka. Poczucie rytmu własnego ciała w muzyce też jest bardzo istotne. Te rzeczy się łączą, widzę bardzo dużo wspólnego, czasami mecze można porównać do formy muzycznej, do wariacji, do ronda, itd., idąc zupełnie daleko w tych porównaniach. Naprawdę jest to bardzo ciekawe zestawienie i wbrew pozorom dużo badmintonistów ma coś wspólnego z muzyką. Sport i muzyka nie zaprzeczają sobie, a moim zdaniem wręcz pomagają, bo pewne predyspozycje, jak: wspomniane już poczucie rytmu, wyczucie przestrzeni, kwestia inteligencji przestrzenno-ruchowej, potrzebne są zarówno w muzyce soliście, jak i sportowcowi. Badminton, mimo że jest też rozgrywany w grach podwójnych, to bardzo indywidualna dyscyplina sportu. W sferze psychicznej i muzyka, i sport kształtują odporność na stres.

Zatem potrafi Pani nie tylko szkolić technikę zawodników, ale też świetnie przygotować ich psychicznie.

Staram się. Czy świetnie? Nie wiem, ale zawsze mogę zwrócić się do siostry – psychologa [śmiech] i w razie potrzeby bardzo szybko mogę zasięgnąć fachowej rady. Rzeczywiście, wykorzystuję w pracy bardzo dużo różnych technik i korzystam z doświadczenia innych.

A to jest przecież niesamowicie ważne, bo wielu rewelacyjnie przygotowanych technicznie sportowców gubi stres.

Tak, głowa jest ogromnie ważna. Mam swoje haczyki na każdego zawodnika [śmiech]. Bo badmintonista nie zapomina nagle wszystkich swoich umiejętności technicznych, gdy jest na korcie w newralgicznej sytuacji. Technikę ma opanowaną, jeśli popełnia błąd, to znaczy, że wtedy psychika zawodzi. I wszystko zależy od tego, czy on będzie potrafił wykorzystać swoje możliwości i pokonać chwilową blokadę, stres.

Domyślam się, że praca trenerska zajmuje Pani dużo czasu. Proszę powiedzieć, jak Pani łączy ją z działalnością muzyczną?

Staram się godzić te dwie rzeczy. Pracuję obecnie w szkole pierwszego stopnia, kiedyś jeszcze uczyłam w Opolu w szkole muzycznej drugiego stopnia, improwizacji fortepianowej. To otwarty przedmiot, w którym można było poszaleć intelektualnie. Teraz uczę przedmiotów teoretycznych, fortepianu, ale też jestem w szkole etatową osobą od prowadzenia prelekcji podczas koncertów, audycji muzycznych. Staram się łączyć pracę w szkole z treningami w klubie. Czasami nie jest łatwo. Zwłaszcza jeśli wyjeżdżam na turniej już w piątek, nawet w czwartek, a jeszcze mam szkołę, wtedy muszę się bardzo gimnastykować, by ze wszystkim zdążyć. A wyjazdów jest bardzo dużo. Poza tym mam jeszcze domowe obowiązki. Jako kobieta trener mogę

powiedzieć, że mężczyznom jest łatwiej. Ja przed piątkowym wyjazdem już w czwartek muszę przygotować obiady na następne trzy dni. Ale daję sobie radę.

Syn jeździ z Panią, czy jeździcie na różne zawody?

Nie ma jeszcze prawa jazdy... Jeździ ze mną [śmiech]. Zawody juniorskie często łączone są z kategorią młodzik – więc auto pełne!

Czyli badminton dobrze wpływa też na życie rodzinne.

Z jednej strony tak, natomiast z drugiej strony relacja trener matka – zawodnik syn bywa trudna. Wypracowaliśmy już sobie po latach metody współpracy (ale czasem jest ostro...).

Na hali jest pani trener, a w domu mama?

Bywa często pani trener czy nawet Sonia, natomiast na meczach różnie, czasami syn potrzebuje mojej pomocy i prosi mnie, żebym na jego najważniejszych meczach była za kortem. Bardziej chyba wtedy potrzebuje potwierdzenia, nawet nie tyle rady, ile właśnie potwierdzenia, że tak, jak gra, jest dobrze. Chociaż bywa różnie. Czasami są mecze, kiedy sami uzgadniamy, że ja proszę któregoś z kolegów trenerów, by mu towarzyszył. Jędrek był dwa lata w różnych szkołach mistrzostwa sportowego i do tej pory ma z trenerami fajny kontakt.

Motywacji i impulsów do poszukiwań nowych metod Pani nie brakuje.

Oj nie, absolutnie, ale ja na to nie narzekam, bo jestem bardzo otwartą osobą. Owszem, jak mnie ktoś skrytykuje, a czasem to się zdarza zawodnikom, to moją pierwszą reakcją może nie jest zachwyt, że ktoś ma inny pomysł. Ale nie ma też tragedii, po prostu lubię sobie wszystko przemyśleć. I lubię korzystać z doświadczeń innych ludzi. Bardzo dużo jako trener skorzystałam, podpatrując innych trenerów, przyglądając się ich sposobom prowadzenia treningów. Nawet dzisiaj sobie żartowałam z moimi dziewczynami, że mamy określenia na poszczególne ćwiczenia od nazwisk trenerów. Ja rzucam tylko nazwisko trenera i moi zawodnicy już wiedzą, co my ćwiczymy. I staram się korzystać z nowości.

Alosza Awdiejew, językoznawca i muzyk, na konferencjach naukowych wygłasza referat i wieczorem gra koncert. Czy Pani też po meczach grywa koncerty na turniejach?

Do tej pory troszeczkę się z muzyką ukrywałam. Większość zawodników i trenerów nie wiedziała, że mam wykształcenie muzyczne. Zresztą jestem osobą mało znaną w środowisku. Większość trenerów zna się od dziecka, od czasów gdy razem grali. Ja w to towarzystwo weszłam później i troszeczkę z boku też czasami patrzę na badminton. Facebook wszystko ujawnił, bo tam promuję i badminton, i muzykę, i szkołę. Do tej pory koncertów na turniejach nie grałam. Moje zawodniczki już były na koncertach, które prowadziłam i na koncertach, które grałam w szkole muzycznej. W takim gronie jeszcze nie miałam okazji prezentować się od muzycznej strony, ale... wszystko przede mną [śmiech].

Powiedziała Pani, że nie jest w tym środowisku od początku, jak większość trenerów. To pozwala na inne spojrzenie, co jest bardzo cenne, bo robiąc coś przez całe życie, można popaść w rutynę, niekoniecznie z dobrym skutkiem.

Tak, często jestem obserwatorem, patrzę i przetwarzam to, co widzę. I po przetworzeniu korzystam z doświadczeń innych.

A też może się Pani podzielić z innymi swoimi doświadczeniami. Zdarza się Pani zapytać, dlaczego coś się dzieje akurat tak, a nie inaczej? Czy bywa, że środowisko trenerskie mówi wtedy: dobrze, że jesteś, bo nie zwróciliśmy na to uwagi?

[śmiech] Może powiem tak: widzę u wielu zawodników duże braki od strony psychologicznej. Technicznie wszyscy są prowadzeni prawidłowo, dobrze sobie radzą, ale ze stroną psychiczną u młodych zawodników bywa różnie. Moim zdaniem, ta sfera przygotowań jest trochę zaniedbana. Przypomniałam sobie konkretny przykład rozmowy.... Ja jestem z Lublińca, gdzie mamy jednostkę komandosów, w tym snajperów. Wiem, jak w tym fachu ważny jest oddech – mój najstarszy syn jest podporucznikiem (ale nie snajperem!). Staram się czerpać i wykorzystywać w badmintonie informacje z bardzo różnych źródeł i z życia. To jak oddycha snajper, kiedy strzela, ma ogromne znaczenie. To jedna z rzeczy, które sprzedałam innym trenerom. Mówili: „No coś ty? Ważne jest, jak się oddycha, kiedy się serwuje?" Okazuje się, że bardzo ważne, bo przecież napięcie mięśni jest inne, poza tym chodzi o spokój, itp. Synchronizacja z oddechem, kiedy się strzela, jest bardzo ważna i w badmintonie też, zwłaszcza przy serwie [śmiech].

Czy mogło być lepiej?

Marian Henryk Stelter – trener klasy mistrzowskiej w badmintonie, prezes Zachodniopomorskiego Związku Badmintona, jak napisał na swoim blogu, badminton jest jego pasją i pracą.

Wyliczył Pan, że w badmintonie, bardzo trudnym technicznie sporcie, jest około 150–160 elementów. Dobry zawodnik musi je wszystkie opanować do perfekcji? Czy technika może zastąpić albo raczej zniwelować brak talentu?

Powinniśmy zacząć od zdefiniowania pojęcia „talent". Jeśli będzie pani chciała, to możemy ten wątek rozwijać, jednak proszę podać swoją definicję „talentu". Wolę posługiwać się pojęciami „zdolność" rozumianą jako predyspozycje i „umiejętność" rozumianą jako aktualny stan. Zdolność to cechy genetyczne: psychiczne, fizyczne i morfologiczne (i ich wzajemne korelacje) przydatne w dowolnej działalności.

W przypadku badmintona, w moim przekonaniu (wynika to też z doświadczeń moich i innych trenerów, nie tylko badmintona) najistotniejsze są swoiste zdolności psychiczne, którymi można nadrabiać („przykryć") inne braki (niewysokie wartości innych zdolności niezbędnych badmintoniście), np. fizyczne.

Polscy lekkoatleci zdobywają medale olimpijskie, mamy świetnych siatkarzy, kajakarzy, skoczków, itd. Dlaczego badmintoniści wciąż są na etapie marzeń o medalu olimpijskim?

Pytanie na rozprawę doktorską, i to niejedną. Gdyby podejść do skróconej próby odpowiedzi na to pytanie, to warto zwrócić uwagę na:

1. Znacznie większą tradycję i doświadczenie warsztatu szkoleniowego trenerów lekkiej atletyki, kajakarzy, narciarstwa, itp. w kontekście igrzysk olimpijskich i wynikającą z tego wyższą jakość szkolenia zawodników.

2. Znacznie większe środki finansowe stawiane do dyspozycji tychże dyscyplin sportu, co nie wyklucza możliwości zdobycia medalu olimpijskiego, gdy dysponuje się niższą pulą środków finansowych, patrz: mikst Mateusiak & Kostiuczik (Zięba), debel Łogosz & Mateusiak.

3. Zamknięty system organizacyjno-szkoleniowy Związku, mający znamiona działalności mafijnej lub partyjnej. W gruncie rzeczy mafia i partia są tożsame, jedna i druga na swojego „capo di tutti capi", ma swoich „consiliore" i żołnierzy, ma swoją zhierarchizowaną strukturę.

Ostatnie, jak i poprzednie, wybory były tego klasycznym przykładem: dwie niejawnie zorganizowane grupy walczyły o swojego prezesa i swoich „consiliore" w zarządzie, itd. Czy można inaczej? Można.

4. Można powiedzieć, że przecież w tych właśnie systemach działając, mieliśmy ćwierćfinały IO i inne dobre wyniki. Nikt jednak nie podejmuje się próby odpowiedzi na pytania:

1. czy mogło być lepiej? co stanęło na przeszkodzie, aby było lepiej?

2. czy liczymy na przypadek, np. Mateusiak, czy budujemy otwarty system, m.in. szukający zdolnych do zdobywania medali IO, zdolnych do pracy w zarządzie, zdolnych do prowadzenia kadr narodowych, zdolnych do...?

Czego polski badminton teraz najbardziej potrzebuje? Na czym należy się skupić?

1. Oczyszczenia się z przeszłości, patrz: Ślawska-Szalewicz.

2. Odejścia z systemu partyjno-mafijnego i przejścia do systemu otwartej organizacji.

Zna Pan badminton zarówno z perspektywy ogólnopolskiej - od początku jest Pan związany z Polskim Związkiem Badmintona, jaki i lokalnych klubów. Co z tego okresu uważa Pan za sukcesy, osiągnięcia, przełomowe dokonania, a co za porażki czy momenty zapaści?

Jeśli chodzi o PZBad:

– sukcesy:

1. świetna sekretarz generalna Związku, za czasów prezesury Andrzeja Szalewicza, Jadwiga Ślawska.

2. wyniki IO i ME.

– porażki – beznadziejne komisje rewizyjne podczas całego 40-lecia; służyły one głównie do gloryfikacji lub ukrywania błędów (pomyłek, nieprawidłowości) zarządów i prezesów.

– zapaść – prezes Jadwiga Ślawska-Szalewicz, kiedy nie kontrolowała (?), z tytułu nadzoru, pracy sekretarza generalnego Jadwigi Ślawskiej-Szalewicz w kontekście zobowiązań publiczno-prawnych. Między bajki należy włożyć opowieść, że winną jest księgowa. Gdyby tak było, to dodatkowo obciąża ten fakt sekretarza generalnego: zaniedbanie swoich obowiązków służbowych z tytułu nadzoru nad podległym pracownikiem. Znając Jadwigę wiem, że „mysz w biurze PZBad-u nie prześliznęłaby się" bez jej wiedzy i zgody.

Z czego w swojej pracy trenerskiej jest Pan najbardziej dumny?

1. Z tego, że spotykam po latach swoich byłych zawodników, o których już (to przykro powiedzieć) zapomniałem, a oni przypominają się, dobrze wspominają „terror" trenera i dziękują za ten fakt.

2. Powołanie przeze mnie (byłem wówczas wiceprezesem ds. szkolenia

PZBad-u) – do startu w prestiżowym zagranicznym turnieju juniorów – zawodników spoza kadry, których to wynik na ówczesne czasy był rewelacją; ówczesny prezes Andrzej Szalewicz nie mógł się nadziwić: jak to było możliwe? jak do tego doszedłem? Trener, którego powołałem na ten start, Jeremi Borowiec (Stal Sulęcin) też nie był trenerem kadrowym. Narzędzie, którym posłużyłem się, podejmując te decyzje, było nadzwyczaj proste. Było to narzędzie psychologiczne.

Co było dla Pana największym zaskoczeniem/niespodzianką w badmintonie przez te 40 lat?

In plus:

a) powołanie (wreszcie, po latach) do kadry narodowej Doroty Grzejdak i jej pierwszy start (debiutantka była chwalona!) w mistrzostwach świata. „Winnym" tego był ówczesny wiceprezes ds. szkolenia PZBad Andrzej Klej, za co mu raz jeszcze publicznie wyrażam uznanie i dziękuję. Andrzej był w o tyle trudnej sytuacji, że wytypował zawodniczkę trenera (z Koszalina, czyli: piszącego ten tekst), niechętnie widzianego przez Jadwigę Ślawską-Szalewicz.

In minus:

b) na poziomie minimum – tkwienie w systemie organizacyjnym odmiennym od systemów związków sportowych, w których zdobywa się medale olimpijskie.

c) na poziomie maksimum – niebudowanie otwartego „obywatelskiego" związku.

Praca organiczna i dużo cierpliwości

Marek Zawadka – prezes Polskiego Związku Badmintona, sędzia.

Kupił Pan już rakietki wnukowi?

Nie [śmiech]. Kupiłem mu słuchawki na pokazy lotnicze.

Pana rodzina też gra w badmintona?

Trochę odbijali. Ewa chodziła do szkoły, gdzie był badminton. Mateusz już się chyba nie załapał. Moje dzieci nie wszystkie fascynacje przejęły od taty. Muzyka – tak, historia – tak, światopogląd – tak, ale nie badminton i kilka innych rzeczy. Córka z chęcią ogląda żużel, a syn robił oprawy na mecze piłki nożnej.

Wspomniał Pan o szkole... Wiele osób twierdzi, że poszukiwania talentów na większą skalę powinny być prowadzone w szkołach. Jest szansa, żeby badminton zagościł w nich na dobre?

Taka sama jak z wieloma innymi dyscyplinami. To zależy od ludzi. Jest ileś AWF-ów i iluś ludzi, którzy grają w badmintona w Polsce. Weźmy pod uwagę, że rocznik 1982 to jest 800 tysięcy ludzi. Teraz mamy roczniki po 400 tysięcy ludzi. Każda dyscyplina bije się o nich, żeby uprawiali dany sport. To jest jedna sprawa. Druga – badminton jest średnio medialny. Nie potrafimy wykorzystać sukcesów sprzed lat i przekuć ich na powszechne zainteresowanie tym sportem. Ale koszykówka ma Gortata, siatkówka ma Polsat, piłka nożna ma Lewandowskiego, skoki mają Małysza, żużel miał Golloba – to są bardzo medialne postacie. Lekkoatletyka też ma Włodarczyk, Małachowskiego, Majewskiego i jeszcze kilka ważnych osób. Kolarstwo podobnie – ma sporo kolarzy, świetnych komentatorów i rewelacyjne transmisje. Badminton jest inny. Żeby zrobić z badmintona fajne widowisko, trzeba zadbać o szczegóły jak w teatrze albo na snookerze czy przy MMA – światło, dźwięk i cała ta otoczka. Mecz badmintonowy trwa godzinę, nieraz półtorej godziny. Jeśli mamy iść na pięć finałów po półtorej godziny... To naprawdę trzeba być zapaleńcem. Chociaż to jest bardzo fajna gra dla zdrowia, sprawności, rozwijająca właściwie wszystko. Jeżeli w Stanach Zjednoczonych mamy największą liczbę piłkarzy tylko dlatego, że jest tam też piłka nożna ogólnorozwojowa i rekreacyjna dla kobiet, to dlaczego u nas nie może tak być z badmintonem?

Może kiedyś tak będzie?

Niewykluczone. Uporządkowaliśmy już sprawy finansowe w Polskim Związku Badmintona, kończymy porządkować organizacyjne i zaczniemy się starać o inicjatywy na różnych poziomach – szkolnych, powiatowych,

wojewódzkich, itd. Na pewno będziemy stawiali na upowszechnienie badmintona.

Kiedy się patrzy na skład kadry, widać wyrwę pokoleniową. O luce pokoleniowej w kobiecym badmintonie nawet nie mówię. Dlaczego tak jest?

Kobiet nie ma. To już jednak pytanie nie do mnie. O te kwestie trzeba pytać poprzednich włodarzy Związku, czyli pana prezesa Krajewskiego, pana prezesa Mirowskiego. A wyrwa pokoleniowa jest dlatego, że wszystkie pieniądze poszły na gwiazdy i zapomniano czy nie chciano drugiej ligi. I teraz będzie problem. Właściwie już jest, bo para Mateusiak/Zięba nie jedzie do Glasgow. Życzę Nadii wszystkiego najlepszego – macierzyństwo to ważna rzecz. Niektórzy zawodnicy mają duże problemy zdrowotne, które mogą im uniemożliwić startowanie, więc za chwilę może być katastrofa. Może się okazać, że nie mamy nic.

Badminton z jednej strony jest sportem bardzo rozwijającym, a z drugiej niezwykle intensywnym, nie można w niego grać w nieskończoność.

Powiem tak: jeżeli Robert Mateusiak w tym wieku był na igrzyskach i grał naprawdę zjawiskowo i bajkowo, to myślę, że problem jest większy – ta dyscyplina jest wyczerpująca logistycznie. Rocznie mamy 10 do 20 turniejów. Trzeba wsiąść w samolot i lecieć kilka godzin, najczęściej do Azji, posiedzieć tam 6–7 dni i wrócić. Zawodnicy są rozbici, tymczasem dziś ludzie w wieku dwudziestu kilku lat chcą mieć stabilizację, chcą zakładać rodziny, ale jak mają im poświęcić czas, skoro ciągle podróżują.

Albo są całymi dniami na treningu.

W Europie Zachodniej jednak egoizm i sprawy związane ze swoim „ja" są ważniejsze niż inne, dlatego ci ludzie odchodzą ze sportu. Dzisiejszy badminton w Europie to też nie jest sport, który pozwala utrzymać się przy życiu nawet profesjonalistom.

Ale jeżeli ruszą te inicjatywy, o których Pan wspomniał, będą młode talenty, więc pewnie za jakiś czas trafi się nowy Mateusiak i nowa Nadieżda. Chcę zapytać o bardziej dalekosiężne plany w skali ogólnopolskiej. Co teraz będzie priorytetem dla Polskiego Związku Badmintona?

Przede wszystkim liga jako produkt, Puchar Polski jako produkt oraz postawienie akcentu na dzieciaki 13-,15-letnie, upowszechnienie badmintona, wzmocnienie stref, wzmocnienie województw. Nie może być tak, że ludzie tracą czas i siły na przejazdy po 600–800 kilometrów z dziećmi na trzydniowy turniej. Wolałbym, żeby większość turniejów odbywała się w okolicach, a tylko wybitne jednostki lub naprawdę dobrzy zawodnicy jeździli na dalekie wyjazdy. Wówczas pan trener nie będzie projektował tego wyjazdu, nie będzie odpoczywał i miał cztery czy pięć dni turniejowych, ale jeden czy dwa. Teraz jeżeli jedzie z grupą na przykład z Jeleniej Góry do Suwałk, traci pięć dni. A jeżeli zrobimy turniej we Wrocławiu czy

w Sobótce, stracimy tylko jeden dzień. Najlepszy pojedzie do Suwałk, ale wówczas trener nie będzie tam jechał z dziesięciorgiem dzieci tylko z trójką, czwórką najlepszych. Chcemy wrócić do takich dobrych praktyk, jakie miały miejsce wtedy, kiedy wychowywali się Łogosz, Augustyn, Wacha i przechodzili kolejne etapy – od regionów, województw po turnieje ogólnopolskie. Teraz niektórzy, mając do wyboru turniej ogólnopolski, od razu z niego rezygnują, ponieważ to jest turniej ogólnopolski. Jeżeli będą mieli zawody powiatowe i strefowe, będą w nich startować, a z czasem pojadą też dalej. W polskim badmintonie jest naprawdę wielu działaczy, którzy, jeśli im się da możliwość, będą organizowali dużo imprez wojewódzkich. Z drugiej strony dofinansowanie od miast czy województw bardzo często jest przeznaczone na wydarzenia na ich terenie. I trzeba z tego korzystać.

Czyli jest szansa na pieniądze?

Jest. Bardzo często trener jest też menagerem klubu, sędzią i sam wszystko załatwia, biega po urzędach i zaczyna mu brakować czasu i energii. Tam, gdzie jest trener od trenowania i ktoś jeszcze, na przykład rodzic, który pomaga choćby załatwić kasę, jest ciut łatwiej. Ku takiemu wzorcowi będziemy zmierzali.

To konkretne plany, a o czym marzy prezes Polskiego Związku Badmintona? O medalu olimpijskim?

Nierozsądnie byłoby powiedzieć, że medal olimpijski nie jest moim marzeniem. Jednak racjonalnym marzeniem jest to, żeby badminton był w szkołach, żeby dzieciaki biegały po lekcjach z rakietkami w plecaku i chodziły na halę. I żeby te dzieciaki, młodzież i dorosłych, starszych też było pełno na halach. Już jest ich pełno w dużych miejscowościach – w Warszawie czy we Wrocławiu trudno się dostać na wolny kort. I jeszcze jedno – żeby zdjąć z badmintona odium kometkowo-TKKF-owskie.

To jeszcze parę wspomnień. Był w Chobieni sędzia Marek Zawadka...

Był taki epizod w życiu moim.

Jak się Pan zaprzyjaźnił z badmintonem? W szkole?

Gdzieś kiedyś grałem. We Wrocławiu, gdy chodziłem do szkoły średniej, pojawiał się badminton. Był uzupełnieniem do piłki nożnej. Pochodzę ze sportowej rodziny. Ojciec grał w piłkę nożną, matka – w siatkówkę. Oglądało i uprawiało się wszystko. Badminton był sportem uzupełniającym. Później pracowałem w szkole. Jak to było? Nadmiar kasy, jak to zawsze na koniec roku. Każdy chciał coś kupić, więc kupiliśmy rakietki. I pojechaliśmy na mistrzostwa województwa. Wygraliśmy. A potem jeździliśmy na otwarte mistrzostwa Wrocławia i w końcu zaczęliśmy grać. Zarejestrowaliśmy się w Polskim Związku Badmintona. Graliśmy, ale dopadło nas to, co wielu. Jeden człowiek nie może prowadzić wszystkiego, kilku grup wiekowych. Za dużo tego było. W tym czasie też dostałem pracę na uczelni i ona mnie zaczęła bardziej pociągać. Poza tym dzieciaki, które u mnie grały, skończyły

podstawówkę. W pewnym momencie mnie się już, mówiąc brutalnie, nie chciało, nie miałem nawet siły prowadzić drugiej grupy. A sędziowanie? Każdy trener, jak już organizuje turniej, musi posędziować.

Na jakiś czas badminton znika z Pana życia, aż przeskakujemy do 2012 roku i znów się pojawia. Tym razem w Lubinie jako turniej.

Tak to jakoś było. Dokładnie.

Skąd nagle pomysł na Polish Open w Lubinie?

Sędziowałem trudny turniej amatorów we Wrocławiu. Wszystko tam było popieprzone. Jeden skończyliśmy chyba o trzeciej nad ranem, a potem drugi. Miałem tego serdecznie dosyć, zwłaszcza, że organizator tak dał ciała, że niczego nie można było odkręcić od razu. Potem pojechałem na zawody do Obornik. Robił je Jerzy Leszczyński z Sobótki. W pewnym momencie zszedłem ze stołka i powiedziałem, że nie daję rady. Wróciłem do domu. Ponownie pojawiłem się na korcie badmintonowym na zawodach po 9 latach. Pojechałem do Kędzierzyna kupić sobie buty go grania – tak żegnałem się z badmintonem [śmiech]. W Lubinie odbijaliśmy sobie rekreacyjnie. Kiedyś jechaliśmy z prezydentem do Chobieni pograć w tenisa ziemnego. Jechał z nami też Tadek Kielan. Wjeżdżamy do Chobieni, a Tadek mówi: „A tu kiedyś był badminton". Ja na to: „A skąd wiesz?" Tadek: „A bo mój brat mieszka koło guru badmintona w Suwałkach, koło Jurka Szleszyńskiego". Mówię: „Aha. To ja prowadziłem badminton w Chobieni". Zapytał, jak się gra w tego badmintona i przestaliśmy grać w tenisa, a zaczęliśmy w badmintona. W pewnym momencie powstała grupa ludzi, którzy sobie odbijali... Teraz jest szkoła, szkółka, tworzą się kolejne rzeczy. W Lubinie trudno jest wprowadzić nową dyscyplinę, bo tu jest piłka nożna, piłka ręczna, siatkówka, rugby, taekwondo, łyżwy, lekkoatletyka, szermierka. Wszystko jest. I trudno tutaj wyrwać dzieci, które można by było zapłodnić badmintonem. Miałem pomysł, by promować badminton, łącząc sport z kulturą. Zrobiliśmy turniej z muzyką dla amatorów, ludzi, którzy przychodzili do Muzy. A potem organizowaliśmy tutaj Grand Prix Polski. Tak się złożyło, że Polski Związek Badmintona miał dwa terminy na turniej międzynarodowy. Wzięliśmy Grand Prix i nagle zapomnieli w Związku, że była zmiana... Trudno, wzięliśmy Polish Open, który stał się Polish International. Trochę to było wariactwo, bo w tym czasie jako Centrum Kultury Muza organizowaliśmy obchody rocznicy Zbrodni Lubińskiej. Bardzo duże wydarzenie, dwa dni koncertowe i rekonstrukcja historyczna, a do tego jeszcze ten turniej. I zostawiłem go na barkach trzech dziewczyn.

I dały radę! [śmiech]

Ale co to było! Mam gdzieś takie zdjęcie, jak Ewka z Zoriką śpią na hali tam, gdzie padły [śmiech]. Udało się. Później, po analizie zdjęć, stwierdziliśmy, że to była jedna wielka tragedia, ale chcieliśmy to robić dalej. Zorganizowaliśmy więc

drugi turniej. Przyjechał Mark Phelan. Na pierwszym też był. Pokazałem mu nową halę, która wtedy się budowała. Mniej więcej po tygodniu dostaliśmy mejl z pytaniem, czy nie chcemy zrobić mistrzostw Europy. Wie pani, ego, bufonada... Co? My nie zrobimy? [śmiech] My wszystko robimy, to mistrzostwa Europy też możemy zrobić. I tak to się potoczyło. Z ostatnimi mistrzostwami Europy już wiadomo, że trochę przesadziliśmy, bo czas się zmienia, dziewczyny dojrzewają, nie było już z nami kilku osób. Moja córka urodziła syna dzień przed mistrzostwami, 14 lutego. Dwie dziewczyny już mają dzieci...

Dodajmy, że Mistrzostwom Europy Drużyn Mieszanych towarzyszyły Polish U17 International Championships – Sport-Art i Puchar Dolnego Śląska w grach pojedynczych w kategoriach: U7, U9, U11, U13, U15.

Te małe rzeczy są poza mną. Jak się powiedziało „A", to trzeba powiedzieć „B". Powołaliśmy Dolnośląski Związek Badmintona. Nie działa tak, jak powinien, dziewczyny z Lotki Lubin są przemęczone, można to było inaczej zorganizować, ale trudno, one też się uczą, poza tym mają inne sprawy. Jedna przed chwilą wzięła ślub. Takie są uroki współpracy z babkami. Bardzo fajnie się z nimi pracuje, ale można planować nie dłużej niż na rok, niż na osiem miesięcy [śmiech].

Dochodzimy do kluczowego momentu, od którego może powinniśmy zacząć, ale na którym możemy zakończyć. Jak to było? Turnieje, turnieje, turnieje i nagle Pan pomyślał, że czas się wziąć za Związek?

Nie wiem. To nie stało się tak od razu.

No dobrze, ale nie było tak, że stracił Pan cierpliwość, że to wszystko kiepsko działa i nie pomyślał Pan, że sam lepiej to zrobi?

[śmiech] Co ja mam powiedzieć na ten temat? To jest zbitek różnych czynników. Sam bym się nie wybrał...

[śmiech] **Wiadomo, ale już z Lotką Lubin – tak.**

Akurat główna Lotka, czyli moja córka, już właściwie nie jest w Lotce, bo mieszka w Gdyni i bawi mi wnuka, myśląc o następnym. I teraz to jest najważniejsze dla niej zadanie. Gdy dostała esemesa, że zostałem wybrany, to siedziała i płakała.

Dlatego, że to oznacza jeszcze więcej pracy?

Ona tego nie chciała. Inaczej postrzega badminton i stwierdziła, że lepiej, żebym się zajął dokończeniem rzeczy, które rozpocząłem. Natomiast ja wychodzę z założenia, że jestem w miarę spełnionym człowiekiem. Mam fajną pracę w Lubinie. Zrobiłem kilka ciekawych rzeczy, począwszy od organizacji wizyty prezydenckiej i premiera, przez kilka konferencji naukowych, wzmocnienie lokalnego środowiska muzycznego po współpracę z kibicami, z którymi jeszcze wtedy nikt nie rozmawiał. Współpracujemy z kibicami od 2006 roku. Wkrótce będziemy dla nich seria wykładów. Jedno moje dziecko poszło w świat, drugie dziecko jeszcze

orbituje, ale też jest już dorosłe. Jestem z żoną. Jeżdżę z nią na lotnicze pokazy, ale o czym można rozmawiać z żoną po 31 latach małżeństwa? [śmiech] Wracając do wyboru na prezesa, nikt nie stoi za mną w Polskim Związku Badmintona. Owszem, są ludzie, którzy na mnie głosowali, za co jestem im bardzo wdzięczny. Natomiast to jest tak jak w Pierwszej Rzeczpospolitej – nie łączą mnie instrukcje. Uporządkowaliśmy finanse, mam nadzieję, że wyjdziemy na prostą. Próbujemy opanować stronę organizacyjną. Myślę, że gdyby był jeszcze lepszy klimat, to można by to było zrobić aktywniej. Natomiast uważam, że teraz potrzeba dużo spokoju i cierpliwości, żeby to wszystko, co wprowadzamy, zaczęło działać. Moi rodzicie pochodzą spod Kalisza – między Kaliszem, Pleszewem a Krotoszynem. Jestem zwolennikiem pozytywistycznej pracy u podstaw, a nie romantycznych zrywów, ale że z drugiej strony jestem dzieckiem Ziem Zachodnich, mam też trochę zwarcie na zwojach [śmiech].



ISBN 978-83-948920-0-5